

BRUTALNA PRAWDA  
O ŻYCIU NA SŁUŻBIE

SIERŻANT BAGIETA  
OTWIERAĆ! POLICJA



*Budne kamienice, błękit  
policyjnych lamp na bruku  
i opowieść człowieka, który  
wszedł w bagno po pas, żeby  
nie splamić munduru.*

**Janek Światała,**  
ratownik medyczny,  
autor książki  
Polski SOR



Sierżant Bagieta

# Otwierać! Policja



# Intro w outro



Koniec jest jeden, ale ma wiele początków. Kiedyś zastanawiałem się, który moment uruchomił cały łańcuch zdarzeń, doprowadzając ostatecznie do tego, że nie pracuję już w policji. Ale chyba nie było takiej jednej, przełomowej chwili, która zdecydowała o wszystkim. To była raczej cała playlista, w której każdy kolejny kawałek był mocniejszym pierdolnięciem.

Istnieje natomiast wspólny mianownik wielu sytuacji, które przekonały mnie do wyskoczenia z granatowego munduru. Tak, zgadniecie z łatwością – to ludzka głupota. Głupota ufundowana na władzy, która sprawia, że uczciwa policyjna robota zamienia się w karykaturę. Właśnie przez to polska policja cierpi na braki kadrowe. Na szczęście spotkałem na swojej drodze świetnych, uczciwych ludzi, których codzienny wysiłek nadaje tej pracy sens. Trzymam za nich kciuki każdego dnia i to dla nich działam w sieci jako Sierżant Bagieta, komentując policyjną rzeczywistość.

Przez te siedem lat służby dowiedziałem się mnóstwa rzeczy o człowieczeństwie. O dobrych i złych stronach ludzkiej natury. O bohaterstwie i o skurwysyństwie, o sile i o słabości. Przekonałem się, jak ważny jest szacunek do drugiego człowieka.

Dlatego jeśli miałbym już wskazać jeden z początków końca mojej pracy w policji, może wybrałbym moment, kiedy to wróciłem do rodzinnego domu, a moja mama od progu zapytała z wyrazem obrzydzenia na twarzy: „Co tu tak śmierdzi?”. Czułem się jak szmata – bo tak nas potraktowali w pracy: zeszmacili. Zresztą o szmaty całkiem dosłownie w tej sprawie chodziło.

Policja dostała zgłoszenie o mężczyźnie leżącym w rowie. Nie żył. Nie udało się ustalić jego tożsamości. I tak z człowieka pozostały jedynie zwłoki oznaczone jako NN, czyli anonimowe. Najwyraźniej przez dłuższy czas nie wzbudziły niczyjego zainteresowania. Mężczyzna nie żył już od tygodnia przed zgłoszeniem i właśnie tyle leżał w rowie melioracyjnym, w którym stała woda. Zwłoki były więc w stanie rozkładu, rozmoczone i napuchnięte.

Wyglądało na to, że sprawa szybko zostanie zamknięta. Pewnie pijany facet podczas nocnej wędrówki do domu przypadkiem wpadł do rowu i jego życie skończyło się, jak się skończyło – utopił się w kałuży. Lekarz podczas oględzin ciała stwierdził jednak uszkodzenia, które nie mogły powstać w wyniku upadku do rowu. Sprawa zmieniła status. Gdyby pozostała jako NN, to dokonano by kolejnych prób identyfikacji, zwłoki poleżałyby trochę w lodówce, a potem zostałyby przekazane miastu, które ma obowiązek pochować je na cmentarzu komunalnym. Teraz jednak wjechała opcja zabójstwa, co w postępowaniu zmieniło wszystko.

Ubranie mężczyzny nagle stało się dowodem w sprawie. Były to ciuchy zniszczone od wody i przesiąknięte trupim zapachem. Już za ciasne, bo ciało od wody i procesów gnilnych rozdęło się niczym ludek Michelina.

Sprawy o zabójstwo prowadziła Komenda Wojewódzka. Policjanci orzekli:

– Nie mamy odpowiednich pomieszczeń, żeby przechować dowody w tej sprawie.

Komendant ripostuje: – Gównu mnie to obchodzi, dowody mają być zabezpieczone i schowane.

Wtedy ktoś sprytny inaczej wypalił, że na naszym komisariacie jest przecież jedno nieużywane pomieszczenie. Moja pani komendant –

z której można by zrobić matrycę dla pojęcia „oportunistka” – wybuchła entuzjazmem:

– Faktycznie, mam doskonałe pomieszczenie na ten cel, nie musimy szukać dalej!

Wyłożyła wszystkim, jak to dobrze się złożyło, bo dowody – zgniłe szmaty – właśnie u nas wysuszą się najlepiej. No to hurra, wojewódzka ma problem z głowy, pani komendant rozwiązała problem, podlizła się i szczytuje z samozadowolenia, a przegrywami w tej sytuacji są oczywiście szeregowi policjanci.

Wiecie, czym to pachnie? Dokładnie. To teraz konieczna będzie tylko odrobina wyobraźni przestrzennej. Komisariat, pomieszczenia służbowe, w jednym ciągu kilka skomunikowanych pokoi. W tym jeden, w którym funkcjonariusze przebierają się do wykonywania służby, ogniwo patrolowo-interwencyjne, czyli po prostu nasza szatnia. Było w niej kilka szafek, ławek, ale też prysznic i kible. To najważniejsze dla policjantów pomieszczenie. Zostawiasz tam swoje prywatne ciuchy, trzymasz drugie śniadanie, wodę i przekąski, a także wszystkie prywatne rzeczy, których nie zabierasz na patrol. Kiedy masz przerwę w służbie, wracasz tam, żeby odgrzać zupę w mikrofalce, zdjąć buty w gorący dzień czy po prostu usiąść i głęboko odetchnąć; zależnie od tego, co cię tego dnia spotkało.



Ta przestrzeń dla policjantów graniczyła z pewnym pustym pokojem. To on został zgłoszony przez panią komendant jako idealny na potrzeby śledztwa. W ruch poszły najbardziej zaawansowane technologie: nie minęła chwila od narady w komendzie wojewódzkiej, a już rozłożono w nim... balkonową suszarkę na pranie. Kilka aluminiowych rurek, trochę drucików, całość na koślawych nogach. I na to jeb – ciuchy z gnijącego trupa.

Dopóki były mokre, dało się wytrzymać. Ale w końcu trafiły tam, żeby wyschnąć. Z każdym dniem, jeśli nie z każdą godziną, wzrastał się smród. Bagnista woda i soki gnilne, które wniknęły w strukturę materiału, zaczęły odparowywać. Szybko szło. Był lipiec, upały powyżej trzydziestu stopni. Zamknięte drzwi nie pomagały. W zasadzie nic było w stanie odizolować tego pomieszczenia – w całym komisariacie cuchnęło trupem.

Policjanci znają ten zapach. Każdy z nas wiedział, skąd się bierze. Jeśli przychodzili do nas koledzy z innego komisariatu, to otwierali szeroko oczy ze zdumienia: „Panowie, ale tu u was jebie. Jakbyście siedzieli na trupie!”. Ludzie niepracujący w policji nie mieli pojęcia, co to za smród, więc tylko się krzywili, co najwyżej niektórzy odważniejsi pytali, skąd ten odór. A i tak znajdowali się dobre kilkadziesiąt metrów od źródła smrodu, więc mieli styczność z jego najmniejszym stężeniem. Tego po prostu nie dało się zignorować.

Sam jestem bardzo odporny i niełatwo mnie czymś obrzydzić. Chcielibyście, żeby coś mnie obrzydziło? Nie ma szans. W pierwszej kolejności z natury, a potem z zawodowego doświadczenia niewiele mnie rusza. Ale gdy pierwszy raz poczułem zapach trupa, to mocno mną szarpnęło. Nie wiem, czego się spodziewałem, ale na pewno nie tego, co wpadło mi w nozdrza. Zapach rozkładającego się ludzkiego ciała zupełnie mnie zaskoczył. Mięso zwierzęce, które kupisz w sklepie, ale za długo przetrzymasz i się zepsuje – to pestka, żeby nie powiedzieć „perfumy”. W zapachu trupa jest zaledwie jedna nutka podobnej woni w bardzo bogatym bukiecie innych tonów. Pomyślcie o trupie jak o worku z zepsutym mięsem, do którego napchane jest mnóstwo innych rzeczy. Na przykład zjełczały żółty ser, zgniłe migdały – można szukać wielu podobieństw, ale żadne słowa nie oddadzą tego dławiącego, słodkawego zapachu, którego nie sposób pozbyć się z nosa (i potem z pamięci).

Ta nutka zwierzęca najbliższa jest w zapachu do zepsutego mięsa kurczaka unurzanego w przejrzałym, zjełczałym żółtym serze. Jakby było posypane migdałami, które nadają całości słodkawy, mdły zapach, którego nie da się pozbyć z nosa.

Mięso, które kupujemy do jedzenia, w procesie uboju jest całkowicie pozbawiane krwi. Nawet zamawiając w restauracji tak zwanego krwistego steka, otrzymujesz posiłek, w którym w ogóle jej nie ma. Tym, co wycieka ze steka pod wpływem nacisku widelca, jest mioglobina, czyli jeden z rodzajów białka, który barwi się na czerwono.

W zwłokach jest krew. Są też inne dodatki: żółć, sok żołądkowy, ale też gromadzą się gazy gnilne w jelitach; ponieważ jelita mają ogromną powierzchnię, gazy mogą rozpychać ciało i gromadzić się w wielkich ilościach. Dalej: w tym worku znajduje się też kupa, która jeszcze przez jakiś czas po śmierci gnije w ciele. Aż się wydostanie, bo puszczają zwieracze. I to jest kolejna, bardzo mocna nuta zapachowa tego bukietu woni. Większość trupów nie zdążyła do toalety przed śmiercią, więc fekalia zostają z nimi, dokładając swoje do tej niepowtarzalnej kompozycji zapachowej.

Odleżany trup to największy poziom intensywności doznań dla ludzkiego zmysłu powonienia. Im starszy, tym... słodszy. Trup, z którego ubranie trafiło na nasz komisariat, był właśnie taki: stary, spęczniały i słodki jak migdał w czekoladzie.

Na pytania ludzi z zewnątrz, co tak śmierdzi, większość kolegów nie odpowiadała wprost. Starali się kluczyć. Nie wiem dlaczego. Aby chronić głupotę pani komendant? W żartach wszyscy kozaczyli, mówiąc rzeczy w stylu „waporyzacja z gnijącego chłopca”. Ale kiedy dyżurni i kryminalni przyjmowali kogoś z zewnątrz, ściemniiali jak dzieciaki:

– Przepraszamy za niedogodności, mamy problem z kanalizacją, którą wybiło.

Wkurzałem się na nich. Po chuj w ogóle kłamiecie, przecież to nie jest wasza wina! Dlaczego macie wstydzić za głupotę kogoś innego?! Z kilkoma kolegami byliśmy bezwzględnie szczerzy w wyjaśnianiu ludziom, skąd ten odór w budynku.

Jeśli akurat zostałem zapytany, to waliłem prosto z mostu: – Wie pani, dali nam ciuchy z rozkładającego się trupa. Suszą się u nas na komisariacie i to stąd ten smród. Nam też to przeszkadza, zresztą jest



to całkiem niehigieniczne, więc może pani to zgłosić do pani komendant, bo to ona wpadła na ten pomysł. Czy napije się pani herbaty albo kawy?

W efekcie coś kliknęło w głowie pani komendant. Zapowiedziała, że „jeszcze chwilę i ciuchy znikną”. Dzień, dwa, trzy. Minął tydzień. Nic się nie dzieje. Zaczął się kolejny tydzień – ciągle nic. Poczuliśmy się jak ruskie mięso armatnie, z którym dowódca może robić, co chce, bo dla niego człowiek w ogóle się nie liczy. Przecież to było wbrew wielu regułom, zagrażało naszemu zdrowiu, nie mówiąc o zwyczajnej ludzkiej kulturze, której w dowództwie nie wykazał nikt. Jeden z moich kumpli powiedział wreszcie, że to pierdoli, ma małe dziecko w domu, nie będzie ryzykował jego zdrowia, więc dopóki te ciuchy będą na komisariacie, to on nie będzie przychodził do pracy. Poszedł do lekarza, powiedział, jaki jest powód jego prośby o L4, a lekarka wypisała mu je bez mrugnięcia okiem. Podpowiedziała, żeby problem zgłosić do Sanepidu, bo to zagrożenie bakteriologiczne. Wracając do domu, przynosiliśmy ze sobą ten zapach, ale też nie wiadomo, co jeszcze przy okazji.

Zaczął się trzeci tydzień. Sugestię Sanepidu potraktowaliśmy bardzo poważnie. Naszym kierownikiem był świetny gość, którego szanowaliśmy. Wiedzieliśmy, że pracuje z nami ramię w ramię i nigdy nas nie wystawi. Porozmawialiśmy więc z nim o tym, ale odwiódł nas od zgłoszenia sprawy. Wkrótce zwolnienie lekarskie wziął też jeden z dyżurnych. Pani komendant była pod ścianą, bo pojawił się ktoś z Komendy Miejskiej, żeby sprawdzić te zwolnienia. Mleko się rozlało. Wreszcie po trzech tygodniach ciuchy po cichu zniknęły. Z czystej ciekawości chcieliśmy się dowiedzieć, co się z nimi stało.

Okazało się, że przenieśli je na inny komisariat, ale już nie do wnętrza budynku. Przy komisariacie był garaż, do którego wsadzili tę bombę biologiczną. Garaż z kolei graniczył z... podwórkiem przedszkola.

Kiedy więc tamtego dnia Mama od progu zapytała mnie:

– Co tu tak śmierdzi? – a ja odpowiedziałem:

– Mamo, tak śmierdzi trup – to dotarła do mnie cała absurdalność tej sytuacji.

– O czym ty mówisz? Skąd się tu wziął zapach trupa? – dopytywała Mama.

– Widzisz, wstawili nam do budynku ciuchy zdjęte z rozkładających się zwłok. I po prostu przenikamy tym smrodem – wyjaśniłem. – Wpuścisz mnie?

# Dochodzenia



Pewnie zastanawiacie się, czy nie jestem przypadkiem typem człowieka, który ma skłonność do idealizacji i romantycznych wizji, i który później cierpi na duszy i ciele na niespełnienie, ponieważ rzeczywistość srogo go rozczarowuje. Albo z drugiej strony, czy nie jestem cynicznym cwaniakiem, który myśli tylko o swojej dupie i za nic ma los innych. To zrozumiałe. Wizerunek policjanta jest rozpięty zwykle pomiędzy tymi dwoma stereotypami: romantycznego zatraceńca, który kosztem własnego życia oddaje wszystko policyjnej służbie, albo skurwysyna, który w rzeczywistości nie idzie z pomocą innym ludziom, bo dba wyłącznie o własną kieszeń, którą nabija lewą kasą, nie zważając na żadne granice.

Myślę o sobie jako o człowieku całkowicie spoza tych narracji. Ale jednocześnie nie jest tak, że bym był odporny na wszystkie schematy, bo jednak w niektóre wpadałem.

Pewnie największym nieporozumieniem co do policyjnej pracy jest to, od którego zacząłem swoje bycie gliniarzem. Wydział Kryminalny. Brzmi dobrze, prawda? Dochodzeniówka na start, wielkie wow!

„Rozkaz jest rozkaz” – oznajmił mi przełożony na początku służby, kiedy przydzielono mnie do wydziału. Gdybym posiadał już wtedy jakieś doświadczenie, to stuknąłbym się w głowę i zrobił wszystko, by nie iść do kryminalnego. Stuknąłbym też jego w głowę, żeby mi nie wciskał farmazonów. Ale dwudziestotrzyletni chłopak, którym wtedy byłem, nie miał dość wiedzy o realiach tej gry. Szkoła policyjna okazała się bardziej teoretyczna niż praktyczna, co w sumie nie powinno dziwić, bo gdyby odślaniała prawdziwą codzienność policyjnej pracy, to pewnie do jej końca dotrwałyby może połowa kandydatów.

Jest lipiec 2016 roku. Właśnie skończyłem podstawowe szkolenie zawodowe. Składam wniosek o przyjęcie do służby. Tak jak wszędzie indziej, wniosek musi być poparty dokumentami, w tym CV. Policja chce wiedzieć, z kim będzie miała do czynienia, jakie mocne strony będą mieli ich nowi pracownicy. Zrobiłem licencjat z anglistyki, dołączyłem więc świadectwo ukończenia studiów oraz dyplom. Policja natychmiast podchwyciła temat: „angielski”, jakbym przez to był jakiś rzadkim gatunkiem w zoo. W moim pokoleniu biegła znajomość angielskiego to już norma, więc zdziwiłem się ich entuzjazmowi.

Przyszedłem na jednostkę. Na start: prawdziwy ogień. Oto na komisariacie trwała wielka akcja archiwizacji starych dokumentów. Trzy tygodnie na rozpalenie zawodowej pasji. Możecie łatwo wczuć się w moje położenie: młody chłopak, nakręcony na pracę, wreszcie rusza na służbę! No i dostałem, jak wszyscy wtedy, zadanie na miarę swoich marzeń: przerzucać stare papiery – kurz, pot i krew (mnie zalewająca). Dobra, zdarza się, zleciało. Aż wreszcie wystali mnie na ulicę. Właśnie o to mi chodziło!

Ale minęły dwa tygodnie i komendant wezwał mnie do siebie. A tam już czeka też naczelnik prewencji. Zaczął mówić, że ze względu na moje wykształcenie i potrzeby osobowe w Wydziale Kryminalnym, chce mnie tam widzieć:

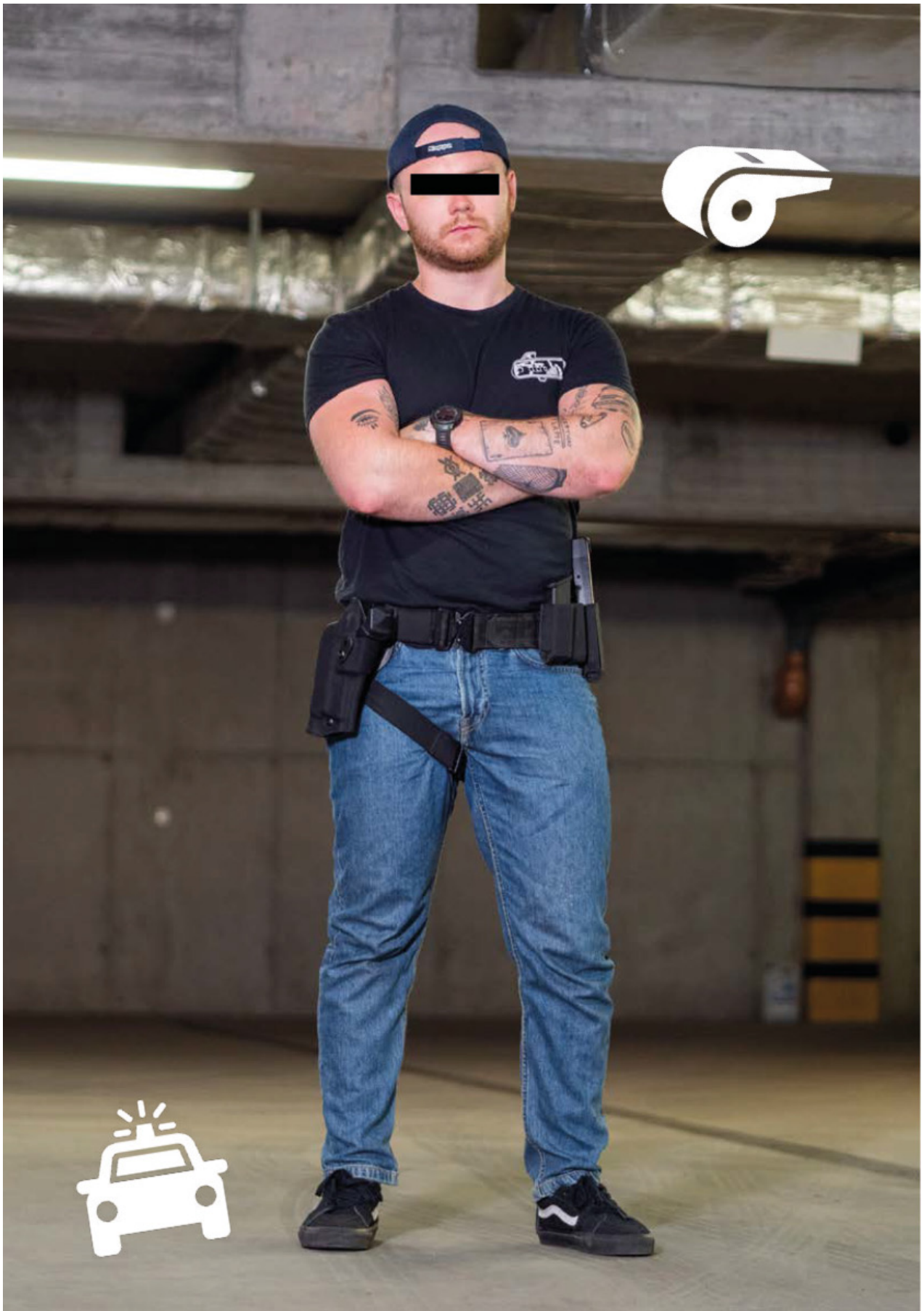
– Zostanie pan policjantem dochodzeniowo-śledczym – powiedział z emfazą. – Rzucamy pana na głęboką wodę, ale to dla pana świetna szansa.

Kładli mi do głowy frazes za frazesem. Nie powiem, łykałem to jak młody pelikan. Co za okazja, żeby od progu wejść na ścieżkę Despero z Pitbulla czy Sławomira Wątroby z W11 – po prostu super! W pamięci odzywały się historie zasłyszane w szkole policyjnej od wykładowców z kryminalnego

czy powtarzane przez kolegów, a do tego parę ćwiczeń z prowadzenia podstawowych czynności procesowych: przesłuchanie świadka, prowadzenie oględzin i tym podobne. Ale o tym, jak wygląda codzienna praca dochodzeniowca, pewnie nikt z nas wówczas nie miał pojęcia. Więc rzeczywiście obawa, czy podołam, mieszała się we mnie z ekscytacją, że to megastart i wyróżnienie. Miałem dać odpowiedź zaraz po ukończeniu adaptacji.

Adaptację zawodową można określić jako ostatni etap szkolenia, który odbywa się już w prewencji. Formalnie jest się już policjantem, posiada się broń służbową i uprawnienia. Obecnie oznacza to trzymiesięczną pracę w OPP, czyli w Oddziałach Prewencji Policji. W moim przypadku to były dwa wakacyjne miesiące, czyli sezon futbolowy, więc większość akcji w ramach OPP, w jakich brałem udział, dotyczyła obstawiania meczy i pilnowania kiboli. Spoko czas.





Wróciłem z OPP do regularnej służby w jednostce i do rozmów o dochodzeniówce. Przełożeni zasugerowali, żebym wybrał sobie cały urlop i zaczął nową służbę „na czysto”. Tak zrobiłem i jesienią 2016 roku miałem trochę wolnego czasu. Znacznie więcej niż zaplanowałem, bo z urlopu płynnie przeszedłem na L4. Teraz mam okazję przeprosić swojego naczelnika, ponieważ nie byłem z nim wówczas zbyt szczery. „Wywaliłem się na oblodzeniu przed domem i złamałem rękę” – taka wersja poszła oficjalnie. W rzeczywistości było trochę inaczej. Razem z dwoma kolegami, z którymi poznałem się w szkole policji, pojechaliśmy do Warszawy. Dobrze się bawiliśmy, ale któregoś wieczoru, po wyjściu z klubu, nie spodobaliśmy się jakimś typom. Akurat trzech na trzech. Doszło do wymiany ciosów. Mój cios okazał się na tyle skuteczny, że zadziałał w dwie strony, czyli na tego gościa i na moją rękę. Dorobiłem się urazu bokerskiego: złamałem piątą kość odręcza. Poskładali mnie i... połamali ponownie. Coś spieprzyli za pierwszym razem i przy kolejnym składaniu musieli dołożyć mi do łapy druty. Rehabilitacja potrwała więc dłużej niż normalnie przy takich urazach. W efekcie do stycznia 2017 roku byłem wyłączony ze służby.

Wróciłem na jednostkę i rozentuzjasmowany opowiadałem innym kolegom, że mam opcję dostać się do dochodzeniówki. Starsi koledzy zbili mnie z tropu. Mocno i dosadnie: „Chłopaku, coś ty, przecież cię biorą pod chuja jak młodego, bo wiedzą, że się nie postawisz”. Mina mi zrzedła. „Jak by staremu powiedzieli, że pójdzie do dochodzeniówki, to by im powiedział, żeby spierdalali, bo siłą go nie zaciągną”.

Nasłuchałem się podobnych opinii i zgłupiałem. Pogadałem jeszcze z innymi kolegami, ale wszyscy w sumie mówili to samo: „Jesteś świeżo po szkole, daj sobie czas, pobądź trochę policjantem. Pójdiesz do dochodzeniówki, to dupa na krzesło i przerzucanie papierów, daj spokój”. No, to były naprawdę dwa różne światy: mojego wyobrażenia o pracy w kryminalnym i doświadczenia chłopaków, którzy mnie otaczali. A że jestem człowiekiem, dla którego liczy się bardziej praktyka niż teoria, postanowiłem zaufać opiniom kumpli.

Poszedłem do naczelnika i oznajmiłem, że po namyśle nie jestem zainteresowany dochodzeniówką. A on ciśnie, żebym wziął tę robotę. Usłyszał jednak ponownie moje stanowcze „nie”. Wydawało mi się, że jasno stawiam granice, mówiąc: „Nie ma mowy, nie podpiszę tego,

trudno, najwyżej skierujemy sprawę do wyższych przełożonych”. Byłem świeżakiem, który nie wiedział jeszcze, jak to wszystko działa. Po prostu odwołałem się do tego, co naczelnik powiedział mi wcześniej w jednej z rozmów, kiedy deklarował, że nikt nie będzie mnie nigdzie pchać na siłę. „Masz czas do namysłu – powiedział przed moim urlopem i zwolnieniem zdrowotnym. – Jeśli powiesz »nie«, to po prostu trafisz normalnym trybem do patrolówki”. I właśnie na to liczyłem.

Tymczasem naczelnik po jakimś czasie wzywa mnie do siebie. Zaczyna poufale:

– Słuchaj, Bagiet, próbowałem kogoś tam przekonać, ale to zostało ustalone przez górę i nie mogę nic zrobić w sprawie zmiany planów. Idziesz do dochodzeniówki, trudno. Rozkaz jest rozkaz.

Tylko że to nie był rozkaz! A ja, zieloniutki, zdębiałem. Wyobrażacie sobie, jak poważnie to brzmi? Rozkaz?! Ale w gruncie rzeczy był to tylko wniosek personalny. Taki dokument ma formę wniosku w jakiejś sprawie, który sam podpisujesz jako ten, któremu zależy, a przełożony pcha to wyżej do akceptacji. Nie połapałem się w tym, a naczelnik kuł żelazo, póki gorące.

– Podpisz tutaj i tyle, po sprawie.

W papierach więc nie tylko nie znaleźlibyście mojego sprzeciwu, ale zajrzawszy do dokumentacji, stwierdzilibyście, że to była moja inicjatywa! Naczelnik mnie przekonał, naobiecował przy tym, ile będzie furtek do wyjścia z dochodzeniówki, gdyby mi się tam nie spodobało. „Zawsze możesz wrócić” – zadeklarował. To była kolejna obietnica bez pokrycia. A ja podpisałem ten papier i 15 lutego 2017 roku zostałem policjantem Wydziału Kryminalnego.

Początkowo do pracy podchodziłem na spokojnie. Stwierdziłem, że nie ma się co napinać. Pojeżdżę na oględziny, będę mieć dyżury zdarzeniowe, a także zabezpieczenia imprez, bo akurat u nas tym ostatnim też zajmowali się dochodzeniowcy, jako że nie było do tych zadań nikogo innego. Od wejścia wyglądało to całkiem normalnie. Dostałem biurko, kompa, a w kuchni stał ekspres do kawy, więc mogłem zaczynać dzień od kofeiny.

Z początku dostawałem zadania wsparcia innych policjantów w sprawach, które prowadzili. Miałem czegoś poszukać w systemie, coś odgrzebać w internecie, przeczytać akta sprawy jednej, drugiej, trzeciej, przesłuchać świadka albo zgłaszającego przestępstwo. Czasem wyjechać

z chłopakami na dyżury zdarzeniowe. Innymi słowy, nie wyglądało to źle, prawda? Do czasu, aż zacząłem dostawać własne sprawy do prowadzenia.

Dochodzeniowiec to biurwa. Siedzi przy blacie, przerzuca papiery, wstukuje informacje do kompa, wysyła korespondencje, segreguje akta. Od wielkiego dzwonu zdarzy się jakieś ciekawe przesłuchanie. Najważniejsze zadanie dochodzeniowca na komisariacie: utrzymać porządek w papierach. Najrzadziej występujące zadanie dochodzeniowca na komisariacie: rozwiązać jakąś sprawę.





Jasne, że się wyzłośliwiam. Ale mówię o rzeczywistości komisariatu. Inna rozmowa zaczyna się dopiero na poziomie komendy miejskiej i wojewódzkiej. Im wyższa jednostka, tym grubsze sprawy. Na komisariacie dopną kryminalnemu siedemdziesiąt spraw, w większości z góry skazanych na umorzenie, a na miejskiej funkcjonariusz dostaje trzy, cztery sprawy, w których tylko prowadzący będzie wystarczająco oblatany, żeby je faktycznie rozwiązać. Na komisariacie – przyjmiesz w papiery kradzież roweru, nielegalny napis na bloku i oszustwa na OLX-ie; na miejskiej – przestępstwa gospodarcze tak zawikłane, że gdyby ktokolwiek miał przejąć dochodzenie, to by się po przeczytaniu akt przeżegnał dwa razy. Podkreślam, że moja perspektywa jest prowincjonalna – z poziomu zwykłego komisariatu.

Większość spraw, które do mnie trafiały, to była tak zwana rejestrówka, czyli sprawy raczej do rychłego umorzenia. To naprawdę przekraczało moją tolerancję. Biurko – dla mnie to kara fizyczna, ponieważ już wtedy miałem zajawkę na sport i siedzący tryb życia kłócił się z moimi przyzwyczajeniami. Rejestrówka – to z kolei kara psychiczna, bo jak mam

się kręcić w życiu wokół wypisywania papierków, a nie skutecznego rozwiązywanie spraw, to ja serdecznie dziękuję.

Klepa to morderca wszelkiej policyjnej motywacji. Przyjmujesz sprawę po to, żeby ją... przyjąć. Tylko dlatego, że porządek w papierach musi być. Opcja, żeby realnie podzielać z tematem, ujawnić czy nawet namierzyć sprawcę, to były należące do rzadkości wyjątki od reguły. Dominowała biurowa rutyna. Oszustwa w necie, włamania, kradzieże, najczęściej z otwartych posesji, typu czyjś plac budowy albo skład budowlany. Klepa, klepa, klepa.

Kradzież z włamaniem to niestety – o czym ludzie chyba nie mają pojęcia – najczęściej klepa. Chyba że przestępca będzie złapany na gorącym uczynku. W innym przypadku wykrywalność jest bardzo niska. Nie przeszkadza to policji chwalić się nią, bo już tak chętnie nie mówi, w jaki sposób gromadzi dane, żeby wypracować właściwe liczby. Wystarczy dobrze skonstruowana definicja i statystyki szybują w górę. Intuicyjnie człowiek interpretuje słowo „wykrywalność” jako coś, w co policja włożyła wysiłek, żeby dojść do rozwiązania sprawy konkretnymi metodami śledczymi. Tymczasem biorąc za przykład kradzież z włamaniem: jeśli sprawca zostanie w wyniku zgłoszenia schwytany na gorącym uczynku, to policja „robi na to sprawę”. W takich dochodzeniu sprawca od razu jest „wykryty”. A więc sukces. Podobnie rzecz wygląda z przemocą domową. Ktoś robi zgłoszenie, policja jedzie na miejsce, a na miejscu od razu są ofiara i sprawca. Policja robi sprawę, w której od razu ma kolejne punkty do statystyki wykrywalności.

Wracając więc do włamań: jeśli nie ma na miejscu zbira, to policja wystawia tak zwaną „n-kę”, a to zasadniczo równa się klepie. N-ka to sprawa, w której nie ma sprawcy, nie ma za bardzo materiału, zasadniczo nie ma szans ich rozwiązania. Takie sprawy komisariat umarza.

Ludzie myślą dzisiaj, że wystarczy otoczyć się kamerami, by być bezpiecznym. Ale z prywatnymi monitoringami jest wiele problemów. Po pierwsze, kamera musi w ogóle działać, co nie jest takie oczywiste. Może paść zasilanie, może zerwać się połączenie z internetem, może zaszwankować pamięć urządzenia. Ludzie myślą, że taka instalacja jeśli nawet nie nagra, to może chociaż odstraszy potencjalnego przestępcę. Cóż, miałem mnóstwo takich przypadków złudnej nadziei.

Na zgłoszeniu zawsze sprawdzaliśmy okoliczne monitoringi, ale najczęściej to była porażka. „Panie, on od trzech lat nie działa, ale przez

te trzy lata nikt tu nic nie ukradł, nie?”. I potem ludzie płaczą. Ale nawet jeśli monitoring działał i zarejestrował wizerunek sprawcy, to jeszcze wcale nie przybliżał policji do ustalenia tożsamości zbrodni. Nie ma przecież bazy profili wszystkich ludzi w Polsce. Szansa na identyfikację, nawet przy dobrym zapisie z kamery, dotyczy tylko tej grupy ludzi, którzy już coś wcześniej przeszkrobali, a policja zarchiwizowała ich zdjęcia, profile DNA czy zapis linii papilarnych. Bez tego komisariatowi pozostaje rozesłać jakiś wystarczająco dobry kadr z monitoringu do sąsiadujących komisariatów z zapytaniem, czy ktoś nie kojarzy takiego człowieka. Więc od zapisu z monitoringu do wykrycia sprawcy jest naprawdę daleka droga. Dlatego w przypadku kradzieży najczęściej wlatuje umorzenie.

Przy tym wszystkim ważne jest też to, żeby zawsze pozostać człowiekiem. Z jednej strony łatwo o znieczulicę, kiedy wciąż wpadają ci takie same drobne sprawy ze znikomymi szansami na rozwiązanie. Z drugiej – przekonałem się, że policjanci najczęściej mimo wszystko liczą się z drugim człowiekiem.

Siedzisz w kryminalnym i dostajesz delikwenta, po którym od razu widzisz, że zgłoszenie kradzieży telefonu robi tylko po to, by otrzymać podkładkę z komisariatu na potrzeby ubezpieczyciela. A tak naprawdę typ jest schlany na umór, telefon zgubił w pijackim amoku, ale nie chce płacić za nowy (i swoją głupotę), więc marzy mu się ściągnięcie kasy z ubezpieczenia. Przy czym nie twierdzę, że rozstrzygające jest to, czego dotyczy sama sprawa.

Często ważne jest również otoczenie czy kontekst socjalny poszkodowanego. Co innego, kiedy wspomniany typ jest korposzczurem i równowartość telefonu to kilka dni jego pracy, a zupełnie co innego, kiedy jest to starsza osoba, która bez telefonu będzie miała problemy z prowadzeniem życia jak dotychczas, a swojej książki adresowej pewnie już do ostatnich dni nie będzie w stanie odtworzyć. Jeden przedmiot dla kogoś to łatwo zastępowalna rzecz bez żadnej dodatkowej wartości, a dla kogo innego może być wręcz oknem na świat albo narzędziem niezbędnym do codziennego funkcjonowania. Policjanci naprawdę mają tutaj wycucie i potrafią zachować się stosownie do sytuacji.

Na szczęście zdarzały w mojej dochodzeniowej pracy wyjątki. Nieliczne sprawy spoza kręgu oszustw internetowych czy włamań. Na początku to były kradzieże samochodów (później przejął je Wydział do Walki z Przestępczością Samochodową Komendy Miejskiej), czyli plaga tamtych lat. Katowickie Ligota czy Panewniki były wtedy rejonami, w których dwa

razy nie wsiadało się do swojego samochodu – parkowaliście, a odjeżdżał nim już ktoś inny. Do moich zadań należało przejrzenie monitoringu. Pewnego razu gość w jedną noc stracił dwa nowe bmw. Na monitoringu zobaczyłem, jak pod posesję podjeżdża audi TT, z którego wychodzi dwóch mężczyzn w uniformach monterów od bram. Kręcą się przy bramie niby jak serwisanci. Rozkodowali ją, rozsunęli, weszli do środka na podjazd. Zbliżyli się do budynku. Mieli ze sobą urządzenie elektroniczne, które przejmowało sygnał nadajnika pracującego z autem. Jeżeli zostawisz kluczyk zbyt blisko samochodu, są w stanie tym urządzeniem otworzyć auto. W tym przypadku mężczyzna trzymał kluczyki na parapecie. Przejęli i przedłużyli sygnał. Jeden z samochodów został otwarty i gotowy do uruchomienia. Wsiedli, odpalili, odjechali. Nawet nie zamknęli za sobą bramy, bo... czterdzieści minut później wrócili na podwórko. Powtórzyli akcję, odjechali drugim bmw, fury zacumowali w dziupli nieopodal.

Zgadnijcie, ile czasu zeszło mi do złożenia pierwszego wniosku o przeniesienie. Trzy miesiące. W maju po raz pierwszy oficjalnie poprosiłem o zmianę. Naczelnik odparował na to spokojnie, żebym dał sobie czas, wziął urlop i potem zobaczymy. Bo chcę się przenosić do patrolu, kiedy jeszcze na dobre nie rozkręciłem się w roli dochodzeniowca... Tylko tam, jak już wiecie, nie było czego dochodzić!

Dobra – urlop. Wnioski po – dokładnie te same. Ponowiłem prośbę o przeniesienie. Nic z tego. Męczyłem się już strasznie za tym biurkiem. Powoli siadało mi na psychikę. Przestałem dobrze spać. Złapał mnie stres, który towarzyszył mi niemal przez cały czas. To zupełnie inne doświadczenie niż choćby w patrolówce, gdzie też doświadczasz stresu, ale krótkotrwałego, bo na przykład boisz się o własne życie w czasie interwencji. W dochodzeniówce inaczej: jeszcze dobrze dzień się nie skończył, a twoja głowa już ma wszystkie problemy kolejnego dnia. Przesłuchania, świadkowie, terminy w prokuraturze, wizje żmudnego przeklepywania danych i uzupełniania dokumentacji, a później wysyłki dokumentów. Dla mnie taki model pracy okazał się wyczerpujący. Nawet na urlopie dopadał mnie niepokój związany z konieczności dopilnowania tych wszystkich czynności. Nie chciałem tak pracować. Nie byłem jak inni, którzy przeginali z przepracowaniem. Dziewczyny i chłopaki siedzieli do wieczora, byle pozamykać sprawy. Ile by ich nie zamknęli, tyle samo mieli następnego dnia. I tak codziennie jak chomiki w kołowrotku. Ponieważ zacząłem zauważać, że praca powoli wkracza w mój prywatny czas, musiałem założyć pancierz i trudno, zaczynałem ludzi spuszczać



po brzytwie, bo inaczej nigdy bym nie opuszczał tego komisariatu. Dokumenty do szafy, przekręcałem kluczyk i do widzenia.

Ale na odprawie zaczęło się pałowanie: za wolno idą sprawy. Ten się nie wyrabia, tamten się nie wyrabia, ja również się nie wyrabiam w oczekiwanych terminach. Kto się przejmował tymi połajankami, ten siedział nadgodziny. Siedział jak frajer, za free, byle dowozić naczelnikowi statystyki. Myślałem sobie: dobra, nie ma kasy na nadgodziny, to niech nam oddadzą w czasie wolnym te stracone wieczory. Nie było takiej opcji. Naczelnik wściekły. Wali po policjantach. Chciał nas psychologicznie przycisnąć do muru i powiedział tonem zamykającym dyskusję:

– Jak ktoś sobie nie radzi ze swoją pracą, to niech to przyzna.

Więc odparowałem: – Panie naczelniku, ja sobie nie radzę i proszę o pomoc.

Oczywiście żadna pomoc nie nadeszła. W ogóle moje postawienie się nie przyniosło żadnego rezultatu. Poza tym jednym, że miałem czyste sumienie. Ale czas mijał, ponowiłem prośbę, którą potraktowano dokładnie tak samo. Frustracja sprawiła, że zacząłem być złośliwy w kontakcie z przełożonym podczas odpraw.



Zwierzchnicy zachowali się nieelegancko wobec mnie, to dlaczego mam ich traktować jak dżentelmenów? Obiecali mi wybór, gdybym nie odnalazł się w dochodzeniówce. Rozważyłem to we własnym sumieniu i przyjąłem postawę na twardo. Jak mnie traktują, tak ja potraktuję ich. Zacząłem więc program ośmiu godzin: tylko tyle spędzałem w pracy, zresztą zgodnie z umową. Szafa, kluczyk, do widzenia. Oczywiście co innego na zdarzeniu – wtedy robiłem sprawę od A do Z. Nie zejdę przecież z miejsca gwałtu, bo wybiła akurat 15:00, to jasne. Ale dłuższe siedzenie w papierach – nie ma mowy. Zacząłem pielgrzymki. Co miesiąc byłem u komendanta z prośbą o przeniesienie.

– Mówiliście, że będę mógł zmienić wydział, a teraz mi na to nie pozwalacie.

W odpowiedzi słyszałem: „A bo teraz nie ma roboty”. Albo: „Przyjdź za miesiąc” – i tak na siłę przeciągali moją obecność w dochodzeniówce.

Wziąłem kolejny urlop. Wrzesień, Chorwacja, dziewczyna. Pierwszy tydzień – magia. Drugi tydzień – nieustanna wkrętka: sprawy czekają, to muszę dowieść prokuraturze, tamto zamknąć w aktach i tak dalej. Nie byłem w stanie wyłączyć tego myślenia i związanego z nim stresu. Wkurwiłem się na pracę i na siebie. Nie po to poszedłem do policji, żeby tylko przepychać papiery w odpowiednich terminach. I nie po to mam życie, żeby w wakacje zamartwiać się pracą. Odczuwałem żal do siebie, że tak naprawdę nie jestem policjantem, tylko urzędnikiem. Kumple ze szkoły opowiadali o akcjach, jakie mieli w czasie swoich patroli, a ja mogłem tylko słuchać, bo o czym miałbym im mówić: że na czas zawiozłem akta do archiwum? To wtedy powiedziałem sobie: pierdolę taką robotę. To już wolę iść do szkoły uczyć dzieci języka angielskiego albo przenieść się do wojska.

Wracam z urlopu.

– Panie komendancie, ponieważ nic nie wynika z naszych ustaleń i moich próśb o przeniesienie, to wolę złożyć wypowiedzenie. Po przemyśleniu sprawy na urlopie rozważam właśnie taki scenariusz, chyba że zostanę przeniesiony do patrolówki.

Musiał zobaczyć po mojej twarzy, że mówię śmiertelnie serio. Rura mu nieco zmiękła. Znowu mnie spuścił słowami „porozmawiamy za miesiąc”, ale widziałem, że tym razem do niego dotarło, że to już nie są żarty.

Po miesiącu poprosił, żebym został do końca roku, czyli jeszcze dwa miesiące, rozliczył dotychczasowe sprawy i wtedy będę mógł pójść do patrolu. Oczywiście nie mogło być tak różowo. Nowych spraw faktycznie już nie dostawałem (poza kilkoma), ale wrzucili mi dyżury zdarzeniowe, więc cały czas musiałem jeździć na zgłoszenia. Zdarzenia zajmują sporo czasu, a co za tym idzie – nie miałem, kiedy załatwiać akt. Musiałbym zostawać po godzinach, a o tym nie było mowy. Więc szafa, kluczyk, wy się martwcie. Powinniście umożliwić mi zamknięcie dotychczasowych spraw, a rzuciliście na czasochłonne dyżury, to teraz macie. Komendant pluje mi w twarz, a ja nie będę udawał, że pada deszcz. Wtedy miałem do czynienia po raz pierwszy ze śmiercią. To było ciężkie doświadczenie. Pierwsze martwe ciało jako policjant zobaczyłem w prima aprilis 2017 roku. Siedziałem na dyżurze zdarzeniowym i prokurator ściągnął mnie do towarzyszenia mu w oględzinach zwłok, żebym protokołował.

Na miejscu: dziewczyna o rok ode mnie młodsza, ładna, nieżywa. Wyskoczyła z okna. Jesteśmy we trzech. Prokurator, technik kryminalistyki i ja jako dochodzeniowiec. Jeśli w składzie nie ma lekarza, wówczas wszystkie czynności związane z oględzinami zwłok przeprowadza prokurator. W praktyce jednak to my dwaj musieliśmy zająć się czynnościami związanymi z bezpośrednim kontaktem z ciałem. Prokurator dawał polecenia, my je wykonywaliśmy, później dyktował mi treści do dokumentacji, a na koniec tylko się pod nią podpisał.

Musiałem przekroczyć kilka wewnętrznych barier.

Sam dotyk już był wyzwaniem. Ten pierwszy kontakt, kiedy przekonujesz się, że ciało faktycznie nie ma takiej temperatury, do jakiej jest się przyzwyczajonym, kiedy dotyka się drugiej osoby. Pewien czas po śmierci następuje stężenie pośmiertne; ciało wówczas staje się sztywne. Później rigor mortis ustępuje i ciało na powrót staje się wiotkie, poddaje się sile i ruchowi niczym szmaciana lalka. Wybaczcie takie porównanie, mam ogromny szacunek do zmarłych, używam tego stwierdzenia wyłącznie obrazowo, żebyście wiedzieli, o czym mowa.

Dziewczyna upadła z dziesiątego piętra na nogi. Musieliśmy przełożyć ciało z pleców na piersi, żeby przeanalizować, czy nie ma jeszcze innych obrażeń, które mogły być spowodowane czymś innym niż upadkiem. Kiedy unosiliśmy ciało, miałem wrażenie, jakbym podnosił worek z kośćmi. Do tego jeszcze ten widok. Bo przecież musisz przyjrzeć

się tej osobie, a jej twarz czy pewne detale ciała zapadają ci głęboko w pamięci. Musiałem wsunąć dłoń we włosy dziewczyny i dotykać jej czaszki. W jakimś sensie ten dotyk musiał być czuły, żebym właściwie zinterpretował to, na co natrafię. Pamiętam te dłużące się sekundy. Smugi krwi na rękawiczkach. Prokurator się uruchomił, że może to jednak zabójstwo, a upadek miał tylko przykryć ślady zbrodni. Podejrzanie wzięło się stąd, że pomoc wezwał chłopak tej dziewczyny. Zawsze mógł wchodzić w grę jakiś motyw. Ale finalnie nic na taki scenariusz nie wskazywało.

Tylko później te uporczywe myśli: cholera, dziewczyna w moim wieku – dlaczego?

To myśli zupełnie inne niż te, które miałem kilka godzin później. Na tej samej służbie zostałem wezwany do drugiej śmierci. W parku miejskim, na ławce, w pozycji siedzącej czekały na nas zwłoki ponad sześćdziesięcioletniego mężczyzny. Wszedł pobiegać, dopadł go rozległy atak serca, zatrzymał się i usiadł na ławce, z której już nie wstał. W takim przypadku nie szarpią tobą emocje.

Chciałbym, żebyście mnie właściwie zrozumieli. Każda śmierć jest jakimś dramatem, zwłaszcza dla najbliższych. Ale nie każda będzie siadać policjantowi na psychice. Szukając dobrych, rozwijających stron pracy w Wydziale Kryminalnym, muszę wskazać właśnie na te doświadczenia z martwymi ciałami. Ten bliski kontakt sprawia, że momentalnie nabierasz szacunku, do jakiego nie przekonałyby cię najmądrzejsze słowa.

W patrolówce masz tylko zabezpieczyć zwłoki, kiedy przyjedziesz na miejsce zdarzenia. Kiedy pojawi się już technik, możesz być ewentualnie potrzebny jeszcze do jakiejś prostej pomocy. Ale główne zadania policjanta z patrolu przy martwym ciele sprowadzają się do sprawdzenia, czy ofiara ma dokumenty, dzięki którym można ją zidentyfikować, czy wokół nie ma śladów do zabezpieczenia, czy są obecni jacyś świadkowie. A potem przekazanie informacji prokuratorowi, kiedy ten pojawi się na miejscu. W kryminalnym kontakt jest dużo dłuższy, a tym samym mocniej oddziałuje mentalnie.

Są takie oznaki, które nieodwołalnie wskazują, że delikwent zaliczył zgon. To stan rozkładu, stężenie pośmiertne i plamy opadowe. Plamy opadowe oznaczają, że krążenie ustało już dłuższy czas temu. Czerwone krwinki opadają, resuscytacja nie jest możliwa, bo zgon już się dokonał.

Stężenie pośmiertne również wskazuje, że nie ma już kogo ratować. A rozkład ciała nie jest możliwy do przeoczenia.

Może się jednak zdarzyć tak, że wpadacie na miejsce zgłoszenia i nie macie pewności co do stanu człowieka, bo nie widać żadnej z tych oznak. Wtedy trudno, trzeba się spiąć i podjąć reanimację, bo nie da się wykluczyć, że wciąż jest szansa na przywrócenie kogoś do życia. Jeśli zastaniecie osobę powieszoną, to ją wtedy odcinacie i pompujecie. Lepiej wziąć na siebie to ryzyko, że zatrze się ewentualne ślady na potrzeby prokuratora, niż zaniechać ratowania człowieka. Zapewniam, że nikt nie chciałby usłyszeć pod własnym adresem tekstu: „jakby pan coś zrobił, to on by jeszcze żył”.

Ponieważ zgony, do których najczęściej jeździ policja, to śmierci z przyczyn naturalnych albo samobójstwa, więc wcale nie ma wielu osób, które mają duże doświadczenie i bardziej zaawansowaną wiedzę dotyczącą zwłok. Akurat mnie się tak trafiło, że od razu przy pierwszej śmierci, do której dostałem wezwanie, musiałem wejść w interakcje z ciałem w tak inwazyjny sposób. To zostanie ze mną na zawsze.

Nowy rok, nowy wniosek personalny, nowa służba. Wskoczyłem do patrolówki i zaliczyłem eksplozję endorfin. A tymczasem komendant zaczął mnie ścigać o to, kiedy zdam dawne sprawy z dochodzeniówki. Tłumaczę, że na ile czasu się umówiliśmy, tyle spraw wyrobiłem, a że dyżury zjadły większość tego czasu, to była już ich decyzja, nie moja.

Ciśnie:

– Sprawy muszą być zdane!

Zaproponowałem, że jeżeli będę miał w ramach pracy wyznaczony jakiś dzień czy dwa w tygodniu, żeby dopiąć dochodzeniówkę, to w porządku.

– Nie tak się umawialiśmy – odparł. Zapytałem więc, czy prosi mnie o wolontariat, czy w czasie wolnym mam przychodzić? Komendant:

– Bagiet, była umowa.

Ripostuję:

– No, była, że będę miał czas, żeby się rozliczyć, i go nie dostałem. Tak samo jak była umowa, że będę mógł wrócić do patrolu, i też długo nie miałem na to szansy.

Ten konflikt ciągnął się spory kawałek czasu. W efekcie czekali na mnie, ja nie miałem kiedy się tym zajmować, aż w końcu zrobili to za mnie naczelniczka i komendant. Widocznie stwierdzili, że szybciej sami te rzeczy ogarną, niż jak mnie będą ciągle wzywać bez efektu.



Tak zamknąłem swoją karierę w kryminalnym. Tym samym rozstałem się z wyidealizowanym wyobrażeniem o policyjnej robocie w dochodzeniówce, otrzymując w zamian solidne wprowadzenie w realia funkcjonowania policji.



Jeśli chcecie mieć skuteczny monitoring, pamiętajcie nie tylko o parametrach kamery. Ważniejsze są sposoby na zapewnienie jej stałego zasilania (bo co jeśli włamywacz będzie w stanie z zewnątrz wyłączyć korki?), pamięci do przechowywania nagrań (chmura jest lepsza niż karta, którą włamywacz może ze sobą zabrać) czy dostępu do nagranych materiałów (aplikacje, powiadomienia, dostęp do chmury itd.).

# Interwencje



Patrolówka to dla mnie serce policyjnej roboty. W niej odżyłem. Jednocześnie entuzjazm i wyciszenie. Wkroczyłem w rzeczywistość, w której odnalazłem utracony wcześniej sens pracy, a zarazem spokój od głupoty przełożonych. Czas pokazał, że była to cisza przed burzą. Niemniej przynajmniej na tamtym etapie nikt nas nie cisnął o mandaty, statystyki, tabelki. Mieliśmy iść na ulicę i robić swoją robotę. Jeszcze nie wiedziałem, co mnie czeka, więc hormony szczęścia szalały, a ja z bananem na twarzy ruszałem na ulicę. Co najważniejsze, nie tylko ja, bo mieliśmy zajebisty Zespół. Zgrany zespół jest w policji wielką wartością, a tabelkowi czy przełożeni największymi wrzodami na dupie.

Jedna z pierwszych akcji, jakie miałem na patrolu, od razu sprawiła, że poczułem się na swoim miejscu. Awantura domowa: naćpany synek pokłócił się z matką. Nakręcony na maksa wyszedł na klatkę schodową i pięścią rozbił okno. Kiedy jego ręka przebiła się przez tafelę szkła, niemal zgilotynowało mu przedramię. Pech chciał, że trafiło na tętnicę promieniową. Kiedy dojechaliśmy, gość chodził po bloku i tryskał krwią

na lewo i prawo, ale w efekcie działania narkotyków wciąż był agresywny. „Chodźcie, kurwy, chodźcie!” – wołał do nas. Zachowaliśmy na początku jakąś bezpieczną odległość, ale i tak ochlapał mnie krwią. Uczucie, kiedy spływa ci po twarzy czyjaś ciepła krew, nie należy do fajnych doznań. Kumpel wziął na siebie przypilnowanie typa, a ja przyniosłem z radiowozu okulary, żeby typ nie zachlapał nam oczu i żebyśmy widzieli, co robimy.

Sceneria była już jak z horrou, bo wszędzie na ścianach czerwone bryzgi. Czekaliśmy na odpowiedni moment. Kumplowi udało się zagadać koleś, a ja powolutku starałem się przesuwając na bok, żeby znaleźć się w końcu za jego plecami. Na dany znak rzuciliśmy się na niego równocześnie z przodu i z tyłu. Koleś gleba, ale wierzga. Każdy z nas się ślizga, jak byśmy brali udział w walkach w malinowym kisielu. Wreszcie typa spacyfikowaliśmy, zakuliśmy, a ja założyłem mu opaskę uciskową, żeby się nie wykrwawił. Wrzuciliśmy typa do karetki i na sygnale na SOR. Facet zaczął słabnąć i miał pierwsze objawy wstrząsu: nieprzytomny wzrok, potliwość, blada twarz. Lekarz przyznał, że już niewiele brakowało, żeby znalazł się po drugiej stronie.

Takie sytuacje zawsze wymagają jakiejś odpowiedzialności i oceny ryzyka przez policjantów. Czasem od razu widzisz, że będzie konieczna pomoc medyczna, ale nie masz możliwości, żeby ją wezwać. W mojej karierze nie miałem aż tak grubej akcji, żeby któryś zbir wymagał skomplikowanych operacji i nie wiadomo jakiej obstawy w szpitalu. Udzielenie pomocy jest najważniejszą zasadą, dlatego najpierw szpital, później pozostałe czynności policyjne. Dopóki nie przekażesz człowieka do aresztu śledczego albo na dołek, to odpowiadasz za jego kondycję. Jeżeli są przesłanki do zatrzymania, a człowiek musi być hospitalizowany, to trudno – czekasz na szpitalnym korytarzu. Jeśli się przeciąga, kończy się twoja zmiana, a na wygrzanym stołku siada kolega. Tak było w przypadku tej interwencji. Ona zresztą na koniec rozeszła się po kościach i na stół poszło chyba tylko zakłócanie porządku, bo matka chłopaka nie chciała zgłaszać przemocy z jego strony.

Jak już wspomniałem, w policji masz kontakt ze śmiercią. Przywykasz, ale nie da się przywyknąć całkiem. Czyjaś śmierć to zawsze twój stresor. Jego wpływ da się zniwelować, ale nawet jeśli będzie ci się wydawało, że masz ten stres w miarę pod kontrolą, to może zdarzyć się coś, co cię totalnie rozwałkuje.

Dyżurny odebrał zgłoszenie. Wysłał nas na jedno z nowych osiedli. Grupa dzieciaków czekała na nas, to oni powiadomili policję. W bloku znajdowało się mieszkanie ich koleżanki ze studiów. Przyszli, bo od jakiegoś czasu nie odbierała telefonu, nie odpisywała na wiadomości. Dzwonili domofonem, ale również nie odpowiedziała. Wtedy zadzwonili po nas. Akurat byłem na służbie z młodym chłopakiem, zaczął pracę może kilka miesięcy wcześniej. Świeżak po szkole, nigdy na oczy nie widział trupa. Już jak rozpytywaliśmy towarzystwo o tę dziewczynę, czułem, że skończy się odkryciem zwłok w mieszkaniu. Najgorzej, że jeszcze tej osoby nie zobaczyłem, a już czułem względem niej wielką serdeczność. Dwadzieścia kilka lat, studentka fajnego i ważnego kierunku, na zdjęciach uśmiechnięta i atrakcyjna, towarzyska, lubiana... Aż pojawił się temat zawodu miłośnego.

Pokłóciła się z chłopakiem. Chłopak nie miał kontaktu z towarzystwem dziewczyny ze studiów. Szperaliśmy po sieci i udało nam się namierzyć jego numer telefonu. Dzwonię. Chłopak potwierdza: pokłócili się srogo, później on wyjechał, ale jednak mieli się spotkać po jego powrocie. Dzwonił, lecz nie odbierała. Pomyślał, że się rozmyśliła, i nie chciał być natarczywy. Większego pożytku z tej rozmowy nie było. No to jeszcze raz gadka z tymi znajomymi. Wreszcie ktoś bąknął, że w ostatnim czasie dziewczyna miała epizod depresyjny, ale wyszła z niego, lecząc się farmakologicznie. W głowie układało mi się to w coraz gorszy obraz i właściwie w tym momencie straciłem nadzieję na pozytywne zakończenie tej interwencji.

Podeszliśmy pod drzwi mieszkania. Dzwonek, pukanie, cisza. Zacząłem wołać lokatorkę – cisza. Poprosiłem jej koleżeństwo, żeby oni spróbowali. Może kiedy usłyszysz znajome głosy, zmobilizuje się, żeby otworzyć drzwi. Niestety cisza. Poinformowałem wszystkich, że w tej sytuacji podejrzenie zagrożenia życia jest jednoznaczne. Nie miałem możliwości sam staranować drzwi do mieszkania. Były antywłamaniowe i otwierane na zewnątrz. Wezwałem straż pożarną.

Chłopaki ze straży staranowali drzwi. Koleżeństwo dziewczyny poprosiłem o zostanie na korytarzu. Wszedłem pierwszy. Rozkład mieszkania: przedpokój połączony od razu z aneksem kuchennym i z malutkim salonem, po lewej stronie mała sypialnia i sąsiadująca łazienka. Staję na środku, rozglądam się, mówię: „Chyba jej nie ma”. Ledwie skończyłem to zdanie, dostrzegłem ją. Wisiała powieszona na

klamce od drzwi. Wyglądała, jakby zwyczajnie przysiadła na podłodze. Potrzebowałem chwili, żeby poskładać ten widok do kupy. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że to popularny sposób samobójstwa. Do teraz zachodzę w głowę, jak silną trzeba mieć do tego psychikę. Jeżeli skoczycie ze sznurem zawieszonym pod sufitem, to już niczego nie da się cofnąć. Wystarczy jeden impuls, jeden krok w otchłań. Ale kiedy próbujecie powiesić się na klamce, zawsze możecie wstać, dać sobie jeszcze szansę, zrezygnować w trakcie. Tymczasem ludzie są tak zdesperowani, tak bardzo chcą umrzeć, że najczęściej na tych klamkach się duszą, wcale nie zrywają sobie rdzenia i nie tracą od razu świadomości. Wszystkie instynkty życia zostają podporządkowane pragnieniu skończenia z sobą.

Dzięki rozmowom z jej przyjaciółmi i zdjęciom, które mi pokazali, czułem, jakbym trochę ją poznał, a nawet polubił. Denerwowałem się strasznie w myślach: „Dziewczyno, dlaczego nie wstałaś?!”.

Jej ciało weszło już w etap stężenia pośmiertnego. Zastygła w tej pozycji, twarz miała piękną i spokojną, a szyję zasłoniętą apaszką. Nie miała bruzdy wisielczej, która pojawia się na szyi w wyniku skoku albo silnego napierania masą ciała na sznur. Podejrzewam, że po prostu odcięła sobie dopływ tlenu do mózgu i w ten sposób umarła, powieszona na delikatnej apaszce, którą rozpostarła szeroko. Zapamiętam ją na zawsze. Tę dziewczynę, która wyglądała, jakby zaraz miała się podnieść.

Sam musiałem otrząsnąć się z tego szoku, a tu patrzę – mój partner ledwie się trzyma na nogach. Szybko go zawróciłem, żeby zajął się oficjalnie powiadomieniem towarzystwa o tym, co się stało, chociaż z korytarza już docierały do nas zawodzenia i szloch. On poinformował też rodzinę, która pojawiła się na miejscu po jakimś czasie.

Ściągnąłem lekarza do stwierdzenia zgonu. Wówczas było to koniecznością, dzisiaj może to zrobić też ratownik medyczny. To akurat zmiana na lepsze, bo zanim lekarz zajął się wszystkimi żywymi, których miał na dyżurze, to zwykle trzeba było sporo godzin odczekać. Do takich sytuacji wzywano najczęściej lekarzy z podstawowej opieki zdrowotnej albo z nocnych czy świątecznych dyżurów, więc takich, którzy zawsze mieli sporo na głowie.

Młody był wstrząśnięty. Mnie też to siedziało w bani. Na szczęście w policji pomoc psychologa stała się już jakąś normalnością. Chociaż mówię o tym tylko z opinii zasłyszanych, sam nie musiałem – czy może

po prostu: nie zdecydowałem się – skorzystać z konsultacji. Wiem natomiast, że jest o nie obecnie stosunkowo łatwo.

Problem leży jednak głębiej niż w dostępności wykwalifikowanych osób, które są w stanie realnie pomóc policjantom. To trudność kulturowa, który być może dotyczy szerzej różnych służb mundurowych. Wciąż są to zawody, w których dominują mężczyźni. Pracuje w nich coraz więcej kobiet, o czym sam przekonałem się choćby w dochodzeniówce, w której stanowiły większość składu, ale nie wszędzie tak jest. A w naszej kulturze nadal dominuje wymóg, że facet ma być przede wszystkim twardy, pozbawiony słabości, a przynajmniej nie powinien ich nigdy ujawniać. Idzie na ulicę, więc taki musi być. To się zmienia. Widzę, że już nie kastrujemy się z emocji. Czasem ktoś powiedział kumplom, że coś go poruszyło, albo że długo leży mu na wątrobie. Dawniej wszystko miały załatwić żarty i wyparcie. Było tak nawet wśród kumpli, którzy robili razem na patrolu.

Od początku funkcjonowałem trochę poza tym stereotypem, czego się pewnie domyślacie, oglądając moje nawijanie w filmikach. Ale mimo wszystko też nie przychodziło mi łatwo porozmawiać z kolegami o ciężkich sprawach. Złapałem się kilka razy na tym, że coś mi siadło na bani i nosiłem łeb ciężki jak ołowianą kulę, zanim odezwałem się choćby do Mariusza. Mariusz był moim najlepszym partnerem w patrolówce. Przyjaźnimy się do tej pory. Z nim mogłem pogadać o wszystkim. Jednocześnie wiedziałem, że po zejściu z takiej interwencji, jak ta z samobójstwem dziewczyny, nie wejdę na komisariat i nie będę o tym opowiadać – ani o szczegółach akcji, ani o swoich emocjach, ani o tym, że mi to grubo siadło.

Myślę, że dawniej, ci, którzy dusili wszystko w sobie, między innymi z tej przyczyny płynęli w alkohol. Zapijali swoją pracę i tym samym swoje zdrowie i życie. Jednak jeżeli ktoś nie będzie miał chęci i dość otwartości w sobie, to w żaden sposób nie zmusisz go do przyjęcia pomocy. Na konsultacje z psychologiem musisz umówić się sam. Nie ma żadnych automatycznych skierowań, że jak byłeś na zabójstwie, to potem masz porozmawiać z psychologiem. To by było przegięcie w drugą stronę. Dlatego obecny model oceniam jako dobry. Kto chce, ten korzysta.

Do widoku śmierci da się przyzwyczaić. W oswojeniu się, ale też w tym, żeby nie rył na długo bani, pomagają okoliczności. Wiele z tych śmierci odbywa się w otoczeniu alkoholu i narkotyków. Ktoś przedawkuje, ktoś



pod wpływem targnie się na swoje życie, inny stanie się agresywny i po nocnej imprezie ożeni komuś kosę...

Dopiero takie sytuacje, jak samobójcza śmierć tej dziewczyny, poruszają w człowieku głębokie pokłady empatii. Dostrzegasz, że jakieś obiecujące, młode życie zakończyło się bez sensu. Wszystko z powodu jakiegoś niepowodzenia, które wcale nie musiało być wielką tragedią, bardzo możliwe, że za niedługi czas ona pozbierałaby się i doczekała jeszcze swojego szczęścia. Ale też przyczyny decyzji podjętej przez nią mogły być bardzo głęboko skryte, a kryzys w związku tylko katalizatorem. Jest człowiek, nie ma człowieka. I tylko to zimne, sztywne ciało sprawia, że cała ta scena jest jakkolwiek realna.

Zostałem wezwany do solidnej męskiej ekipy. Jeden z chłopaków postanowił zadzwonić na policję, bo najpierw nie mogli się doszukać kumpla, a jak go znaleźli, to był w dość niewyraźnym stanie. Wynajmowane mieszkanie, grupa samych facetów. Ledwie przekroczyłem próg, pomyślałem: „No, to już mogę w ciemno wzywać prokuratora...”.

Chwilę przed moim przyjazdem jednego z nich zabrała karetka. Gość był w stanie krytycznym. Zmarł w szpitalu. Kumple utrzymywali, że nie wiedzieli, co mu się stało. Wieczorem poszli do mieszkania, ogarnęli, poszli spać. Jednego z nich wprawdzie nie było, ale zapowiadał, że ma gdzieś pojechać, a później w nocy i tak słyszeli, że śpi. Po czym poznali? Bo chrapał. Dźwięk dochodził z kanapy. Ale rano to już nie było chrapanie, tylko jakieś rżenie. Jest rżenie, kumpla brak. Odsunęli kanapę, a za kanapą zawinięty dywan, z dywanu spływa krew i narasta rżenie. Rozwinęli dywan, w środku – ich kumpel skopany po całym ciele tak, że nie był w stanie się odezwać; nieprzytomny, ze zmiżdżonymi narządami wewnętrznymi i krwiakiem podpajęczynówkowym. Chrapanie, które słyszeli, było bulgotem krwi, która gromadziła się w roztrzaskanej krtani.

Wpadliśmy tam, żeby ogarnąć tych chłopów. Zaczęliśmy z nimi gadać i coraz mniej trzymało się kupy. Dostyc szybko temat łyknęli policjanci z komendy miejskiej z Wydziału do Walki z Przystępczością Przeciwko Życiu i Zdrowiu, bo sprawa od progu szła w stronę zabójstwa. Nie wiem, jak się skończyła, ale podejrzewam, że przyczyną były długi.

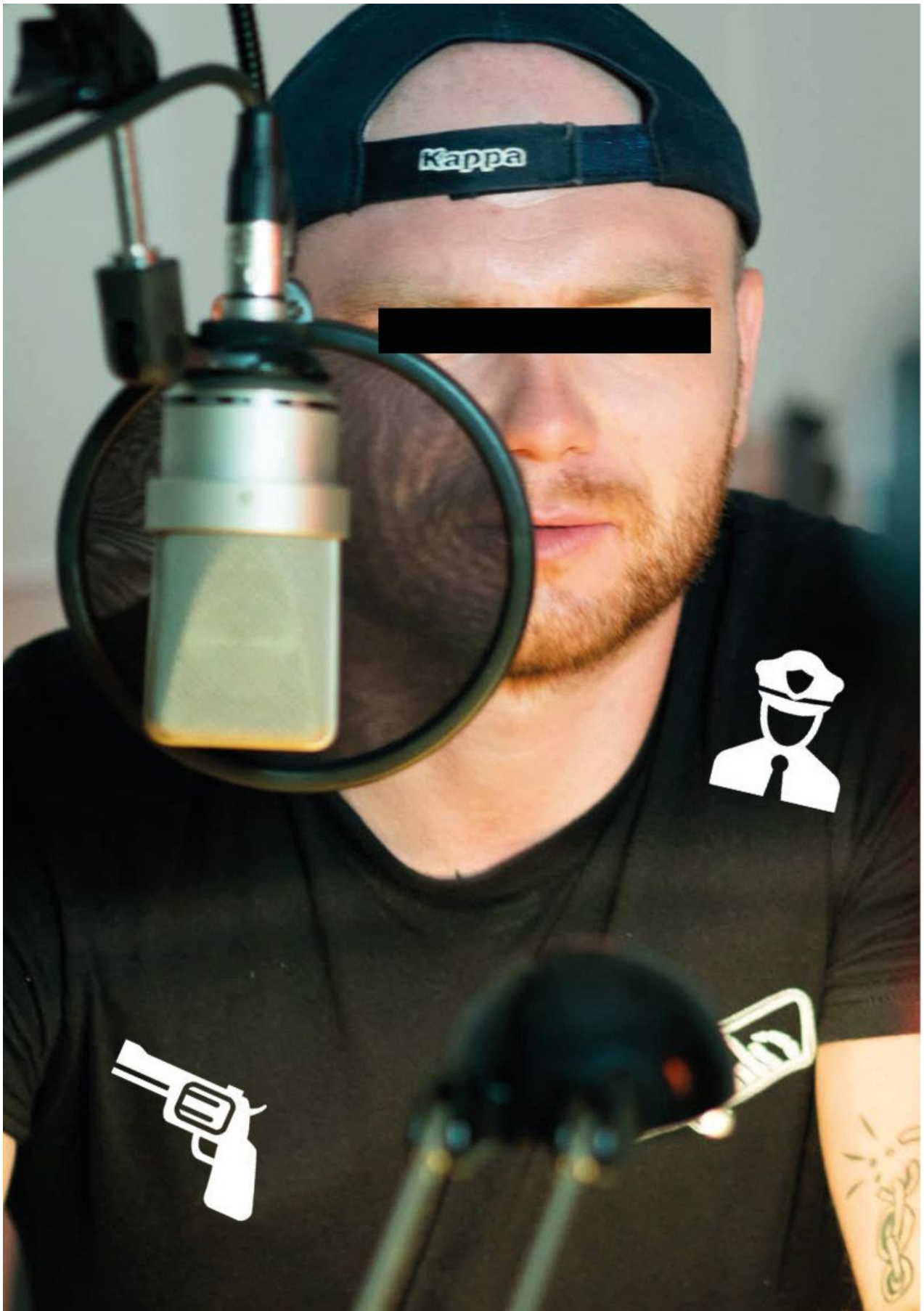
To była moja pierwsza, z nielicznych zresztą, interwencja, kiedy w protokół wpisywałem podejrzenie przestępstwa z artykułu 148 kodeksu karnego – zabójstwa.

Innym razem dokonywałem zabezpieczenia miejsca zdarzenia. Miasto, noc, zabójstwo. Przyglądałem się, jak pracują technicy kryminalistyki. Mocno filmowy klimat. Zazwyczaj jest tak, że z oględzinami miejsca czeka się do rana, zabezpieczając miejsce na noc. Tym razem zapadła decyzja, że trzeba sprawę ogarnąć jak najszybciej. Odpalili wielkie reflektory, otoczyli miejsce zdarzenia, rozciągnęli taśmy. Światło rzucało na ziemię cienie techników, uwijających się przy pracy jak mrówki.

Przyjechali policjanci z dochodzeniówki miejskiej. Popatrzyli, popytali, pokręcili się. Trudna sprawa. Żadnych świadków, żadnego monitoringu, środek nocy. Cała interwencja wzięta się ze zgłoszenia o pożarze. Pożar miał obejmować drewnianą altanę ogrodową na prywatnej posesji. Okazało się, że nie była to zwyczajna altana. Dwóch braci po prostu w niej mieszkało. Jeden z nich stał się jej właścicielem w wyniku podziału majątku przy sprawie rozwodowej. Tyle mu zostało z małżeństwa. Brat, który był menelem, znalazł u niego schronienie, co miało miejsce tak dawno, że śmiało można było uznać, że przez zasiedzenie altana była ich wspólna. W tej altanie chłopcy się we dwóch nakręcali: łoil wódę do upadłego.

W pewnym momencie doszło między nimi do sporu. Sprzeczka miała na tyle burzliwy przebieg, że brat-właściciel sięgnął po najcięższy argument. Powiedział, że altana należy do niego, niech więc brat z niej wypierdala, ale już, w podskokach i żeby jego oczy go więcej nie widziały – klasyk. Brat-zasiedleniec nie dał się przekonać i poszedł spać, no bo przecież, jakim prawem ten patałach ma mu rozkazywać. Po pijaku sen jest twardy. Brat-właściciel miał ochotę jeszcze coś wygarnąć towarzyszowi, ale po drugiej stronie nie było szans na wybudzenie. Zezłościł się i trochę go poniosło.

Picie alkoholu w nadmiarze ogłupia, taka jest obiegowa opinia. W gruncie rzeczy chodzi o to, że cała sieć neuronalna w ludzkim mózgu stopniowo się degraduje. W efekcie ludzie, którzy kiedyś nie posunęliby się do gwałtownych czynów, wyniszczeni przez alkohol, robią rzeczy straszne i bezwzględne. W patologicznych środowiskach tego typu akcje, jak chociażby śmiertelne sprzeczki z powodu mniej niż błahaego, zdarzają się bardzo często.



Gość wziął rozpuszczalnik, polał nim śpiącego brata, przyłożył zapalniczkę. Ogień od razu zajął człowieka i konstrukcję altany. Ktoś zobaczył dym i płomienie, wezwał straż pożarną. Tymczasem geniusz zła rzucił się do ucieczki i ukrył w krzakach na posesji. Policji niewiele czasu zajęło ujęcie go. Podpalony brat dzięki szybkiej akcji strażaków wyjechał do szpitala jeszcze żywy, ale miał ponad sześćdziesiąt procent ciała dotkniętego poparzeniami pierwszego stopnia. Kiedy nocą ogarnialiśmy to miejsce, sprawa szła na usiłowanie zabójstwa. Ale do rana poparzony mężczyzna zmarł i musiała wjechać nowa klasyfikacja: artykuł 148.

Trzecie zabójstwo, przy którym pracowałem. Patrol, kręcimy się furą po mieście. Na pokładzie stary glina, niezły wyjadacz, i ja. Przez radio poleciał komunikat, żeby wesprzeć inną jednostkę. Nie nasz rejon, ale byliśmy najbliżej. Przyjęliśmy i długa. Na miejscu: dwoje meneli: ona i on, wyraźnie ludzie z marginesu społecznego. Ich dwoje, a flaszka jedna. Kobieta chciała, żeby facet się dołożył. Składkowe na poziomie sześciu złotych. Facet z kolei nie był dżentelmenem i uważał, że mu się należy bez wkładu własnego. Dyskusja, sprzeczka, emocje. I kobieta ożeniła gościowi kosę.

Jeszcze jeden przypadek, którym zajmował się mój komisariat, ale ja sam miałem przy nim udział mniej niż śladowy. Wspominam o nim, bo swego czasu był głośny. Wyglądał niecodziennie, a jednak wpisał się w schemat głównych przyczyn zabójstw.

Autostrada A4, odcinek obwodnicy miasta. Na drodze kobieta w samej bieliźnie. Na zgłoszenie pojechała drogówka. Pewnie naćpana. Zawinęli ją i przywieźli na komisariat. Minęła godzinę, zgłoszenie. W hotelu zwłoki czarnoskórego mężczyzny z raną postrzałową. Na początku nic nie wskazywało na to, że to sprawy ze sobą powiązane. Okazało się, że pani, pozostając w związku małżeńskim, umawiała się z przyszłym denatem na seks. Temu z kolei wydawało się to odpowiadać. Dograny układ bez drugiego dna – pieniędzy, szantażu emocjonalnego, czegokolwiek kryminalnego. Aż pewnego razu nie zdążyli podzielać, bo kobieta postanowiła typa odpalić. Później spanikowała i jak stała, tak wybiegła z budynku. A że stała w samej bieliźnie, tak w niej dobiegła aż do wielopasmówki, gdzie ktoś ją zobaczył i zadzwonił na policję.

O tym, że sprawy nie zawsze są takimi, jakimi się wydają, przekonałem się podczas innej interwencji, do której zadysponował nas dyżurny.

Na komisariat wbił typ. Stanął manifestacyjnie przed dyżurnym i zrzuca koszulkę. Świeci torsem, a tors obity.

- O, tu, tu! – gość pokazywał siniaki na kłacie.
- Co tu?
- No, tu mnie szwagier siekierą jebnął!
- A co się stało, że uderzył tą siekierą?
- No, zajebać mnie chciał, chuj jeden pierdolnięty na umyśle.

Wyglądało więc na to, że zgłaszający miał podwójne szczęście. Musiał mieć dobre ubranie, które zamortyzowało cios, a napastnik w dodatku pewnie trafił go obuchem, co oczywiście może okazać się śmiertelnym ciosem, ale mimo wszystko daje większą szansę przeżycia niż uderzenie ostrą krawędzią. Dyżurny wypytał ofiarę o jej stan zdrowia i samopoczucie, ale facet stwierdził, że wszystko gra. Dyżurny pomyślał: „usiłowanie zabójstwa” i chciał wezwać karetkę. Ale typ twarzą, że wszystko gra, karetki nie trzeba, teraz najważniejsze to złapać tego szwagra zbója.

Mnie wpadło to zgłoszenie. Zbieram się z komisariatu z młodym policjantem i już chcemy ruszać pod wskazany adres. Według ofiary do napaści doszło w jej mieszkaniu, a napastnik miał w nim nadal przebywać. Stoimy w progu komisariatu, kiedy słyszymy, że facet uporczywie odmawia wezwania karetki. Mogą być emocje, adrenalina, ale takie zgłoszenie bez chociażby wezwania karetki będzie słabo udokumentowane. Zawahałem się, jednak dyżurny dał nam jasną dyspozycję, żeby jechać i zawiązać gościa z podejrzeniem usiłowania zabójstwa. Sam byłem już skołowany, bo nie wiedziałem, czy ofiara wykazuje taką determinację, bylebyśmy tylko schwytali napastnika, czy może nadal jest w szoku i podaje niekoniecznie precyzyjne informacje.

Wsiedliśmy do radiowozu i wtedy sobie myślę – a nie byłem wtedy żadnym wyjadaczem, raczej leszczem, który dopiero zbierał doświadczenia – że jeśli typ jest uzbrojony w siekierę, to może dwóch to będzie nas za mało. Spróbowałem zorganizować przez radio dodatkowy patrol, ale nie było takiej opcji. Trudno, zgarnęliśmy na trzeciego dzielnicowego, zawsze to raźniej. A gdyby napastnik miał być agresywny, cóż, będzie trzeba sięgnąć po broń; on zaatakuje – my odpowiemy strzałami.

Na miejscu podchodzimy pod drzwi mieszkania. Klamki w rękach, tylko dzielnicowy stoi zesrany, jakby się bał w ogóle dotknąć broni. Nie powiem, u nas też bez frajdy, bo to zawsze gruba spina, kiedy gdzieś wbijasz

ze świadomością, że na dzień dobry musisz trzymać walthera P-99 w dłoni. Elegancko pukamy. „Otwierać, policja!”. A tu spokojnie facet otwiera, niczego w rękach nie trzyma. A my mu przed twarzą machamy giwerami. „Kładź się na ziemię!”. Typ zdziwiony, zawiesił się. Układ mieszkania za nim: korytarz, wejścia do dwóch pokoi, kibel, pokój, kuchnia, łazienka. Ponawiam wezwanie, nie reaguje. Źle się to wszystko zapowiada. Otrzymał groźbę użycia gazu od kumpla i zaczął się burzyć.

Wreszcie kumpel wyszedł zza moich pleców. Wali gościa po oczach gazem pieprzowym. Gaz ma formę żelu, bo w pomieszczeniach nie używamy rozpylacza, żeby samemu się później nie władować w tę chmurę. Typ chciał zrobić unik, cofnął się, dostał w twarz gazem, kumpel stracił równowagę, poleciał na niego. Żel ze zbója wylądował na kumplu, obaj leżą poskładani, tamten się miota, dzielnicowy ze strachu stoi jak osinowy kołek... W tym samym momencie z mieszkania wypadły dwa psy.





Pierwszy – typowa blokowa parówka: serdelek na krótkich łapkach, wylupiaсте oczy, jazgotliwy szczek. Drugi pies – no, bydle, mieszanka labradora i husky. Myślę, że jeśli nie chłopa, to psa, ale chyba kogoś będę musiał odpalić. Zwierzęta w szczek, ale stanęły. „Człowieku, zabieraj te psy natychmiast!” – krzyczę. Ale psy w momencie ustąpiły, bo okazało się, że szefem w tym tandemie jest parówka, któremu wcale nie było spieszno do ataku, a bydle tylko obstawiało tyły i miało ujemną motywację do ataku. Serdel więc ciągle się darł, ale zachowując dystans, a cielak w ogóle wycofał się pod kanapę w pokoju.

Gość wierzga, kumpel go dominuje, ponowiłem wezwanie, żeby został na ziemi, ale facet nie chciał się zastosować. Próbuujemy założyć mu bransoletki, kumpel wreszcie złapał dobry chwyt, co nie było łatwe, bo przecież nic nie widział (szacun!) – totalna szamotanina.

Nie czułem się pewnie podczas tej interwencji. Świadomość, że gość może być nieobliczalny, że korytarz jest tak ciasny, że nawet jak się rzuciłem w ten młyn, to kumplowi już nie bardzo miałem jak pomóc. A do tego ten dzielnicowy – biedny gość na emeryturze, którego wryło w ziemię ze strachu i zamienił się w lodowy posąg. Taka akcja mu się przytrafiła

na stare lata. Oczywiście po ludzku z nim empatyzuję, ale wtedy to ja oczekiwałem wsparcia.

Jakby tego było mało, aresztowany dostał spięcia mięśniowego. Takiemu człowiekowi nie bardzo da się założyć kajdanki. Nie można go też dalej pacyfikować gazem. Jedyne, co można, to spróbować go po prostu zakuć w te cholerne kajdanki, choć ten sztywnieje niczym kłoda. Przejąłem chwyt od kumpla. Zacząłem typa zduszać, a w tym czasie kolega ogarnął twarz, żeby cokolwiek widzieć. Czuję, że facet zaczyna mięknać, więc to moment, w którym już muszę poluzować, żeby nie przeholować. Wołam do kumpla: „Zakuwaj!”. Wraca, manewruje zręcznie kajdankami, założone. Tyle że w całym tym zamieszaniu i z ograniczoną widocznością, bo gaz, założył mu kajdanki z przodu. No to tak jakby nie założyć ich wcale! Znowu gościa zdusiłem, przepięliśmy bransoletki. Sytuacja zaczęła się uspokajać.

Kumpel wstał, dzielnicowy podał mu chusteczki do przemycia oczu po gazie pieprzowym. Typ leży w korytarzu. Z mieszkania wychodzą psy. Ten cielak obwąchuje, merda ogonem, szuka kontaktu – fajny pies. Mały prowodyr biega od ściany do ściany, od człowieka do człowieka, oczywiście nieustannie szczekając. Po chwili się jednak zamknął. Podeszedł do kumpla, który siedział na schodach ze zwieszoną głową i zaciśniętymi oczami, bo piekły go jak diabli. Jedną ręką pociera twarz, drugą ma zwieszoną poniżej kolana. Serdel podchodzi, wacha go, liże po rękę, raz, drugi, a za trzecim – właśnie tak jak myślicie – za trzecim ugryzł go, bo na tej interwencji wszystko szło na opak.

Każdy z nas ma serdecznie dość, więc jak tylko złapałem oddech – bo jednak taki chwyt na dorosłym facecie utrzymywany przez kilka minut to solidny wydatek energii – pytam podejrzanego:

– Gdzie jest siekiera?

Tak, już wiecie, co odpowiedział.

– Jaka, kurwa, siekiera?!

– Chłopie, dopiero co szwagra chciałeś siekierą zajebać – o tę siekierę pytam.

Facet nadal nie chce współpracować, więc zaczęliśmy przeszukiwanie. Faktycznie, za piecem kaflowym leżała siekiera. Nawet jej nie ruszyliśmy, tylko poprosiliśmy dzielnicowego, żeby jej przypilnował, nie dotykając, aż do przyjazdu technika. My tymczasem gościa rzuciliśmy do radiowozu i uderzamy na komisariat.



Wchodzimy, rzucam do dyżurnego, że się udało, i idziemy pisać kwity na 148. Siadamy, gadamy, bo wszyscy już ochłonęli. Pytam podejrzanego, o co w ogóle im poszło. On wyjaśnia, że miał już któryś raz przeboje ze szwagrem w związku z opieką nad dzieckiem. Brat jego siostry robił mu trudności z oddawaniem syna po jakichś akcjach rodzinnej pomocy, kiedy przejmował nad nim opiekę. Tym razem sprawca przyjechał odebrać syna, a facet znów nie chciał mu go przekazać. Pokłócili się, on go w końcu popchnął, tamten mu oddał, ten chwycił siekierę, no i stało się – zamachnął się na gościa.

– Dobra, rozumiem, kiepsko to brzmi, ale to wciąż nie jest powód, żeby kogoś walić siekierą po klacie – mówię.

– Wiem, wiem, poniosło mnie.

My tak sobie gadu gadu, a tymczasem szwagier ofiara zmienił front. Odwidziało mu się. Opadły z niego emocje, wyparowała adrenalina. Zaczął panikować:

– Kurwa mać, a czy da się to jeszcze jakoś odkręcić?.

Dyżurny zbiera szczękę z podłogi.

– Ja to tak teraz przemyślałem, no bo on jest z tą moją siostrą, my się nie lubimy za bardzo ze szwagrem, bo on kiedyś miał niebieską kartę, ale widzę, że się teraz chłop ogarnął...

Polska rodzina w pełnej krasie. Alkohol, przemoc, spór o dzieci, animozje. I ten najtrudniejszy moment, kiedy człowiek próbuje coś przezwyciężyć, ale smród ciągnie się za nim i ma wieczną pokutę. Nie oceniam, tylko obserwuję, jak takie historie powielają się setkami. Szwagier ofiara ciągnie dalej:

– Już ten szwagier nie ma niebieskiej karty, mają dzieci, pracują oboje, jest generalnie okej. Więc nie chcę teraz siostrze życia niszczyć, bo jak wam go zgłoszę, to go dacie do więzienia, a co wtedy moja siostra zrobi?

Wyjaśniamy gościowi, że nie jest potrzebne jego zgłoszenie – policja usiłowanie zabójstwa ściga z urzędu, więc udawanie, że nic się nie stało, to droga donikąd.

Tak wygląda litera prawa, ale rzeczywistość jest nieco bardziej skomplikowana. Znaleźliśmy się w patowej sytuacji. Owszem, mogliśmy zacząć działania i założyć sprawę z urzędu, czyli bez zgłoszenia przez poszkodowanego. Jednak prędzej czy później musielibyśmy do niego

dotrzeć i tak jako do świadka. Wówczas nasza rozmowa mogłaby już wyglądać następująco:

– Stuknijcie się w głowie, panowie, ze szwagrem żyjemy jak bracia, nie mam nic więcej do powiedzenia w sprawie naszych relacji, które są prywatne, i nie zamierzam o nich rozmawiać.

– A jednak szwagier pierdolnął pana siekierą w serce. Czy tak wyglądają dobre relacje?

– Kto twierdzi, że tak było? Pierwsze słyszę.

– Był pan w tej sprawie na komisariacie, pańskie zeznania słyszało kilku policjantów.

– Żona mi opowiadała o takiej sytuacji, ale sam jej nie pamiętam. Mówiąc uczciwie, byłem pod wpływem alkoholu i kawy, co zmieniło mój stan świadomości i gadałem od rzeczy, co moi bliscy mogą potwierdzić. Sam ani tego nie pamiętam, ani nie widzę powodów, dla których miałbym twierdzić w sprawie szwagra to, co próbuje mi pan przypisać, a nawet muszę stwierdzić, że jest całkiem odwrotnie.

Scenariusz rodem z Barei, które swoją absurdalnością rozkładają prawo na łopatki.

Dobra, więc mamy problem: goście chcą się wymiksować, każdy ma swoją rację, a na koniec jeden przeciw drugiemu nie wystąpi. Tylko że sprawy zaszły już trochę za daleko. Szwagier ofiara – nie zgłasza sprawy, szwagier napastnik się kaja, a połowa komisariatu namęczyła się przez ostatnie dwie godziny, żeby rzetelnie odpowiedzieć na poważnie wyglądające zgłoszenie. Był pot, były łzy, obeszło się bez krwi.

Wtedy jeszcze na komisariacie nie mieliśmy kamerek nasobnych, a taka dokumentacja zgłoszenia byłaby dowodem w sprawie. Ja już wtedy miałem ambiwalentny stosunek do tego chłopca. Z jednej strony zrobiło mi się go żal, ale z drugiej byłem na niego wściekły, że musiałem jechać, szarpać się z nim, narażać młodego kolegę, stresować emerytowanego dzielnicowego. A typ mi teraz mówi „nic się nie stało”. Właśnie, że się stało! Trudna interwencja została zrealizowana.

Robimy z dyżurnym naradę, podczas której ważymy za i przeciw dwóch opcji, które mamy. Albo robimy notatkę i ciśniemy dalej, bo usiłowanie zabójstwa jest ścigane z urzędu. Albo nie robimy notatki, bo nawet jak trafi pod sąd, to bez zeznań gościa będzie umorzenie. Ale jest jeszcze ten napastnik z siekierą, którego został powalony na ziemię, przyduszony, spacyfikowany gazem, zakuty w kajdany. „A, nie, sorry, w sumie to było

niepotrzebne, wracaj, pan, do domu, życzymy dobrego dzionka i smacznej kawusi”.

Stwierdziłem, że muszę to jakoś mądrze rozegrać, żeby nie było dymu po tej całej akcji. Idę do podejrzanego.

– Wie pan co, ma pan zajebistego szwagra – mówię. – Tak pan dzisiaj nawywijał, proszę pana, grubo nawywijał, a szwagier po prostu przyszedł i wywalczył, żebyśmy pana wypuścili. Tak więc, naprawdę, duży koniak dla szwagra, jak tylko pan wyjdzie z komisariatu. To jedna sprawa. Ale jest też druga. Bo zdaje pan sobie sprawę, że pan nawywijał, prawda? Więc nie obejdzie się bez sprawiedliwości. Zakłócanie porządku, którego pan się dopuścił, atakując szwagra, nie ujdzie panu płazem. Jako policjanci od tego jesteśmy, żeby każdy czuł się bezpiecznie. Więc za to, proszę pana, czeka pana mandat w wysokości pięciuset złotych oraz kolejne sto złotych za słowa wulgarne w miejscu publicznym. Czy przyjmuje pan taką karę?

Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać.

– Przyjmuję, przyjmuję.

Równocześnie dyżurny zjechał od góry do dołu zgłaszającego przestępstwo i też zwolnił z komisariatu.

Miało być usiłowanie zabójstwa, a skończyło się na dwóch mandatach.

Warto wiedzieć, że wykrywalność w sprawach o zabójstwo jest naprawdę niezwykle wysoka. To jakiś swoisty paradoks, że przy najcięższych przestępstwach zostaje osiągnięta najwyższa wykrywalność. Zdawałoby się, że właśnie te powinny być szczególnie cwanie planowane i trudne do wykrycia. Jest jednak całkiem odwrotnie. Zapewne wynika to z faktu, że wiele z tych przestępstw ma u swojego źródła konflikty rodzinne, silne emocje i dokonywana jest w afekcie. Szczęśliwie jesteśmy już krajem, który poradził sobie z problemem twardej przestępczości zorganizowanej. Gangsterskie porachunki i mafijne układy to obecnie legendy miejskie, a nie realne zagrożenie i przyczyna zabójstw. Do tego zmieniły się standardy w policji, bo przy tak niskiej liczbie zabójstw siły i środki, jakie można przeznaczyć na wykrycie sprawcy, dziś to zupełnie inna historia niż kiedyś. Mamy do czynienia z inną skalą problemu niż oszustwo w sprzedaży internetowej, więc poziom zaangażowania i zmotywowania policjantów rośnie. Byłem wielokrotnie świadkiem, jak policjanci harowali do utraty sił, bez żadnych wymówek, kiedy chodziło o grubą sprawę do ogarnięcia. Na przykład gwałtu, zabójstwa czy ciężkiego rozboju



z poszkodowanymi. W życiu nie spotkałem się z olewką w takich sprawach.

Psy mają świetny węch. Zresztą często mawia się, że pies to zwierzę, które od razu rozpoznaje dobrego lub złego człowieka.

Zabójstwa w Polsce nie są poważnym problemem, jeśli spojrzymy na statystyki. Mimo to mam wrażenie, że w świadomości ludzi wciąż pokutuje przekonanie, że to powszechne przestępstwo. Pojawiają się różne narracje o Wydziałach Zabójstw uginających się pod ciężarem spraw do rozwiązania, które to opowieści nie są prawdziwe. W ogóle nie ma uzasadnienia dla powoływania takich jednostek, bo liczba zabójstw jest zbyt mała, a ta legendarna warszawska jednostka, w której robił Despero, przeszła już do historii. (Swoją drogą – polecajka: Warto obejrzeć pierwszego Pitbulla i wcześniejszy serial dokumentalny Prawdziwe psy). Policjanci, którzy zajmują się zabójstwami, pracują najczęściej w jednostkach do zwalczania przestępczości przeciwko życiu i zdrowiu, bo w kraju dochodzi w większym stopniu do przemocy innego rodzaju niż morderstwo. Jako policjant patroloво-interwencyjny, włączając też mój epizod w Wydziale Kryminalnym, przez siedem lat pracy w dużej aglomeracji miejskiej brałem czynny udział w działaniach służbowych przy trzech zabójstwach. W 2022 roku w Polsce miało miejsce około pięciuset zabójstw w niemal czterdziestomilionym kraju. Ludzie w Polsce nie tak chętnie zabijają się nawzajem. Widocznie w wolnym czasie zajmują się innymi rzeczami.



## Tak zaczął się Sierżant Bagieta

Kilka miesięcy po przejściu do patrolówki zaliczyłem po raz drugi L4. Na interwencji gość zerwał mi nadgarstek, poszły ścięgna. W trakcie obezwładniania coś poszło nie tak. Nie wiem, czy to nieszczęśliwy wypadek, czy facet celowo wyszarpnął mi rękę. W każdym razie moja dłoń wygięła się w drugą stronę i po zawodach. Podeszła mi krew, napłynął płyn surowiczy do torebki stawowej,

łapa napuchła. Bolała przy każdym ruchu. Konieczne było leczenie, zastrzyki i rehabilitacja. Więc po raz kolejny mój entuzjazm został wystawiony na próbę. Nakręciłem się grubo tymi kilkoma miesiącami uczciwej pracy na ulicy, a tu jeb: muszę siedzieć w domu i odzyskiwać sprawność.

Nawet kalistenika, która już wtedy była moją zajawką, musiała pójść w odstawkę. W tamtym czasie jeszcze nie ćwiczyłem siłowo na sztandze. Robiłem workouty na świeżym powietrzu z wykorzystaniem masy własnego ciała, lubiłem także drążki, dipy. Od tego właśnie zacząłem swoją przygodę ze sportem siłowym. Ale z niesprawnym nadgarstkiem, nie mogłem wykonywać praktycznie żadnego z ćwiczeń.

Musiałem znaleźć jakiś sposób, żeby nie znieść jajka z nudów. Zdecydował przypadek. Zaczęło się od odmóżdżenia: jak miliony osób odpaliłem YouTube bez żadnego konkretnego pomysłu, po co to robię. Trafiłem na kanał „Officer401”. Pierwszy raz widziałem filmiki prezentujące perspektywę policjanta, który robi w normalnej robocie, czyli właśnie w patrolówce. Bez heroizmu, bez ściemy, bez kozaczenia. Do tego to był całkiem zwyczajny gość, a nie jakiś Despero. Nie chował się całkiem za mundurem, ale mówił też trochę o sobie i swoich pasjach. Potem natrafiłem też na drugiego świetnego twórcę: Donut Operatora. Ten robił głównie case studies różnych interwencji: co, jak, dlaczego i co trzeba było zrobić inaczej. Donut później także zwolnił się z policji, a w filmiku rozwodowym przyznał, że przyczyną jest patologia systemu władzy, która sprawia, że zarządzanie policją to wielka ściema. Naoglądałem się tych chłopaków, siedzę jak smutna dupa w domu, i myślę sobie: zrobię coś takiego w polskim ujęciu. Od razu wątpliwość: czy mam do tego prawo? I refleksja: dopóki nie naruszam praw osobowych albo nie przekazuję danych operacyjnych, to nie obowiązuje mnie żadne ograniczenie dotyczące wypowiedzi na temat mojej pracy. Zapadła decyzja, że spróbuję.

W sierpniu 2018 roku na YT wjechał mój pierwszy filmik. Tak zaczął się Sierżant Bagieta.



Planując wszelkie formy zabezpieczeń domu, pamiętajcie, że będą one przeszkodą również dla służb ratunkowych. Często kupujemy choćby drzwi antywłamaniowe, do których później mało kto ma klucze, a najczęściej – nikt poza nami. Nie ma więc nikogo, kto mógł ich użyć w razie wyższej konieczności. To sprawia, że czas interwencji przynajmniej się podwaja, zanim na miejsce dotrą wszystkie służby i uporają się z przeszkodą. Zastanówcie się, czy takie zabezpieczenie to na pewno konieczność, a jeśli tak, zaplanujcie awaryjną dostępność do mieszkania, choćby umawiając się z bliskimi lub sąsiadami.

# Broń



Potoczne wyobrażenie przestępczości zostało ukształtowane przez amerykańską kulturę popularną, zwłaszcza filmy i seriale. W Stanach skala zabójstw jest naprawdę poważna – wskaźnik określający liczbę zabójstw na sto tysięcy mieszkańców w USA jest ponad ośmiokrotnie wyższy niż w Polsce. Nie sposób porównać amerykańskich i europejskich problemów z morderstwami. Chociaż sam byłem pod dużym wrażeniem systemu USA, mocno opartego na prawie i sile policji, to o wiele bardziej doceniam teraz porządek zbudowany na Starym Kontynencie. Poziom bezpieczeństwa, jaki osiągnęliśmy w Polsce, uważam wręcz za przywilej.

W USA dostęp do broni palnej jest w wielu stanach bardzo łatwy. Wystarczy mieć skończone osiemnaście lat i dowód osobisty, żeby z ulicy wejść do sklepu i kupić broń. Można też w tym wieku zaciągnąć się do armii i jechać na misję wojskową, ryzykując własne życie. W tym samym czasie ten sam człowiek nie mógłby wejść do baru i wypić piwa, bo prawo jeszcze mu na to nie pozwala (alkohol w USA sprzedawany jest

klientom powyżej dwudziestu jeden lat). W Europie dostęp do broni jest z kolei bardzo limitowany.

Nie wiem, jakich poglądów w tej sprawie się po mnie spodziewacie. Sam myślę o sobie jako człowieku liberalnym i szanującym wolność. Dlatego zakładam, że teoretycznie człowiek, który jest zdrowy na umyśle i nie ma zatargów z prawem, powinien mieć prawo do posiadania broni. Tylko już realizacja tego prawa musi być oparta na rzetelnej weryfikacji osoby, która stara się o to pozwolenie. Innymi słowy: jestem przeciwnikiem bezwarunkowego dostępu do broni. Jakies wymagania muszą być do spełnienia.

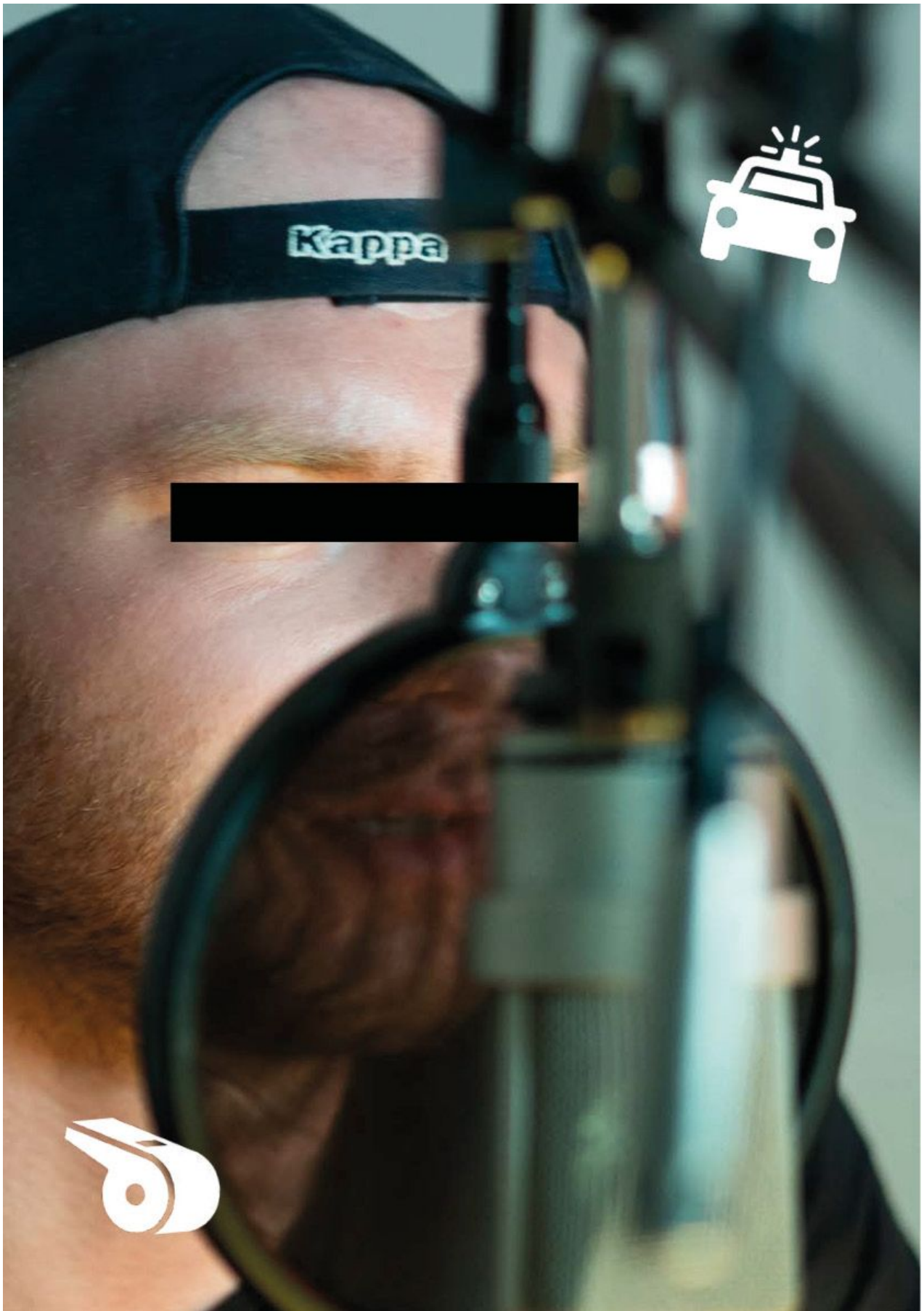
Jasne, w kontrze niektórzy z Was może będą chcieli mnie przekonywać nieśmiertelnym argumentem: „ale nożem też można zabić i nikt nie zabrania ich posiadania”. Tylko nóż służy do czegoś zupełnie innego. Można nim zabić człowieka, oczywiście, ale generalnie przecież jest on potrzebny do całkiem innych czynności; poza tym użycie go jako narzędzia zbrodni nie jest takie proste. A broń palna została wymyślona i jest używana tylko po to, żeby zabić. Żeby zyskać możliwość odebrania komuś życia – czy to w ramach ataku, czy w razie konieczności obrony. Broń palna jest wyłącznie narzędziem przemocy, które daje człowiekowi władzę nad drugim człowiekiem. Jeśli wejdiesz do sklepu, by dokonać napadu, mając w ręku glocka, który mieści w magazynku siedemnaście nabojów, to jest to zupełnie inna sytuacja niż ta, w której jesteś uzbrojony w nóż. Potencjał śmierci związany z bronią jest nieporównywalnie większy. Dlatego nie wyobrażam sobie wprowadzenia u nas swobodnego dostępu do broni. Ameryka jest przykładem kraju, który od wielu lat nie może wyjść z impasu dotyczącego posiadania broni, mimo że strzelaniny ze śmiertelnym skutkiem są tam na porządku dziennym. To pokazuje, jaki wpływ na bezpieczeństwo społeczeństwa mają takie regulacje prawne.

Patrząc na liczby, mamy statystyczny rozjazd między kontynentami. W Stanach na stu mieszkańców przypada sto dwadzieścia sztuk broni. W Polsce na stu mieszkańców przypadają tylko dwie sztuki broni (nie możemy mylić ilości wydanych pozwoleń z liczbą broni). Ale prawda jest też taka, że w ostatnich latach liczba pozwoleń na posiadanie broni w Polsce mocno poszybowała w górę.

Jednocześnie zdaję sobie sprawę, że to wcale nie są porównywalne rzeczywistości. Kultura i cały system społeczny w Stanach od pokoleń są zupełnie odmienne od europejskich i polskich. Chodzi nawet

o rozumienie podstawowych wartości, jak własność prywatna czy bezpieczeństwo osobiste, ale też wolności i patriotyzmu. Weźmy niedawny przypadek ze Stanów, kiedy to mężczyzna strzelił ze swojego tarasu do krzaków na granicy działki, zabijając w ten sposób dziecko sąsiadów, które bawiło się w chowanego. Mężczyzna oczywiście pomyślał, że to jakiś złoczyńca, czai się na skraju jego „property”. To sytuacja w Europie w ogóle niemożliwa do wyobrażenia. Dlatego jeśli mam wybierać w konflikcie wartości jakąś stronę, to wybieram tę, w której wolność jednostki nie stanowi zagrożenia dla ogółu społeczeństwa.

Bardzo długo przyjmowałem postawę turbowolnościową: broń powszechnie dostępna, dostęp do niej wręcz jako prawo obywatelskie. Gdybym teraz porozmawiał z samym sobą sprzed ośmiu lat, to podejrzewam, że skończyłoby się na kłótni. Praca w policji sprawiła, że zmieniłem zdanie na ten temat. Dogłębne poznanie realiów USA też prowadzi do wniosku, że nie sposób zapanować w dużym społeczeństwie nad bronią, kiedy już się otworzy do niej dostęp. Amerykańskie rozwiązanie, w którym broń jest dostępna w Walmarcie, czyli tak jakby w Polsce zrobić stanowisko z bronią w Biedronce, nie trafia do mnie zupełnie. Oczywiście celowo uogólniam, wiem, że obowiązują background checki, ale są stany, gdzie późniejszy obrót bronią przez właściciela jest już niekontrolowany, więc może ją sprzedać komukolwiek. De facto nie ma już nad bronią żadnej instytucjonalnej kontroli.



O ile liczba zabójstw w Polsce jest niska, o tyle liczba przestępstw z użyciem broni palnej wcale już taka nie jest. Ludzie wykorzystują broń również do samobójstw. Samobójstw za pomocą broni w moim rejonie, w ramach mojego komisariatu, było kilka rocznie. Chodzi o broń czarnoprochową. Dochodzi też do napadów z bronią oraz sytuacji, w których ktoś komuś nią grozi. Chociażby taka, w której były wojskowy, wypity, zamówił taksówkę, ale kierowca mu się nie spodobał. Zaczął mu więc wywijać pistoletem nad głową. To, że się wówczas nikomu nic nie stało, to łut szczęścia. Jako policjant nie raz widziałem połączenie alkoholu z głupotą, bo najczęściej jedno nakręca drugie. Zobaczyłem też inną stronę człowieczeństwa.

Ludzie potrafią być brutalni, przemocowi, niepohamowani w swojej agresji. Sam dawniej stałem na stanowisku „to ludzie zabijają, a nie broń”. Jeśli broń trafia w ręce niezrównoważonego człowieka, to mamy przepis na dramat. Moje dawne poglądy, że wręcz przyrodzonym prawem człowieka jest dostęp do broni, nie wytrzymały konfrontacji z rzeczywistością. Dawniej uznawałem, że ograniczenie jest tylko jedno: mam pełną wolność we wszystkim, dopóki nie robię komuś krzywdy. Obecnie widzę, że pewne ograniczenia mają sens i są niezbędne. Świat jest bardziej złożony niż wizje nastolatka. Nie możemy wszystkim dawać takiego samego kredytu zaufania. Z takiego nastawienia rodzi się później patologia ulicznej przemocy. Zresztą w drugą stronę działa to tak samo: nie możemy wszystkich traktować jak potencjalnych przestępców, bo to również zrodzi patologię przemocy, ale po stronie opresji państwa i służb pomocowych, które w efekcie przeistoczą się w służby przemocowe. Z tego powodu nie jestem też zwolennikiem pozbawienia obywateli możliwości posiadania broni. Rzeczywistość wymaga bardziej zniuansowanego podejścia. Chodzi wyłącznie o to, żeby zapewnić jak najlepsze mechanizmy weryfikacyjne dla wniosków o dostęp do broni. Jeśli działamy dla dobra społeczeństwa, to ze względu na bezpieczeństwo ogółu, nie możemy przyznawać prawa do broni komuś, kto ma w swojej przeszłości incydenty przemocowe, był rejestrowany lub cierpi na psychozę czy inne schorzenia, które sprawiają, że choćby chwilowo bywa niepoczytalny. Taki model pozyskiwania broni jestem w stanie zaakceptować jako świadomy obywatel. To kompromis w moim przekonaniu najrozsądniejszy.



Uzyskanie pozwolenia na broń do celów ochrony osobistej jest bardzo trudne. Dlatego najczęściej zezwolenia są przyznawane do celów sportowych i kolekcjonerskich. W moim przekonaniu to sprzyja wielu niejasnościom w realnej kontroli planów użycia broni. Ludzie zdeterminowani, by otrzymać pozwolenie, składają wnioski, które rozmijają się z ich faktycznymi potrzebami. Zakłamuje to rzeczywistość, co też nie jest dobre.

W Polsce niedawno weszło prawo, zgodnie z którym aktywni funkcjonariusze policji i żołnierze będą mogli posiadać broń do ochrony osobistej, a także w celu zwiększenia potencjału obronnego Rzeczypospolitej Polskiej. To jest przykład zmiany na lepsze.

Sam jestem kolekcjonerem broni palnej, chociaż moją pierwotną intencją było posiadanie jej w celach obronnych. Teraz już, dzięki nowelizacji ustawy, jako policjant, żołnierz, strażnik graniczny, a nawet WOTowiec z odpowiednio długim stażem, możesz dostać pozwolenie na broń po prostu do obrony własnej. Oczywiście przyczyną tej zmiany nie była intencja zwiększania liczby broni w społeczeństwie ot tak. Zapalnikiem do zmian stała się napaść Rosji na Ukrainę i wojna trwająca za naszą granicą. Państwo chciało mieć furtkę do tego, by w razie kryzysu móc legalnie dystrybuować broń w społeczeństwie wśród ludzi, którzy zostali do tego jakoś już wcześniej przeszkoleni. Jednocześnie wielu ludzi poczuło się zagrożonych konfliktem za wschodnią granicą, pojawiła się więc u nich chęć bycia gotowymi na wszelkie mniej lub bardziej prawdopodobne zdarzenia. Dlatego chcą nauczyć się, jak posługiwać się bronią, skąd ją wziąć w razie zagrożenia, jak zadbać o bezpieczeństwo rodziny.

Utrudnianie dostępu do broni w celu obrony osobistej nie jest dobrą drogą. W pewnych sytuacjach broń palna wyrównuje szanse. Jeśli jesteś starszą panią, która mieszka samotnie w niebezpiecznej okolicy, albo jakimś mikrym panem, który żyje na odludziu, to w sytuacji, kiedy ktoś cię napadnie, nie masz prawie żadnych argumentów do obrony po swojej stronie. Brak sąsiedztwa, albo wręcz zagrożenie z sąsiedztwa, bardzo długie dojazdy służby ratowniczych oddalonych o naście jak nie dziesiątki kilometrów, być może w ogóle brak zasięgu telefonicznego – to wszystko działa na twoją niekorzyść. Jesteś kobietą, masz sześćdziesiąt lat, a przed tobą staje dwudziestoletni osiłek o wadze osiemdziesięciu kilogramów – to oczywiste, że w fizycznym starciu nie masz najmniejszych szans.

Dlatego mówię, że pistolet może je wyrównać. Kiedy wyobrażam sobie własną starość na jakimś wypizdowie, to wiem, że czułbym się tam bezpieczniej, trzymając przy tyłku strzelbę lub pistolet, niczym farmer z amerykańskiego Południa.

Generalnie jednak jestem naprawdę zadowolony z poziomu bezpieczeństwa, jaki osiągnęliśmy. Nie boję się chodzić nocami po mieście. Są kraje, w których ludzie na co dzień żyją w strachu o swoje bezpieczeństwo. W Polsce nie ma do tego powodów. Jasne, że jak wyskoczę o pierwszej w nocy po piwo na stację benzynową, to może napatoczyć się jakiś pojeb. Zwykle facet w młodym albo średnim wieku, który jest wypity i ma fazę agresora. Ale takie sytuacje należą do rzadkości. Pewnie inaczej należy ocenić poziom bezpieczeństwa w Szwecji, Francji czy w krajach spoza Europy.

A o pozwolenie można się ubiegać stosunkowo łatwo i na przejrzystych zasadach. Unia Europejska już lata temu wprowadziła w tym zakresie standaryzację. W przypadku Polski była ona bardzo potrzebna. Wcześniej wnioski były rozpatrywane wyłącznie uznaniowo. Decydował Komendant Wojewódzki Policji, odpowiedni terytorialnie dla miejsca, w którym składałeś wniosek. Mógł podchodzić do tego tak: „Dobra, już w tym miesiącu wydaliśmy dwieście pozwoleń, to resztę odrzucamy”. Nie musiał przed nikim za te decyzje odpowiadać, co z kolei, wiadomo, jest furtką do podejrzanych sytuacji, kolesiostwa i totalnej uznaniowości. Teraz jest inaczej: jeśli nie masz przeszłości kryminalnej, nie chorujesz psychicznie i należysz czynnie do klubu lub spełniasz inne wymagane obowiązki, to w zasadzie nie ma możliwości, żeby odmówiono ci zezwolenia.

Jest to natomiast kosztowne. Trzeba się liczyć z wydatkiem około dwóch tysięcy złotych, a czasem więcej. Trzeba opłacić przynależność do klubu, pokryć wszystkie opłaty skarbowe, zapłacić za egzamin. I to wszystko.

Jednak w prawie jest też pewne kuriozum, którego nie rozumiem. Od pewnego czasu można kupić bez pozwolenia repliki broni czarnoprochowej. Zastanawiam się, dlaczego repliki zostały wyłączone z kolekcjonerstwa.

Fakty są takie, że z broni czarnoprochowej tak samo możesz kogoś zabić. Jest dokładnie tym samym narzędziem, co współczesny pistolet, tylko o prostszej konstrukcji, bo to technologia mniej więcej sprzed stu lat. Różnica sprowadza się w zasadzie tylko do załadunku. Obecnie broń

ma zapłon centralny, jest ładowana automatycznie, tymczasem broń czarnoprochowa to broń rozdzielnego ładowania. W użyciu oznacza to tyle, że po prostu ręcznie ładujesz sześć naboji do rewolweru i jesteś w stanie tyle razy wystrzelić. Jeśli więc masz złe intencje, to zyskujesz sześć okazji do tego, by kogoś zabić.

Nie wiem, jak się czujecie z tą świadomością, ale mnie ona przeszkadza. W pewnym sensie posiadacze broni czarnoprochowej są po prostu faworyzowani. Uważam, że ta sprawa wymaga rewizji. Oczekiwałbym, że regulacje prawne i wymogi formalne będą dokładnie takie same jak w przypadku innych zezwoleń na broń, a konkretnie – że będą takie same jak dla celów kolekcjonerskich. Prawda jest też taka – może to niektórym da do myślenia – że balistyka końcowa pocisku wystrzelonego ze starego rewolweru często jest dużo groźniejsza dla ofiary niż od kuli z pistoletu.

Kiedy już posiadasz broń, należysz do klubu, zaczynasz ćwiczyć. Wówczas robisz też inne zakupy, czyli kupujesz przede wszystkim amunicję i płacisz za strzelnicę. Wychodzi na to, że strzelectwo należy do całkiem drogich sportów.

Musisz też kupić coś do przechowywania broni. Służą do tego specjalne kasetki i szafy. Występuje kilka ich rodzajów, zależnie od typów broni, które mają być w nich trzymane. Każda szafa jest certyfikowana. Raz na jakiś czas może cię odwiedzić dzielnicowy i skontrolować szafę oraz sposób przechowywania broni. Prosi o czerwoną książeczkę, o dostęp do szafy i o okazanie broni. Porównuje numery seryjne na dokumentach i na broni, sprawdza certyfikaty. Czasem jeszcze odpytuje o użytkowanie broni.

Posiadam szafę klasy S1. Trzymam w niej swoją kolekcję. Dawniej szafa musiała być zakotwiona do ściany lub podłogi, żeby nie dało się jej ukraść, ale teraz nie zawsze jest to warunek konieczny. Moja es-jedynka waży kilkadziesiąt kilogramów, jest ciężkim grubym kłocem, którego sam nie dałbym rady dźwignąć ze względu na rozmiary i ciężar. Musiałaby wpaść armia zbirów, żeby ją wytargać z mieszkania. Co innego, jeśli człowiek posiada tylko małe gabaryty, na przykład pistolet. Wtedy przechowuje przykładowego glocka w kasetce. Gdyby to był mój przypadek, bankowo zakotwiłbym kasetkę, bo taką już bardzo łatwo wynieść z domu.



Broń powinna być przechowywana w miejscu przebywania właściciela. W razie jakichś zmian, dłuższych pobyków gdzie indziej, trzeba to zgłosić w odpowiedniej jednostce w komendzie wojewódzkiej. Zatem jeśli tylko jedziemy na urlop, to wystarczy konkretnie zabezpieczyć broń i tyle. Mamy do czynienia z martwym przepisem, który przy dzisiejszej mobilności ludzi się nie sprawdza. Natomiast przy dłuższych wyjazdach warto już przemyśleć, jak do tematu podejść i zgłosić sprawę.

Możliwe, że Was to zaskoczy, ale policjant, aby stać się dobrym strzelcem, sam musi się o to zatroszczyć... No dobra, pewnie nie wiecie czegoś jeszcze. Policjant nie ma nawet pozwolenia na broń! Jak to możliwe? Otrzymujesz broń od państwa na potrzeby pełnienia swojej służby, ale nie jesteś jej właścicielem i nie zyskujesz automatycznie prawa z tytułu służby mundurowej do nabycia broni. Ustawa o Policji zezwala ci jednak na jej użycie w konkretnych sytuacjach, umożliwia nawet zabranie broni do domu. Ale policjant nie kupi broni, dopóki nie uzyska cywilnego zezwolenia. Po prostu to zezwolenie jest teraz łatwiej otrzymać, ponieważ z grubsza wystarczy przedstawić arkusz wyszkolenia strzeleckiego ze szkoły policyjnej, napisać podanie, zebrać jakieś zaświadczenia, wpłacić kilkaset złotych. Nie trzeba już przechodzić badań, ponieważ wystarczą te zrobione w procesie wstępowania do służby.

Moje wyobrażenia szybko zweryfikowało doświadczenie. Dotarło do mnie, że policja nie nauczy mnie strzelać, ponieważ liczba godzin szkolenia w skali roku jest śmiesznie mała. Postanowiłem kupić własną broń i uczyć się na własną rękę. Przede wszystkim dlatego, że w przypadku konieczności użycia pistoletu, wolałbym mieć pewność, że odpowiednio i skutecznie się z nim obejdę. Zaczęło się więc od potrzeby, a skończyło na hobby.

W mojej kolekcji glock to podstawowa broń o ewentualnie najbardziej użytkowym charakterze. Dlatego często na niej trenuję. Tt-ka z kolei to forma inwestycji, ponieważ jako klasyczna broń historyczna raczej będzie tylko zyskiwać na wartości. Przez większość czasu po prostu leży w szafie i cieszy moje oko. To piękna rzecz, więc budzi we mnie moje gadzeciarskie namiętności – przyjemnie ją mieć u siebie; daje też poczucie wyjątkowości, kiedy z niej strzelasz. Na strzelnicę zabieram jeszcze karabinek, który pracuje na amunicji pośredniej.

Moje zainteresowanie bronią miało czysto pragmatyczny początek. Chciałem czuć się pewnie w tym, co robię na co dzień, a co ma kluczowy wpływ na moje bezpieczeństwo. Później odkryłem, że ma to też swoją gadżeciarską stronę. Ale najważniejsze są pewnie aspekty psychologiczne. Satysfakcja z trafienia, osiągnięcia celu to bardzo wyjątkowe uczucie. Korzystanie z broni pozwala sprawdzić swoją koordynację i precyzję oka, umiejętności pracy z oddechem w sytuacji stresu i pośpiechu. Pomaga też w osiągnięciu stanu totalnego wyciszenia i maksymalnej koncentracji w decydującym momencie. Całe ciało i mózg muszą być w tym momencie idealnie zgrane. Nie ukrywam, że jest to także forma odreagowania stresu. Przynosi to też poczucie pewnej ulgi, wynikającej z przekonania, że w sytuacji zagrożenia jesteście w stanie sobie poradzić, bo właśnie to przećwiczyliście. Lepiej czuć się pewnie i nie obawiać się kompromitacji w kryzysowym momencie. Byłoby trochę słabo, gdybyście mieli zatrzymać zbira, wyciągnęli klamkę, ten by zaatakował, a wy naciskając spust, trafilibyście przypadkowego przechodnia albo partnera. Bo centymetr błędu w skoordynowaniu wystrzału sprawił, że kula nie dosięgnęła zbroja, tylko niewinnego człowieka.



Niektórzy wolą iść pograć w piłkę. Ja na przykład nie przepadam za sportami drużynowymi. Inni potrzebują sportu jako formy nieustannej rywalizacji. Tego we mnie również nie ma. Chcę mieć poczucie, że jestem najlepszy, jaki mogę być, przy czym punktem odniesienia nie muszą być inni ludzie. Nie zależy mi na byciu lepszym od kogoś innego, bo po co? Ćwicząc, w pełni koncentruję się na doskonaleniu swoich umiejętności i to jest najważniejsze. Więc również forma sportu jako wspólnego spędzania czasu z kolegami zupełnie mnie nie kręci. Pójdę postrzelać na tor w pojedynkę, to w godzinę osiągnę tyle, na ile z kumplem musiałbym poświęcić cztery godziny. Tą samą zasadą kieruję się przy ćwiczeniach siłowych czy bieganiu – im bardziej jestem skoncentrowany, tym lepsze rezultaty osiągam. Ludzie często chcą dzielić się swoimi pasjami, ale ja wolę poświęcać czas swojej, niż o niej gadać.

Kiedy byłem policjantem, często zabierałem służbową broń do domu. Miałem ją więc często przy sobie. Teraz, kiedy już nie jestem w służbie, nie mam w ogóle potrzeby noszenia broni.

Jako policjant myślicie inaczej niż cywil. Nie sposób uwolnić się od swojej tożsamości. Policjantem jest się na służbie, to jasne, ale



odpowiedź na pytanie, czy po służbie już się nie jest policjantem, nie wydaje się już taka oczywista, prawda? Ta praca ma wiele twarzy, ale na koniec dnia społeczeństwo utożsamia policjanta z człowiekiem, który dba o bezpieczeństwo. Czy więc można dbać o bezpieczeństwo tylko przez tyle godzin na dobę, ile zapisano w umowie o pracę? Jasne, że nie chodzi o bycie upierdliwcem, który gania dzieciaki po ulicy za to, że któryś splunął na chodnik. Niemniej nawet kiedy jesteście po służbie, a się wylegitymujecie, to zaczynacie pełnić rolę policjanta i reprezentujecie policję. To oznacza, że posiadacie swoje uprawnienia także w czasie poza pracą. W takim wypadku lepiej już mieć przy sobie broń. Ta praca potrafi być bardzo nieprzewidywalna, a w życiu jedyne reguły, jakie się sprawdzają, to prawo Murphy'ego. Dlatego wolałem często mieć broń, bo nawet po fajrancie, ciągle tkwi w twojej głowie ta myśl, że masz zobowiązania wobec społeczeństwa, niezależnie, czy masz na sobie mundur czy szorty i najki.

Teraz teoretycznie również mogę wyjść na ulicę z moją prywatną bronią. Tylko po co? Ani nie muszę, ani nie chcę. Poza tym, serio, to po prostu cholernie niewygodne. Kabura człowieka obciera, a latem wyciska z ciebie siódme poty, bo przecież nie waży tyle co smartfon. Usiąść w samochodzie nie bardzo się da, bo gniecie. Musicie też myśleć o ciuchach, jakie założyć, żeby nie świecić klamką jak ostatni debil.

Tu zataczamy koło: poziom bezpieczeństwa, jaki osiągnęliśmy, to nasz przywilej. Mogę śmiało wybrać wygodę pozostawienia broni w schowku, niż niewygodę noszenia jej przy tyłku. Przez te wszystkie lata jako policjant ani razu nie miałem potrzeby sięgnięcia po broń po służbie.



Jeśli jesteście posiadaczami broni w celach kolekcjonerskich lub sportowych, możecie jej użyć w sytuacji zagrożenia życia. Wówczas w grę wchodzi tak zwana wyższa konieczność. Ratowanie życia zawsze stanowi najważniejszą przesłankę, choć ostateczną ocenę, czy było to zasadne, podejmie sąd.



## Kolekcja broni

Już jako policjant ubiegałem się o pozwolenie na broń w celach kolekcjonerskich. Otrzymałem papiery na zakup dziesięciu sztuk broni palnej bez wyszczególnienia jej rodzajów. Aktualnie mam zarejestrowane cztery sztuki broni. Posiadam pistolet, klasycznego glocka 45, do tego zabytkową tt-kę, oryginał z 1943 roku, karabinek Tantal wz. 88. Do każdej z nich staram się utrzymywać zapas amunicji. Ponieważ moja tt-ka jest bronią historyczną, to rosyjska wojna przeciwko Ukrainie odbiła się na moim hobby. Nowa broń pracuje już w większości na amunicji w standardach NATO. Tymczasem tt-ka łyka tylko stare, radzieckie naboje. Dostęp do takiej amunicji stał się teraz bardzo trudny, ponieważ jest ona wykorzystywana w wojnie. Prawie nie ma szans na zdobycie kalibru 5-45, jakiego potrzebuję, w normalnej cenie. Żeby to zobrazować: przed wojną płaciłem około złotówki za sztukę amunicji. Obecnie jest dobrze, jeśli ją w ogóle znajdę, a w dodatku muszę zapłacić pięć złotych za jedną sztukę. To spowodowało, że tt-ka po prostu poszła w moich ćwiczeniach w odstawkę.



Kiedy macie już zezwolenie na broń i chcecie kupić swoją pierwszą, wstukujecie w necie, czego wam potrzeba – ofert jest zatrzęsienie. Następnie opłacacie kilkanaście złotych za wystawienie promesy. To kwitek, który w sklepie przekazujecie sprzedawcy. Sprzedawca wszystko dokumentuje i wydaje wam broń. Następnie musicie w ciągu kilku dni ją zarejestrować, co możesz zrobić teraz online. Wszystkie sztuki broni dokumentujecie w czerwonej książeczce, czyli w legitymacji posiadacza broni.



Jeśli jesteście zainteresowani strzelectwem, możecie najpierw sprawdzić na strzelnicy swoje predyspozycje do tego sportu. Gdyby okazało się, że to sport dla was, możecie dokonać kalkulacji z uwzględnieniem planowanej intensywności ćwiczeń. W przypadku rzadkich treningów pewnie kompletna usługa strzelnicy będzie lepszym wyborem. Na miejscu można wynająć na potrzeby sesji strzeleckiej wszystko, czego potrzebujecie. W przypadku częstych ćwiczeń, bardziej opłaci się uzyskanie pozwolenia na broń i jej zakup. Dla porównania: pocisk 9 milimetrów, czyli najbardziej popularny, to w zakupie koszt poniżej złotówki; na strzelnicy – około trzech złotych.

# Niebieski



Rozwiązanie problemu z alkoholem w Polsce będzie długim procesem. Myślę, że to kwestia pokoleniowej zmiany. Jestem dobrej myśli, bo na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat zauważyłem już pewne pozytywne zmiany w naszym polskim stosunku do alkoholu. Nie widzę innej drogi niż edukacja społeczna, przemiana zwyczajów, sposobów używania alkoholu. To zjawiska podobne do tych, które zachodzą też w zakresie zdrowego żywienia czy w ramach subkultur sportowych. Dawniej niespotykane było myślenie, a co dopiero otwarte mówienie, o alkoholu jako używce, która dla organizmu jest obciążeniem, a nie żadnym wyzwoleniem (zrelaksuje cię ten kieliszek wódki, należy ci się ten kufel piwa po ciężkim dniu...) – choćby od stresu. Dzisiaj powoli to już przebija się do świadomości społecznej.

Przekonanie, że „piwko” to nie alkohol, jest mocniejsze. Tatuś po pracy walnie sobie cztery browary i co w tym złego? Należy mu się, bo zmęczony, spragniony, a wody przecież pić nie będzie. Czy to jakiś problem? Przecież się nie upija. Wstaje potem normalnie i idzie spokojnie

spać. A upić się? No to co najwyżej w weekend. Ale co to w ogóle za rozmowa! Przecież jest dorosłym facetem i to on zarabia na tę rodzinę, do kurwy nędzy, więc dlaczego ma się przed kimś spowiadać z tego, ile puszek wychylił w poprzedni wieczór? Skończcie te insynuacje, tatuś nie ma żadnego problemu z alkoholem! Normalnie pracuje i mieszka z nami, a nie jak jakiś kloszard gdzieś na ulicy. Wypierdalać z takimi insynuacjami, bo tatuś nie jest żadnym alkoholikiem!

Z doświadczenia policjanta pamiętam właśnie takie przekonania ludzi co do „piwka, które się należy” i „piwka, które nie jest alkoholem”. Taka jest rzeczywistość wielu polskich domów: cichy alkoholizm. Dzieci dorastają z takimi obrazkami przed oczami i później faktycznie mogą uważać, że alkohol to wódka przecież, a piwo to zwykły napój. Kiedy zaproszono mnie do szkoły na pogadankę o używkach, to dyrekcja życzyła sobie, żebym mówił o marihuanie. Tak jakby ziło dotyczyło w tej szkole większości uczniów. Gorszą używką jest alkohol, z którymi te dzieciaki są osvajane we własnych domach od małego i to z jego używaniem będą miały zaraz problem. Bo po prostu się go nie boją. Jest elementem codzienności ich rodziny, w przeciwieństwie do marihuany, która przynajmniej prowokuje do zastanowienia się dwa razy, zanim człowiek po nią sięgnie.

Najgorszym rozwiązaniem jest rzucanie haseł o zakazach, prohibicji i generalnie sugerowanie rozwiązań z zakresu ograniczania dostępności. Dlaczego? Bo to spychanie tematu do podziemia, a więc frustrowanie społeczeństwa i karmienie przestępczości zorganizowanej.

W niektórych krajach ograniczenia w dostępie do alkoholu są posunięte dalej niż w Polsce. Choćby w skrajach skandynawskich. Występuje więc powiązanie pomiędzy nadużywaniem przez społeczeństwo alkoholu a jego dostępnością. Niekiedy funkcjonuje częściowa prohibicja, czyli na przykład godziny wieczorne i nocne, a bywa, że i całe weekendy są wyłączone z możliwości sprzedaży alkoholu. Panuje jednak też opinia, że prowadzi to do większej produkcji własnej przez ludzi, czyli po prostu pędzenia win, robienia nalewek i bimbru. Muszę jednak powiedzieć, że na polskim podwórku, kiedy w swoim rewirze obserwowałem wpływ częściowej prohibicji (na przykład zakaz nocnej sprzedaży), to w liczbach nie dostrzegłem żadnego przełożenia na mniejszą liczbę interwencji z tytułu zakłócania porządku pod wpływem alkoholu; o przestępczości nawet nie wspominając.

Pojawia się też propozycja, żeby wpłynąć na dostępność i poziomy konsumpcji alkoholu przez regulowanie jego ceny. Moim zdaniem to półśrodek, który generuje zasadniczo te same ryzyka, co prohibicja. Otwieramy wtedy furtkę do powstania szarej strefy, w której ludzie będą szukali dostępu do trunków bez akcyzy, z lewej partii produkcyjnej w zakładzie czy w ogóle od nielegalnego producenta.

Wszystkim jest wygodniej przymknąć oczy na patologię, dopóki nie wydarzy się dramat. A dramat alkoholowy w potocznym przekonaniu sprowadza się do stereotypu żuła spod sklepu, który zbiera na mózgojeba i widziany jest w mieście w sytuacjach urągających ludzkiej godności. Społeczeństwo w gruncie rzeczy jest szczęśliwe, gdy go widzi, bo przecież alkoholikiem jest właśnie ten obszczaniec, a nie ja, który elegancko walę drineczka i po odcince kładę się do swojej czystej pościeli, żeby rano wrzucić sobie rozpuszczalną tabletkę elektrolitów do szklanki i z godnością usiąść przed laptopem za kilka tysięcy i pracować dla korporacji. Wiadomo, praca w korpo – duży stres, duża odpowiedzialność, a ten drink wieczorem zdejmuje mi z barków trochę spinki, więc co w tym złego. Nie jestem taki jak ten menel...

Alkoholizm ma wiele twarzy. To także powinien być jeden z elementów edukacji prewencyjnej: rozpoznawanie problemów alkoholowych. Bo prawda jest taka, że wbrew obiegowej opinii, alkohol wcale nie rozwiązuje problemów, tylko je generuje. Kiedy pojawia się uzależnienie, sytuacja jest bardzo trudna. Tak zwani wysoko funkcjonujący alkoholicy nie są dowodem na to, że da się pić i dobrze żyć – są tylko dowodem na to, że to uzależnienie, które może dopaść każdego. Pamiętam znajomą osobę, której sam nie podejrzewałem o problem alkoholowy. Funkcjonowała całkiem normalnie. Dopiero po czasie zorientowałem się, że ten człowiek pił ciągami. Wtedy po prostu zniknął. A kiedy był między ludźmi – nikt nie zgadłby, że może być uzależniony.

Wierzę, że uda się zbudować taki poziom wiedzy o ryzykach związanych z alkoholem, że ludzie będą w stanie lepiej kontrolować jego używanie, przede wszystkim na własne potrzeby. Będą wiedzieli, kiedy pojawiają się znaki ostrzegawcze, które zachowania są ryzykowne. Ale też będą mieli odwagę, by szukać pomocy, rady, zanim wpadną w głęboki nałóg i nie będą z tego powodu stygmatyzowani.

Podczas interwencji klasyfikowanej jako przemoc w rodzinie przeprowadza się specjalny wywiad według gotowego formularza

w ramach procedur Niebieskiej Karty. Karta wygląda jak totolotek, musicie zaznaczyć odpowiednie odpowiedzi zgodnie z informacjami uzyskanymi od osoby poszkodowanej. Jedna z tych rubryk dotyczy przemocy seksualnej. Pytanie brzmi, czy doszło do zgwałcenia w czasie trwania małżeństwa, konkubinatu albo po prostu w czasie wspólnego zamieszkiwania. Nigdy nie zdarzyło mi się być na interwencji, podczas której ktoś by to przyznał.

Zapewne potraficie sobie wyobrazić, że powiedzenie o czymś takim jak gwałt obcej osobie w mundurze, ze świadomością, że będzie to słowo przeciwko komuś, z kim dawniej lub obecnie wciąż coś was wiąże, to ekstremalnie trudna sprawa. Zdarzyło mi się dwukrotnie, że przekazując notatkę i wywiad, dzielnicowy pytał mnie zdziwiony, dlaczego nie zaznaczyłem przemocy seksualnej. Nie miałem podstaw, a on z kolei miał pełną wiedzę, że w przypadku tej pary do takich zachowań dochodziło.

Na pewno jest cały szereg czynników psychologicznych i socjologicznych, które sprawiają, że tak trudno walczyć z przemocą seksualną. Podejrzewam, że wiele ofiar wypiera ze swojej pamięci fakt, że były wykorzystywane w związku. Niektóre nawet wciąż trwają w patologicznym przeświadczeniu, że mężczyźni w małżeństwie wolno wszystko. Nie, nie wolno, ani mężczyźni, ani kobiecie. Ale gwałt w małżeństwie? Ludzie rozkładają ręce, a to się naprawdę dzieje. Zgoda na seks musi być obopólna. Ty, chłopie, biorąc ślub, nie kupiłeś kobiety jak zabawki – to myślenie trzeba wyeliminować. Człowiek udręczony w związku przez wiele lat dosyć łatwo przesuwa granicę tolerancji, za którą naprawdę już nie ma seksu, tylko zaczyna się gwałt. Ale bądźmy szczerzy: policyjna interwencja jest najmniej sprzyjającą okolicznością, żeby ktoś w związku mógł się rozprawić z długotrwałymi patologiami. Dobrze, że większość policjantów prowadzących Niebieskie Karty, a przynajmniej tak wynika z mojego doświadczenia, to kobiety. Rozmowa na takie tematy z pewnością jest łatwiejsza, gdy kobieta rozmawia z kobietą.

Pamiętam interwencję z dyżuru, kiedy jeszcze byłem w dochodzeniówce. Krótka piłka, bo był kwadrans do dwudziestej drugiej – miałem kończyć pracę, w mieszkaniu czekała dziewczyna, powoli już składałem papiery. Czynności procesowe nie powinny być prowadzone po tej godzinie, żeby nie zakłócać porządku, chyba że ich zaniechanie miałoby zaszkodzić



sprawie. Przychodzą do mnie dwaj policjanci z Życia i Zdrowia, w pośpiechu, żeby zdążyć:

– Jest typ do zdjęcia z gwałtu – mówią. – Siedzi w mieszkaniu, potwierdzone po obserwacji 100%. Trzeba wejść we trzech, na broni, skuć i doprowadzić podejrzanego. Pomóż z samą interwencją, a my resztę ogarniemy, kwity i papierki.

Jasne, jadę! Lepiej zrobić coś ważnego, niż przerzucać papiery. Poza tym wtedy dla mnie, świeżaka, taka akcja to była okazja liźnięcia wreszcie prawdziwej policyjnej roboty. Zwłaszcza że z ich opisu wynikało, że to gruba, poważna akcja.

Już kilka minut później przekonałem się, że wyważanie drzwi kopniakiem jest łatwe tylko w filmach. Próbujemy pojedynczo, potem we dwóch, a trzeci dodatkowo trzyma klamkę wciśniętą, żeby przynajmniej zapadka nie blokowała. No i dupa. Obudziliśmy cały blok, ale jakoś nikogo z tego mieszkania, choć przez okna było widać, że telewizor i światło są włączone. Meldujemy dyżurnemu. Dyżurny podesłał nam jeszcze dzielnicowych, którzy akurat w cywilu jeździli po nocce. Ponieważ mieszkanie było na podwyższonym parterze, poprosiliśmy jednego, żeby obstawiał drzwi, kiedy wejdziemy, a drugiego, żeby obstawiał okno, bo obawialiśmy się ucieczki podejrzanego. Wyglądało na to, że w mieszkaniu znajduje się trzech mężczyzn, ale nikt nie otwierał.

Byłem gotów wzywać strażaków do wybicia drzwi, bo tak nam nie szło. Dojechał do nas komendant. Gość staje przed drzwiami, wypytuje o sytuację, pyta, czy jesteśmy gotowi na wejście. Dwa metry wzrostu, chudy, ale żyła, były kryminalny, złoty gość. Pytamy:

– Wchodzimy siłowo ze strażą czy nie?

A naczelnik:

– Wypierdalamy te drzwi, nie ma się w ogóle co. Naprawdę kopaliście po tych drzwiach?

– Kopaliśmy.

– To teraz ja spróbuję.

Jak przyłożył z buta, to już było wejście filmowe – drzwi wyleciały z zawiasów. Może i obluzowały się już od naszych wcześniejszych uderzeń, ale jego przyłożenie zdecydowało.

Wbijamy, klamki w łapach, krzyczymy: „Policja, policja!”.

Adrenalina powyżej skali. Dla mnie to była pierwsza taka akcja. Mieszkanie jak większa kawalerka. Dwóch typów już samych się położyło

na glebie, policjanci ich skuwają, a mnie przypadł typ przy stole. „Kładź się na ziemię. Policja!”, a ten siedzi dalej. Strąciłem go z krzesła i przygniotłem kolanem do podłogi, bo nie wiedziałem, czego się po nim spodziewać, skoro nie reaguje na polecenia. Ustalamy ich tożsamość, wszyscy wypici, podejrzany na komisariat, dwaj pozostali na izbę.

W sprawie chodziło o to, że facet, który już nie był w związku z kobietą, dokonał na niej gwałtu. Po rozstaniu utrzymywali jakąś relację, czasem się widywali. Tego dnia ona go odwiedziła, a on wykorzystał ją seksualnie. Kobieta zgłosiła to. W międzyczasie do typa przyszli koledzy, nie mieli z gwałtem nic wspólnego, po prostu wybrali zły czas na wódkę, a jak zaczęli bał, to się tak zrobili, że mieli po trzy promile. W każdym razie moja rola się skończyła i się zawiąłem na kwadrat, bo kolejnego dnia miałem dyżur od siódmej.

Poranek, przychodzę do roboty, mam swoje sprawy, ale dyżurny prosi mnie:

– Przesłuchaj jednego chłopca z wczoraj, co żeście go zatrzymywali, bo mamy tyle zdarzeń, że się nie obrobimy.

– Pewnie, nie ma sprawy.

Siadam z typem:

– Chce pan wody? – Nalałem mu, bo widzę, że go suszy i się męczy. Łyka, a ja rzucam: – To jak tam było wczoraj?

On na to, że nie ma nic wspólnego z tym gwałtem i o niczym nie wiedział.

– W ogóle, wie pan, ja niewiele z tego wieczoru pamiętam, bo trochę tam rozpiliśmy. Ale, jak policja weszła, to pamiętam. Bo wie pan co? Ten policjant, który mnie zatrzymywał, to chyba jakiś pojebany. Ja spokojnie siedziałem i czekałem, a on mnie, kurwa, po ziemi wytargał. Wie pan, który to był?

– Proszę pana, nie mam pojęcia, o kim może pan mówić.

Kolejne dwie sprawy gwałtu, z jakimi miałem do czynienia, wydarzyły się w odstępie dwóch tygodni, w dodatku na tym samym osiedlu. Wcześniej przez trzy lata służby nie miałem z tym przestępstwem do czynienia.



Patrol z kumplem, świetny glina. We dwóch wyglądaliśmy jak Flip i Flap, bo ja mam metr siedemdziesiąt z haczykiem, jak się wyprostuję, a kumpel metr dziewięćdziesiąt pięć. Zgłoszenie. Jedziemy. Pod adresem – melina. Na miejscu pracowali już policjanci z komisariatu odpowiedniego do miejsca zdarzeń z ujętym sprawcą. My mieliśmy wesprzeć zabezpieczenie.

Grupa ludzi z marginesu społecznego piła alkohol. W pewnym momencie jedna z kobiet – późniejsza zgłaszająca – stała się celem nachalnego napastowania ze strony jednego z wypitych mężczyzn. Próbowła się odsuwać, ale bez skutku. Podjęła próbę ucieczki, mężczyzna jednak ją złapał i zgwałcił.

Kręciliśmy się po okolicy, żeby znaleźć ubrania, jego i jej, które mężczyzna miał zedrzeć w trakcie gwałtu. Nie udało nam się, dopiero później znalazł je pies tropiący. Okazało się, że chłop wyrzucił je na dziedziniec jednej z kamienic.

Zabraliśmy ofiarę, która była nadal pod wpływem alkoholu, na komisariat. Technik zabezpiecza odzież, my przeprowadzamy przesłuchanie. Nasze pytania są raczej ogólne. Szczegółowe, dotyczące doznanej krzywdy, realizuje już przeszkolona policjantka, a na życzenie ofiary dostępny jest również psycholog. Następnie pojechaliśmy z kobietą do szpitala MSWiA. Przekazaliśmy ją lekarzowi w celu badania wraz z pakietem narzędzi do pobierania materiału dowodowego: krew, wymazy i inne ślady przestępstw na tle seksualnym. W zestawie są pałeczki do zbierania wymazów z pochwy, przyrząd do zbierania wyskrobin spod paznokcia i tym podobne rzeczy. Wszystkie odpowiednie czynności przeprowadza w szpitalu lekarz, dyżurujący ginekolog. Następnie odstawiliśmy ofiarę do izby wytrzeźwień. Materiały pojechały do laboratorium kryminalistycznego, a my przygotowaliśmy notatkę ze swojej interwencji.

Druga sprawa. Kobieta pokłóciła się z facetem. Popiła i zgłosiła gwałt. Przyjechaliśmy na miejsce, a chłopca nie ma. Robimy od A do Z ten sam schemat, który opisałem wcześniej: zabezpieczenia, ciuchy, pakiet. Jedziemy z ofiarą na komisariat. Kobieta pobudzona. Zaczyna się wiercić, kręcić nosem, nie podoba jej się, że jest z policją. Zaczyna mnie wkurzać. Noc, ale akurat była policjantka, żeby ją rozpytać. Kobieta była pijana, więc przesłuchania i tak nie da się przeprowadzić.

– Jarać mi się chce – mówi.

Tłumaczę, że nie ma mowy na komisariacie, a poza tym przed badaniem alkomatem nie może palić przez piętnaście minut. Ale jak do ściany, kobieta wyraźnie nie chce współpracować.

– Muszę się wysikać – mówi. Idziemy zatem do toalety. Obstawiam drzwi, a tu zaraz smród papierosa. Wytargałem ją, zatopiłem peta, wkurzony powtarzam, że jej nie wolno. Po chwili zrobiliśmy jej badanie alkomatem, który wykazał dwa i pół promila. Każdy z was przy takim stężeniu nie mógłby prosto stanąć, a ona była taka zaprawiona, że normalnie z nami gadała; ty byś zaliczył zgon, a ona śmiało poprowadziłaby debatę prezydencką w TVP Info.

Zbieramy się do szpitala, lekarz na nas czeka. Ona:

– Nie, ja wstaję i wychodzę.

– Co?! Nigdzie Pani nie idzie – odpowiadam. – Jesteśmy w trakcie prowadzenia czynności.

– Ale ja już nie chcę niczego zgłaszać.

– Nawet jeśli pani to przemyśli jeszcze na trzeźwo, to akurat mamy do czynienia z przestępstwem, które jest ścigane z urzędu, więc czynności będziemy kontynuować.

– Róbcie, co chcecie, ja wychodzę.

No żeż...!

– Przykro mi, ale pani zachowanie jest agresywne, a stan nietrzeźwy, więc jeśli nie chce pani do szpitala, to zabieram panią na izbę wytrzeźwień.

Zerwała się na równe nogi, bierze zamach, jakby kumpel nie zatrzymał jej ręki, to bym dostał w pysk. No to samolot, kobieta leży, kajdanki. Nietypowy przebieg zdarzeń jak na ofiarę. Jedziemy. Szpital, korytarz, przychodzi dyżurujący ginekolog – wywaliło mu korki na widok ofiary gwałtu zapiętej w bransoletki. Z tego, co wiem, sprawa zakończyła się inaczej, niż startowała: składanie fałszywych zeznań.

Wezwanie do młodej dziewczyny. Dwudziestodwulatka, gwałt. Ona roztrzęsiona i bardzo nieufna. Próbuje się dowiedzieć, co się wydarzyło. Zalękniona przyznaje, że wieczorem z chłopakiem, który studiował na tej samej uczelni, co ona, ale nie znali się bliżej, zjarała blanta na imprezie. Później poszli do niej. Zrobili sobie drinki. Kolega zaczął się do niej dobierać. Ona go powstrzymała i powiedziała, że nic z tego nie będzie, że nie po to się spotykali. Odpuścił, chwilę posiedzieli,

przeprósł ją na moment i po chwili wrócił. Wzięła kolejnego łyka i odplynęła. Podejrzewa, że mógł jej czegoś dosypać do drinka. Faktycznie, pomijając jej stan emocjonalny, było widać po jej gestach i mowie, że ma w specyficzny sposób zaburzoną koordynację. Kiedy się przebudziła, jego nie było. Szybko stwierdziła, że była po akcie seksualnym, którego nie pamiętała i którego wcześniej odmawiała.

Niepewność dziewczyny brała się właśnie stąd, że podejrzewała gwałt, bo na to wskazywało jej ciało, lecz nie pamiętała, co się wydarzyło. Dziewczyna powiedziała uczciwie:

– Nie wiem, czy to jest zgwałcenie.

– Proszę pani, spokojnie – odpowiadam – zrobimy czynności sprawdzające, czy nie doszło do gwałtu. Jeśli nie, to nie będzie tematu. Takie szczęście w nieszczęściu, a jeśli tak, to należy dochodzić sprawiedliwości.

– Ale co jeśli się okaże, że będą jakieś konsekwencje, że będę miała jakieś nieprzyjemności?

W pierwszej chwili nie wiedziałem, co przez to rozumie. Musiałem dopiero wskoczyć na tory jej myślenia.

– Nie – uspokajałem. – Jeżeli okaże się, że do niczego nie doszło, to po prostu nie będzie tematu. Będziemy się wszyscy cieszyć, nikt nie będzie mieć do pani pretensji.

Takie przestępstwa policjanci traktują superpoważnie. Zresztą nie mogłoby być inaczej, kiedy spotykasz ofiarę, widzisz, w jakim jest stanie, wiesz, że to wartościowa osoba, której życie może się teraz załamać. Człowiek po takiej traumie jest spięty w obecności policji, bo się obawia, czy w razie braku potwierdzenia przestępstwa, nie czkają go jakieś konsekwencje zgłoszenia. Dlatego podkreślam tu wszystkim wam i proszę, budujcie tę świadomość u innych: nie, nie ma konsekwencji w przypadku pomyłki, a dochodzenie do sprawiedliwości jest waszym prawem.

– Niech się pani w ogóle niczym nie martwi, pojedziemy teraz na komisariat i do szpitala. – Wytłumaczyłem jej po kolei, co jeszcze trzeba zrobić. Zabezpieczyliśmy ubrania, rzeczy, pościel. Na komisariacie poświęciliśmy chwilę i przez neta znaleźliśmy chłopaka. Potwierdziła, że to on.





Pojechaliśmy do szpitala MSWiA. Zapowiedzieliśmy jej, jak przebiega wizyta i czego powinna się spodziewać z zakresu badania i zbierania materiału dowodowego. Wchodzi do lekarza, wciąż w słabym stanie, a wychodzi w jeszcze gorszym. Totalnie zapłakana.

– Co się stało?

Wykrztusza z siebie, szlochając:

– Proszę pana, ten lekarz taki niemiły, zaczął na mnie krzyczeć.

Faktycznie, słyszeliśmy przez drzwi, że mówił podniesionym głosem, a normalnie nie słychać na tym korytarzu zupełnie nic. Tym razem było inaczej, nawet z kumplem spojrzeliśmy po sobie: co tam się dzieje? Dziewczyna przemielona. Mówię:

– Bardzo mi przykro. Może powinna napisać pani skargę. – Wyjaśniłem jej całą procedurę i mówię: – Proszę sobie zapisać nasze dane, datę i godzinę – podyktowałem jej nasze imiona, nazwiska, tytuły, numery służbowe. – Proszę nas przedstawić jako świadków i potwierdzimy tę sytuację.

I wiecie co? Tajemnicą poliszynela jest sztama między policjantami a lekarzami, czy w ogóle między ludźmi w mundurach i na służbie państwowej. Jeśli chodzi o wykroczenia takich osób, często przymyka się na nie oczy. Ale pierdolę takie zwyczaje, kiedy jakiś stary lekarski chuj



wydziera się na dziewczynę po gwałcie. Jeśli ta sytuacja nie wzbudza twojego współczucia, to jesteś emocjonalną patologią. Najbardziej wrażliwe przestępstwo, ofiara w bardzo delikatnym stanie, a gnój wychodzi do niej z ryjem. Udało ci się w miarę dziewczynę uspokoić, upewnić, że robi dobrze, a potem dziaders ją poniewiera i dodatkowo traumatyzuje. Dlatego nie było mowy o żadnej sztampie z takim człowiekiem.



Kiedy zgłaszacie popełnienie przestępstwa dotyczące osoby, którą znacie albo przynajmniej umiecie zidentyfikować, to nie ukrywajcie jej personaliów ani własnej tożsamości. Znajomości nie powinny mieć znaczenia w takiej sytuacji – sam byś nie chciał, żeby tak to działało po stronie policji. Przekażcie personalia człowieka, którego dotyczy zgłoszenie, niezależnie, czy to ofiara czy napastnik. Jeśli ukryjecie swoją tożsamość, czynności policji zostaną utrudnione, a niekiedy uniemożliwione. Więc przedstawiajcie się, dodatkowo określcie swoją relację z osobą, której dotyczy zgłoszenie. To wszystko ma duże znaczenie w późniejszych działaniach procesowych.



Jeżeli zgłaszacie zdarzenie o jakiejś ciągłości, czyli na przykład młodzież przychodzi i bierze narkotyki regularnie w pewnym miejscu, postarajcie się określić, od kiedy do kiedy ma to miejsce; możecie nawet wstrzymać się ze zgłoszeniem po to, żeby dokładnie zaobserwować powtarzalne okoliczności tych wydarzeń. Wtedy zwróćcie m.in. uwagę na miejsce, czas, liczbę osób, wiek, stroje lub cechy charakterystyczne. Tego rodzaju zgłoszenie możesz przekazać bezpośrednio do dzielnicowego (osobiście, jeśli go znasz, lub telefonicznie – numery są dostępne online). Dzielnicowy jest najlepszą osobą do zgłaszania spraw społecznych.

# Pierwsza pomoc



Chcecie, abym wam odmalował codzienność policyjnego patrolu? No to proszę: impreza, alkohol, rodzinne spotkania. Ale nie wasze, tylko z interwencji. I niekoniecznie impreza, ale libacja; nie alko zwykły, tylko podły lub podejrzany; nie rodzina, tylko towarzysze menelskiej niedoli. Patrol ma do czynienia z pijusami przez cały czas.

Dlatego w sumie tak zwani menele to najczęstszy punkt styczności pracy policji i życia zwyczajnego człowieka w mieście. Lata temu był to bardzo poważny problem społeczny, dostrzegalny niemal na każdym kroku i najczęściej związany z bezdomnością. Pomoc osobom bezdomnym często jest warunkowana trzeźwością. Osoby nietrzeźwe i bezdomne również znajdą pomoc, ale doraźną – noclegownie, jadłodajnie, punkty wsparcia. Jeśli chcą liczyć na pomoc trwałą, muszą być gotowe do podjęcia walki z nałogiem, co jest oczywistym warunkiem, ponieważ człowiek musi być świadomy własnego życia i działań.

Zwyczajny obrazek jest taki, że gość przyciął konkretnego komara. Śpi w najlepsze, a sen ma z kamienia. Tylko że akurat jest listopad,

temperatura spadła poniżej dziesięciu stopni, a tyt leży w przesikanych ciuchach na przystanku autobusowym i nawiązanie z nim kontaktu jest niemożliwe. Leci zgłoszenie, bo ktoś zaniepokoi się losem tego człowieka. Przyjeżdża patrol i próbuje gościa wylegitymować. Gdyby udało się go wybudzić i poziom świadomości okazałby się wystarczający, to po przeprowadzeniu wszelkich pouczeń i mandatowaniu, można gościa odstawić do domu, zawieźć na izbę wytrzeźwień albo w miastach, w których izby już nie funkcjonują, do PPD (Punkt Pomocy Doraźnej). W części miast izby przestały być konieczne i ich utrzymywanie stało się nieopłacalne, ponieważ prawo dość ściśle określa wymogi wobec izby. Teraz taką noclegownią dla meneli zostały właśnie PPD. O ile na izbie możesz zastosować przymus i przetrzymać człowieka wbrew jego woli, o tyle z PPD ma prawo się wynieść, jeżeli się uprze.

Izba wytrzeźwień jest zresztą produktem społeczeństw Europy Wschodniej. Pamiętam swoje zdziwienie w związku z tym tematem podczas wizyty w Londynie. Wielka Brytania ma ogromny problem z alkoholem. Ludzi pijanych na ulicach jest multum, często nieprzytomnych od spożycia. W Polsce zostaliby zawinięci przez straż miejską albo policję, bo prędzej czy później ktoś zrobiłby wezwanie. Tymczasem na Wyspach taki delikwent zostaje tam, gdzie padł. Ludzie są na to zupełnie znieczuleni. A jak się nawinie akurat policjant, to jedynie obstawi menela albo śpiącego imprezowicza plastikowymi pachółkami, żeby nikt go nie zdeptał przez przypadek, i tyle.

Zasadniczo chodzi o to, żeby znaleźć rozwiązanie na pogodzenie kilku interesów społecznych. Opieka medyczna nie powinna być obciążona pijakami, a jednocześnie człowiek nie powinien być pozostawiony sam sobie. Zwłaszcza że alkohol ma tę właściwość, że potrafi każdego sprowadzić do parteru – korpolansiarza i zwykłego żuła. Obaj mogą potrzebować w takiej sytuacji pomocy. Oczywiście menele budzą skrajne emocje. Leżą nieprzytomni, zasyfieni i śmierdzący. Co w was budzi taki widok? Pewnie towarzyszy wam rozdarcie – od obrzydzenia po współczucie. Ale jedno jest pewne: rzadko kiedy wiadomo, czy taki człowiek potrzebuje pomocy czy nie.

Nieudzielenie pomocy to przestępstwo. Tak stanowi prawo, ale to powinien być nasz ludzki odruch. Nie sprawdzałem tego, ale jestem przekonany, że w tym aspekcie jest ono wszędzie takie samo, pod każdą szerokością geograficzną. W Polsce ustawodawca nie przewidział jednak

potrzeby szczegółowego definiowania, czym jest nieudzielenie pomocy albo jaki jest zakres wymaganego udzielenia pomocy. W praktyce więc za formę udzielenia pomocy uznaje się już samo poprawne zgłoszenie potrzeby interwencji odpowiednim organom.

Teoretycznie po zgłoszeniu jesteście już prawnie kryci – dopełniliście obowiązku. Ale są sytuacje, w których człowiek doświadcza bardzo wielu silnych emocji jako świadek sytuacji wymagającej udzielenia pomocy. To może być stres, który cię sparaliżuje, poczucie obowiązku moralnego, które popchnie do działania, czy nagły wyrzut adrenaliny. Ale sami dobrze wiecie, co jeszcze. Obrzydzenie. To najczęściej ludzie czują, kiedy mają przed sobą zaszczanego menela. Chcieliby nawet pomóc, ale się brzydzą. Szturchnięcie gościa palcem dla wielu jest już trudną do przekroczenia granicą. Gdyby mieli udzielić mu pierwszej pomocy, pewnie by mentalnie nie dali sobie z tym rady.

Jako policjant albo się do tego przyzwyczaisz, albo nie będziesz pracował na ulicy. Mogę wymyślić dla was zestaw magicznych rad, „pięć sposobów na...”, „dziesięć najlepszych trików, by...” – ale to się sprowadza do jednego: trzeba się po prostu z tym oswoić. Nie ma innej opcji, kiedy pracujesz w policji, ratownictwie, ale też straży – w jakimkolwiek mundurze, który wychodzi na miasto. Jeśli pracujesz na ulicy, to musisz liczyć się z tym, że będziesz się taplać w płynach ustrojowych – we krwi, w gównie i w rzygowinach. Taka praca.

Mnie też na początku dźwigało, kiedy widziałem obsranego chłopca. Targało mną, jak mi się facet pierwszy raz zesrał i zeszczął w radiowozie. Wtedy to był dla mnie koniec świata. Ale takich przypadków masz tak dużo, że od pewnego momentu już się przyzwyczajasz. Do smrodu, do sprzątnięcia po takim zdarzeniu. Szczerze mówiąc, nigdy nie byłem szczególnie wrażliwy i wykazywałem się już w dzieciństwie odpornością na różne obrzydliwości. Nie robił na mnie wrażenia także widok krwi. Ze wszystkich tych płynów, dla mnie osobiście najtrudniejsze są wymiociny, które wciąż potrafią mną szarpnąć. Siki, kupa? No problemo. Zafajdany facet – standard. Wiadomo, że wolałbym nie mieć z tym do czynienia, ale kiedy nie ma wyjścia, to po prostu trzeba uznać, że właśnie za to płacą mi w tej pracy. Zresztą po zapachu przejrzałego trupa, już mało co będzie na nosie policjanta robić wrażenie.

Pomyślcie, że sprzedaję farmazony, bo tak wypada, bo byłem policjantem, bo teraz kształcę się na ratownika medycznego, ale serio, udział

świadców zdarzenia w udzielaniu pierwszej pomocy jest absolutnie kluczowy.



Wczesne rozpoczęcie RKO, czyli resuscytacji krążeniowo--oddechowej, jest najważniejsze, ponieważ zmniejsza ryzyko niedotlenienia mózgu. Niedotlenienie mózgu powoduje nieodwracalne zmiany w organizmie człowieka. Takie zmiany zachodzą zwykle od czwartej minuty niedotlenienia. W poszczególnych przypadkach ten czas może się różnić, ale na pewno nie jest dłuższy niż sześć minut. (Wyjątek stanowi przypadek hipotermii, kiedy ze względu na wychłodzenie organizm potrafi osiągnąć wyższą zdolność do przetrwania). Uśrednia się więc, że po pięciu minutach niedotlenienia dokonują się zmiany neurologiczne, których już nie sposób będzie odwrócić.

Jeżeli zatem macie do czynienia z osobą, która jest nieprzytomna i nie oddycha, to jak najszybciej rozpocznijcie uciski klatki piersiowej. Jeżeli jesteście w stanie, włączcie również oddech zastępczy, czyli tak zwane usta-usta. Według aktualnej wiedzy ratowniczej to uciski są najważniejsze, a oddech zastępczy jest działaniem wspierającym, które na pewno pomaga i warto je prowadzić. To właśnie ten kontakt usta-usta jest największą blokadą w większości przypadków. Teoretycznie apteczki ratunkowe powinny być wyposażone w odpowiednie maseczki, w praktyce ogarnięcie tego może nie być takie łatwe. Powiem szczerze, bez maseczki wielu wspomagań oddechowych sam również nie byłbym w stanie przeprowadzić. Jeśli na miejscu zdarzenia jest więcej osób, poproście o wsparcie, o znalezienie maseczki, rozłożenie jej, pomoc w odpowiednim ułożeniu ciała poszkodowanego.

Kolejna ważna rzecz, którą można zrobić, to sprawdzenie, czy w pobliżu jest dostępny automatyczny defibrylator. Defibrylator poprzez przepływ prądu wysokiego napięcia przez ciało człowieka pobudza serce do ponownej pracy, serce zaś pompuje krew, która dystrybuuje tlen w organizmie.

Defibrylator jest prostym, ale skutecznym urządzeniem. Działa automatycznie i jest praktycznie bezobsługowy. Nawet osoba, która nie zna zasady jego działania, poradzi sobie z obsługą takiego defibrylatora bez problemu. Całość jest tak opracowana, że po uruchomieniu urządzenia jednym przyciskiem dalsze instrukcje są przekazywane przez urządzenie w formie komunikatów dźwiękowych: „wyciągnij elektrody, przyklej elektrody, odsuń się, trwa badanie...”. Jeżeli pojawia się hasło: „Rytm do defibrylacji, proszę się odsunąć”, naciskacie przycisk i człowiek



otrzymuje wstrząs. Urządzenie informuje o dalszych krokach: „Rozpocznij uciskanie klatki piersiowej”. Ciśnicie, ciśnicie, aż przyjedzie karetka. Ratownicy przepną się na własne urządzenia i będą kontynuować akcję. Można też poświęcić całe dwie minuty życia i obejrzeć dostępne w sieci tutoriale, które pokazują, jak wygląda tak udzielana pomoc, dzięki czemu będzie się już miało na ten temat solidne wyobrażenie.

Strach przed udzielaniem pierwszej pomocy i przed rozpoczęciem resuscytacji krążeniowo-oddechowej ma też swoje źródło w obawie, że zrobię człowiekowi krzywdę, kiedy zacznę naciskać jego klatkę piersiową. Złamane żebro statystycznie zdarza się w większości sytuacji ratowniczych, jest niejako wpisane w taką procedurę i nikt nie może mieć o to pretensji do ratującego. Musicie wcisnąć komuś mostek pięć centymetrów w głąb klatki piersiowej, więc jest prawem kości ugiąć się lub pęknąć. Nie można się tego obawiać. Na ten lęk jest jedna słuszna odpowiedź: gwarantuję wam, że jak komuś nie bije serce i nie oddycha, to czy mu połamiecie pięć żeber, czy nawet, kurwą, dwanaście żeber, bo strzeli cały mostek, to dla tego człowieka nie ma to znaczenia. Bez tej próby pomocy umrze. Z tą próbą pomocy być może przeżyje. Żebra się zrosną. Gips jest zawsze lepszy niż czarny worek.

Jeżeli nawet nigdy nie byliście na szkoleniu, na którym mogliście ćwiczyć, jak uciska się klatkę piersiową, to i tak podejmijcie tę akcję ratowniczą.

Żeby zrobić to właściwie najlepiej wybrać się na szkolenie z pierwszej pomocy. Może macie możliwość wpłynięcia na swojego pracodawcę, żeby zorganizował takie solidne szkolenie w firmie. Natomiast jeśli nie czujecie takiej potrzeby, nie chce wam się, tacy jesteście zajęci, że nie znajdziecie tych kilku chwil na szkolenie, to pomyślcie tylko, że jesteście tą osobą, która być może będzie udzielać pierwszej pomocy swoim najbliższym. Przekonałem się, że ludzie w ogóle nie biorą tego pod uwagę. Wydaje im się, że ratuje się tylko obcych, a to bzdura. Bardzo często musicie pomóc komuś najbliższemu. Lepiej, żebyście wtedy wiedzieli, co robić.

Strach przed udzielaniem pomocy jest bezpodstawny. A jeśli spanikujecie, to po prostu zostańcie na linii z dyspozytorem numeru 112. Są to osoby gruntownie przeszkolone, które po przeprowadzeniu szybkiego wywiadu na temat sytuacji, będą cię prowadzić krok po kroku, udzielając instrukcji. Wiadomo, że czas się dłuży w takich ekstremalnych sytuacjach, ale dojazd służb ratunkowych zazwyczaj nie trwa w Polsce

zbyt długo. Średnio po ośmiu minutach od wezwania w mieście służby są na miejscu. Niemniej już po tym czasie widać, że jest to wąskie okienko kilku minut, które może zdecydować o czyimś przeżyciu. Jeśli dyspozytor kwalifikuje wezwanie jako NZK, czyli nagłe zatrzymanie krążenia, to interwencja odbywa się wówczas na kodzie „1”, a więc jako priorytetowy wyjazd na sygnale.

Kolejna obawa: przyjadą służby i okaże się, że źle rozpoznałem sytuację. W ogóle nie ma się czym spinać. Działacie w dobrej wierze. Koszty interwencji zawsze są niższe od ryzyka utraty życia. Albo panikujecie, bo zaczęliście gnieść człowieka, a ten zwymiotował. Bez nerwów. To mogło być spowodowane zbyt niskim punktem oparcia rąk albo zatruciem człowieka i reakcją obronną organizmu. Upewnijcie się tylko, że ratowany się nie zakrztusił, a jeśli pomimo to nie odzyskał przytomności i oddechu, kontynuujcie akcję ratowniczą do przyjazdu służb.

Myślicie, że się wymądrzam. Pewnie trochę tak, bo byłem na wielu szkoleniach, teraz edukuję się na poziomie akademickim z ratownictwa, ale zawsze chodzi o to, żeby ta wiedza była użyteczna w praktyce i przede wszystkim powszechna. Nie musicie mieć dyplomu z pierwszej pomocy, ważne, żebyście podjęli działanie, na ile potraficie. Ja samodzielnie musiałem tylko raz gnieść człowieka.

Warunki zewnętrzne, miasto, osiedle, zima, koleś leży, przyjeżdżam na służbie z wezwania. Człowiek ma na sobie kilka warstw ciuchów, a ja na dłoniach rękawiczki. Trzyma mróz. Jest zupełnie inaczej niż w sytuacji ćwiczeniowej. W głowie przewija się kilka myśli. Mózg na szczęście u mnie pracuje tak, że jak trzeba, to sam przepina się w tryb zadaniowy i napędza mnie potrzebą „sprawdzenia się” w danej sytuacji. Rozpinam facetowi kurtkę, rozpinam polar, zdejmuję rękawice i zaczynam cisnąć. Cisnę, cisnę. Przyjechali chłopcy z karetką, przekazałem gościa. Okazało się, że połamałem mu żebra. Szczerze? Ani nie chciałem, ani nie poczułem. Najważniejsze, że udało się uratować człowieka. A nie zawsze się udaje. Kiedyś dojechałem do zgłoszenia NKZ, chwilę przede mną byli ratownicy, ale tej osobie nie udało się już przywrócić czynności życiowych. Kiedy jesteście świadkami przestępstwa czy wypadku, wszędzie tam, gdzie pojawia się ktoś poszkodowany, najważniejsze jest to, żebyście zadbali o swoje własne bezpieczeństwo. To pierwsze, co słyszy człowiek uczący się o udzielaniu pomocy: dobry ratownik to żywy ratownik. Może

to brzmi nieintuicyjnie, ale jeśli rozłożycie sobie kwestię na czynniki pierwsze, to faktycznie zawsze trzeba przedkładać własne bezpieczeństwo nad bezpieczeństwo innych. Oczywiście nie mówię tu o sytuacjach, w których jesteście z rodziną czy z przyjaciółmi, bo to już jest całkiem inna sprawa. W moim życiu też są osoby, za które ryzykowałbym swoim życiem. Jednak w przypadku zwykłej sytuacji zagrożenia życia, najpierw zadbajcie o własne bezpieczeństwo.



Jeżeli jesteście świadkiem napadu, upewnijcie się, że jest bezpiecznie, zanim podejście do ofiary, na przykład dźgniętej nożem. Jeśli macie jakiegokolwiek wątpliwości co do bezpieczeństwa, dzwońcie na numer alarmowy i nie ryzykujcie. Jeśli trzeba uciekać, uciekajcie. Podobnie zachowujcie się przy wypadku drogowym. Pewnego razu zobaczyłem na drodze szybkiego ruchu, jak auto wypadło z drogi, dachowało i wbiło się w rów melioracyjny. Nie dałem po garach i nie zrobiłem sprintu do wraku samochodu, bo byłby z tego tylko kolejny wypadek, a nie rzeczywista pomoc. Kiedy wypadek na drodze dzieje się przy tobie, nie hamuj ostro, jeśli sytuacja tego nie wymaga i nie stawaj autem byle gdzie. Najpierw znajdźcie bezpieczne miejsce do zatrzymania się, włączcie światła awaryjne, upewnijcie się, że nikt na was nie najedzie innym pojazdem, włóżcie kamizelkę, bardzo ostrożnie wysiądźcie, po sprawdzeniu, czy nie zasuwa jakieś rozpędzone auto tuż obok. Zamiast od razu biec do rozbitego auta, lepiej postawcie trójkąt, żeby zmniejszyć ryzyko, że zaraz rozbije się kolejny samochód. Zadzwońcie na alarmowy w pierwszym momencie, w którym sami będziecie maksymalnie zabezpieczeni albo również uda wam się zabezpieczyć miejsce wypadku.

Ponieważ wtedy wypadek wydarzył się przy mnie, realizowałem wszystkie te punkty. Sprawdziłem, czy nie ma groźnych wycieków z aut, czy ktoś po pierwszym szoku nie wymaga jednak jakiejś pomocy, ale też poprosiłem innych świadków, żeby zostali do czasu pojawienia się policji.

Nie wszystkim przychodzi to łatwo, ale mamy jednak zdolność do pewnej podzielności uwagi. W sytuacji kryzysowej na przykład warto pozostawać w kontakcie telefonicznym z dyspozytorem, a jednocześnie wykonywać inne zadania; można ustawić tryb głośnomówiący, a samemu zająć się reanimacją.

Czasem mawia się, że w kupie siła. Jednak jeżeli przytrafi wam się bycie w tłumie, kiedy trzeba udzielić pomocy albo zareagować, to wcale nie jest to ułatwienie. Następuje totalne rozproszenie odpowiedzialności. Mało kto czuje się zobowiązany do działania, najczęściej ludzie zaczynają wtedy raczej nagrywać. Dlatego w takiej sytuacji – paradoksalnie – najtrudniejszy scenariusz rozgrywa się wówczas, gdy w tłumie objawi się lekarz lub ratownik. Wtedy wszyscy pozostali przełączają się w tryb kinowy, brakuje im tylko popcornu. Uważają, że od teraz, odkąd ktoś przyznał, że ma kompetencje do rozwiązania problemu, oni sami nie muszą robić już zupełnie nic. Inną wariacją tego scenariusza jest sytuacja, w której objawia się dwóch specjalistów. Zwykle są wtedy skłonni prowadzić spory o autorytet, stojąc nad poszkodowanym – kłótnia o to, kto ma rację może się dla nich okazać ważniejsza niż los człowieka.

Kiedyś chodziłem sobie zupełnie prywatnie po Krakowie. Na ulicy facet się osunął, nad nim mędrzy – zamiast pomagać, debatuje, że na pewno gość jest pijany, czyli mówiąc wprost, rozważali, czy udzielać mu pomocy czy nie. Facet niemal już leży, a tam coraz więcej osób nad nim i debata oksfordzka. Koleś miał cukrzycę. W przypadku gwałtownego obniżenia poziomu glukozy pojawia się zapach acetonu z ust, zapach przypominający też nieco woń przetrawionego alkoholu. Tłum dalej debatuje: położyć go, przesunąć go, zostawić go... „Proszę państwa, jestem policjantem” – pokazałem blachę. W tłumie od razu rozluźnienie: „Jak dobrze, że pan przyszedł”.

Żeby poradzić sobie z tłumem, trzeba nim pokierować. Ale w sytuacji pomocowej to kierowanie tłumem oznacza wydawanie poleceń konkretnym ludziom, którzy znajdują się najbliżej. „Pani w okularach, to... Pan w zielonym swetrze, tamto...” Polecenia muszą zostać przekazane głośno do wskazanych ludzi. Wówczas odczuwają, że uwaga tłumu skupia

się na moment na nich, a wtedy nabierają odpowiedzialności i mają większą motywację do podjęcia działań.

Trudnych wyborów musicie także dokonywać, będąc świadkami przemocy. Ludzie obawiają się, że nie zawsze trafnie odczytują sytuację, której są świadkami. Zwlekają z dzwonieniem na alarmowy, bo nie chcą się pomylić. Wiem, że ludzi blokuje hasło „bezpodstawne zgłoszenie”. Ale serio: lepiej się pomylić, niż żałować. Pomyłka nic nie kosztuje. Kiedy chodzi o czyjeś bezpieczeństwo, liczą się sekundy. Nawet jeśli nie macie pewności, ale jednak czujecie, że dzieje się coś złego i zagrażającego innemu człowiekowi, dzwońcie. Patrol sobie poradzi z oceną sytuacji, a wy będziecie mieć czyste sumienie. Gdyby miało się okazać, że obserwowaliście na przykład czyjąś zabawę, wkrętkę, żart, to nic się nie stanie i nikt nie będzie robić wam wyrzutów.

Na ulicy trwa bójka. Nie zastanawiajcie się, czy jest uzasadniona czy nie, w ogóle nic wam do tego. Wzywajcie od razu policję. Bo nawet jeśli to dwóch kolegów daje sobie po ryju w wyniku towarzyskiej sprzeczki, to fizyka i biologia pozostają dla wszystkich te same. Od jednego strzała możesz kogoś zabić, wystarczy niefortunnie trafić. Bójka na ulicy jest zgłaszana zawsze jako pilna interwencja, więc przyjedzie patrol na sygnale. Jako policjant składacie przysięgę. „Ja, obywatel Rzeczypospolitej Polskiej, świadom podejmowanych obowiązków policjanta, ślubuję: służyć wiernie Narodowi, chronić ustanowiony Konstytucją Rzeczypospolitej Polskiej porządek prawny, strzec bezpieczeństwa Państwa i jego obywateli, nawet z narażeniem życia”.

Narażanie własnego bezpieczeństwa miałem wpisane w podstawę swojej pracy. W pracy policjanta nie ma miejsca na coś takiego, że jedziecie na potencjalne zabójstwo, widzicie kogoś, kto biega z bronią palną, a wy będziecie dbać o swoje bezpieczeństwo jak cywile i będziecie czekać, aż przyjedzie transporter opancerzony i wsparcie. Jako policjant biorę na siebie to ryzyko, przed którym mam ochronić społeczeństwo.

Warto rozpatrzeć inną sytuację, która pokazuje, jak ta odpowiedzialność powinna wyglądać w praktyce i gdzie są jej granice. Wyobraźcie sobie chociażby taką sytuację: nieprzytomny człowiek, a przy nim zwisają kable energetyczne. Co robić? Zarówno jako cywil, jak i policjant czekałbym na straż pożarną, ponieważ nie mam żadnych szans, aby ocenić, czy zagrożenie występuje czy nie. Może i mnie zaraz ten prąd płynący po jakiejś niewidocznej wodzie też położy. Gdyby jednak było tak, że mam szansę i pewność, że mogę wyeliminować zagrożenie, wtedy działam.

Jako ratownik medyczny nie mam zobowiązania do ryzykowania własnego życia, byłby to absurd. Jednocześnie jednak nie mogę przeciągać tej granicy w nieskończoność, bo istnieje przepis o niedopełnieniu obowiązków. To są naprawdę trudne dylematy, które należy rozstrzygać w kilka sekund. Ale również jako ratownik czekałbym na straż. Strażacy także pracują z narażeniem życia. Gdyby strażak odmówił wejścia do płonącego budynku, bo może spaść mu na głowę belka stropowa, a w środku jest rodzina z dziećmi, byłoby to nie do przyjęcia. W przedstawionej sytuacji wyłącznie strażak ma zaplecze techniczne do podjęcia działań w tak trudnym przypadku. Tylko w praktyce to wszystko nie jest takie łatwe ani oczywiste.

Kiedy idzie o bezpieczeństwo i życie innych, ono zawsze jest na pierwszym miejscu. Policjant ma łapać zbirów, ale jeśli wkracza na interwencję, jest zbir i jest ofiara, która wymaga pomocy, to zajmujemy się ofiarą. Złota złapiemy później, a jeśli nawet nie, to i tak najważniejsze jest ratowanie życia człowieka. Może po obejrzeniu masy filmów sensacyjnych ludzie się spodziewają, że skoro w patrolu jest dwóch policjantów, to jeden może zajmować się sprawcą, a drugi poszkodowanym. Ale prawie nigdy nie ma pewności co do okoliczności, w jakich się znajdujemy, więc nie można zostawić kumpla i ganiać za przestępcą samemu. Po pierwsze, policjant, który udziela pierwszej pomocy, jest wówczas bezbronny i łatwo sam może paść ofiarą napastnika. Po drugie, policjant, który samodzielnie dopadłby uzbrojonego zbira, naraża się ponad konieczność, a gdyby, odpukać, coś poszło nie tak, to nie ma przy nim partnera, który go osłoni, udzieli pomocy czy wezwie posiłki.

Przysięga policyjna ma znaczenie. Nie sposób nie poczuć jej ciężaru w chwili, kiedy się ją składa. Dla mnie ważne jest to, że jej tekst mówi konkretnie o ludziach, że to dla nich jesteś gotów pójść o krok dalej, niż oczekuje się tego od każdej innej osoby w społeczeństwie. To dla mnie znacząca różnica w stosunku do przysięgi wojskowej. Nie sądzę, żeby jakieś patriotyczne narracje, mówiące o obronie ojczyzny, miały we mnie obudzić gotowość do ryzykowania życia. Inaczej to rozumiem, kiedy myślę o konkretnym człowieku, który staje się ofiarą zła – jesteś gotów pomóc temu, komu nikt inny w danej sytuacji nie pomoże. Robisz to nawet wtedy, kiedy oznacza to zagrożenie dla twojego życia. W wojsku ryzykujesz życiem za coś bardziej abstrakcyjnego, na co wpływ większy od twojego poświęcenia często mają zupełnie inne siły, polityczne czy ekonomiczne.



Nie poszedłem do policji zbawiać świata. Nie szukałem też okazji do złożenia siebie w ofierze w imię romantycznej wizji poświęcenia się społeczeństwu. Wiadomo, że nikt z policjantów nie wstaje rano z myślą: „Kurwa, dzisiaj jest ten dzień, kiedy już nie wrócę do domu”. Każdy chce wrócić do domu. Funkcjonuje powiedzenie odnośnie do policjantów i strażaków: życzysz im tyle samo powrotów, ile wyjazdów. Nie szukasz okazji, żeby ryzykować. Ale jak już wpadniesz w taką gównianą sytuację, to nie zostawisz człowieka w potrzebie, nawet jeśli musisz narazić siebie. To dla mnie ważne i chciałbym wierzyć, że byłem gotowy w trakcie swojej pracy postąpić zgodnie z przysięgą. Ale dopóki się z tym nie zmierzysz, nigdy nie wiesz, jak zareagujesz. Dlatego nikt nie ma prawa oceniać czyjegoś postępowania.

Pompatycznie to brzmi, pewnie myślicie, że mi zaraz żyłka pęknie, jak o tym mówię. Wokół składania przysięgi jest wielka pompa. Sam nie lubię patosu, ale rozumiem, że ludzie tego potrzebują. To moment wyjątkowy, z konsekwencjami, podobnie jak choćby ślub – robimy pompę, bo nasza przysięga coś naprawdę zmienia. Więc stajemy tam, ślubujemy na sztandar, wypowiadamy te wszystkie słowa, ściągamy czapkę z godłem narodowym.



To był dla mnie naprawdę wzruszający moment. Każde słowo, które wypowiadałem, miałem przemyślane i zrozumiane. Ale wiecie, jak to jest z rozumieniem, ma charakter teoretyczny, jest inne od praktycznego doświadczenia, które przyszło z latami służby. Jeżeli przychodzisz do służby z cywilnego życia, jak ja – bo są też chłopaki po wojsku, więziennictwie, straży granicznej – to szybko zmienia ci się obraz rzeczywistości. Wychodzisz na ulicę i widzisz, że żyjesz inaczej niż niektórzy ludzie, dociera do ciebie, jak wiele cię omija, ile pozostaje w ogóle poza twoim wzrokiem. To, co dawniej uznałbyś za odosobniony przypadek, okazuje się interwencyjną rutyną. Chwilę taplasz się w tym bagienku patologii, aż przychodzi ten moment, w którym ktoś cię w trakcie pełnienia służby zaatakuje. Wtedy pierwszy raz poczujesz, że się boisz, masz nogi z waty i zero ciśnienia na chojraczenie. Ale jest o jeden most za daleko: jesteś na służbie, złożyłeś przysięgę, nie rzucisz interwencji tak jak zadania w zwykłej pracy, nie zamkniesz za sobą drzwi. Jesteś na miejscu, czujesz strach i musisz podjąć decyzję – wiesz, że od niej będzie zależeć czyjś los. To jest zderzenie rzeczywistości z przysięgą policyjną, przeskok z teorii do praktyki. Nawet jeśli myślisz, że masz na to przygotowaną głowę, to serducho i tak się odezwie ze swoimi odruchami.

Pamiętam, ile mnie to kosztowało stresów i rozkmin, nawracających myśli, czy coś mogłem zrobić inaczej, lepiej, czy właściwie przeanalizowałem wszystkie czynniki. Na początku w głowie miałem chaos. Tysiąc odtwarzanych nagrań naraz z tym, czego się uczyłem. Po czasie dopiero uruchamiałem już ścieżki odpowiednich zachowań w sposób mechaniczny. To tak jak z nauką języka: najpierw składasz powoli słowa i najprostsze zdania, aż nabierasz biegłości, łączysz kropki, a z czasem przestajesz myśleć o regułach gramatycznych, tylko naturalnie je stosujesz.

Z biegiem czasu nauczyłem się jeszcze większego szacunku do słów przysięgi. I nabrałem jeszcze większego dystansu do bojowych samców, którzy składają deklaracje, powołują się – w ogóle nie mając do tego prawa – na Powstanie Warszawskie. Kozaczą, jakby to oni pogonili tego i owego, jakby za ojczyznę oddali życie. Najczęściej to leszcze albo debile, zwykłe młodziki, które pierdolą bez bladego pojęcia. Taki jesteś twardy? Sorry, to ci powiem, że z twojego bohaterstwa zostałaaby kupa w majtkach, gdy pierwsza kula przeleciałaby obok ciebie albo gdyby naskoczył

na ciebie chłop z nożem. Chcesz być bohaterem i ratować ojczyznę, to zacznij od tego, że nauczysz się pierwszej pomocy i poszukasz okazji do pomagania ludziom w potrzebie. Dotknij prawdziwego życia, a nie łykaj internety jak dropsy, zmieniające stan świadomości.

To są poważne sprawy i nikt u nas nie robił sobie jaj ze ślubowania, żadnego przekręcania, wyśmiewania, parodiowania nie było. Kiedy zostajesz przyjęty do policji, otrzymujesz list: gratulacje i zaproszenie na komendę, żeby „podpisać rozkaz powołania do służby”. I wiesz, że to nie jest zwykła umowa o pracę. Później ślubowanie odbywa się z udziałem osób, które chcesz zaprosić. Tyle emocji, że nie pamiętam tego dnia w pełni. U mnie była rodzina i dziewczyna. Były męskie łyzy. Gratulacje i wzruszenia. Ale i obawy. Na przykład mamy: „Żeby ci się tylko nic nie stało”. Zresztą one nie minęły przez wszystkie lata służby. Prababcia, wtedy dziewięćdziesięcioletnia, matka mojego dziadka-policjanta, powiedziała: „Kurwa, synku, ja tego drugi raz nie przeżyję zamartwiać się o dziecko” (bo klnie jak szewc, na przemian przyzywając Boga). „Ja to się o ciebie, synku, co noc będę modlić, żebyś ty cało z tej roboty wrócił”.

Następnego dnia po ślubowaniu, a był to sylwester, ciągle trzymało mnie napięcie. Rozłożyłem swój mundur ćwiczebny, jeszcze starego typu, cały czarny z żółtym napisem na ramieniu „Policja”, czapka z daszkiem w komplecie, zwykłe czarne spodnie bez żadnych oznaczeń. Nie mam portek, kurwa, gdzie są spodnie? Zacząłem panikować, że tu start służby, a pierwsze, co robię, to gubię mundur. Co będzie po nowym roku, pewnie nawet nie wpuszczą mnie do szkoły policyjnej. Panika. Miałem sylwestra wyjazdowego i nie byłem w stanie się bawić, bo tak mnie spięła ta akcja. Zrezygnowany dotarłem później na zajęcia. Okazało się, że przez przypadek kolega zabrał moje spodnie, kiedy w szatni wskakiwaliśmy w cywilne ciuchy. Mówię: „Kurwa, chłopie, a ja przez trzy dni odchodziłem od zmysłów!”. To pokazuje, ile emocji i powagi jest w tym ślubowaniu. To nie jest wydukanie pustej formułki.

A więc spinacie się na początku brakiem portek, a parę lat później siedzicie na luzie z trzydniowym trupem w mieszkaniu i zajadacie hot-doga, bo akurat dopadł was głód.

Nie jestem hipokrytą, więc nie chcę przed wami idealizować żadnych aspektów policyjnej pracy, a już na pewno nie chcę promować heroizmu narażania się. Nasze działanie powinno być racjonalne, a nie emocjonalne,

bo stawka jest wysoka. Dlatego przyznam, że miałem sytuację, w której odpuściłem. Obsrałem zbroję.

Centrum miasta, tuzin kiboli z racami i nie wiadomo czym jeszcze; to grupy często uzbrojone w noże, maczety, kastety. Zostaliśmy do nich wysłani we dwóch na interwencję. Nie podjęliśmy jej. Zamiast iść na konfrontację z tą bandą, wezwałem wsparcie. Narażanie się dla samego narażania, kiedy nie masz zaplecza ani rozeznania, jest drogą donikąd. Przyjechał oddział prewencji. Tarcze, pałki, pełne uniformy. Mieli odpowiednie zaplecze i zostali powołani właśnie do takich akcji. Więc tak, zamiast interweniować, siedziałem w radiowozie. Nie chodzi o to, że miałem wywalone. Przekazaliśmy dyżurnemu natychmiast naszą decyzję, podaliśmy dalszy ogląd sytuacji, daliśmy wskazówki, od której strony najlepiej, żeby posiłki przyjechały i ile powinno ich być. Nigdy nie miałbym podobnego dylematu w sytuacji, kiedy czyjeś życie byłoby zagrożone, a jednocześnie ja bym oceniał sytuację jako z góry przegraną. Wtedy musiałbym z narażeniem życia podjąć działanie. Cieszę się, że mnie to ominęło w pracy policjanta.

Jestem też wdzięczny losowi, że nie byłem na interwencji dotyczącej śmierci dziecka i że nikt do mnie nie mierzył z broni palnej.

Lubię się „sprawdzić”, ale mam też na tyle rozsądku, żeby nie ryzykować bez potrzeby. Niezależnie, czy chodzi o jakieś kontrolowane warunki, jak szkolenie, czy o akcję w realu. Każda taka próba pozwala mi oswoić się z trudnymi sytuacjami, które czekają mnie w pracy i w życiu. Mój mózg działa w ten sposób, że przechodzi w tryb wykonawczy w momencie, w którym występuje potrzeba działania. Jeśli „wgrałem” mu wcześniej ścieżkę postępowania, to jest mi łatwiej zareagować. Jeśli przetrawiłem swoje obowiązki i przysięgę, wiem, z czym się mierzę.

Tak jest na przykład z sięganiem po broń. Kiedy już to robisz, wiadomo, że sytuacja nie jest fajna. Przecież nigdy nie straszysz bronią, żeby ot tak zrobić na kimś wrażenie. W grę wchodzi więc stres, a stres zaburza trzeźwy osąd sytuacji. Raz, drugi, trzeci. W którymś momencie jesteś już z tym oswojony, co niekoniecznie musi oznaczać, że znika stres, raczej zostaje on okiełznany. Podobnie z kontaktem fizycznym, zwłaszcza przemocowym, kiedy musisz kogoś obezwładnić. Nie wyobrażam sobie, żeby to mogło przebiegać bezstresowo. Każda taka sytuacja jest inna, a policjant ma dosłownie moment na ocenienie, czy przeciwnik może mu zrobić krzywdę. Wreszcie tak samo jest z udzielaniem pierwszej

pomocy. Przystawiasz się na tryb maszyny i lecisz, robisz, co trzeba w danej sytuacji, starasz się odtworzyć to, czego się nauczyłeś.

Robisz, bo tak trzeba. Bo to po prostu jest dobre – najważniejsze to pomóc człowiekowi w potrzebie. Żadnej głębszej filozofii.



Kiedy dzwonicie ze zgłoszeniem na 112: Przedstawcie się, jeśli nie z uprzejmości, to by ułatwić czynności prawne, gdyby okazały się konieczne po interwencji. Podajcie swoją lokalizację: miasto, ulicę, numer lub cechę charakterystyczną (na rogu, przy przystanku, od strony parku itd.). Możecie się wesprzeć mapami GPS w telefonie. Powiedzcie, w jakim celu dzwonicie: napaść, pobicie, utrata przytomności.



Czy zgłaszać osoby nietrzeźwe? Jeżeli widać, że utraciły nad sobą kontrolę, np. są nieprzytomni albo zataczają się, siedzą we własnych fekaljach lub są agresywne, zaczepiają ludzi słownie lub fizycznie – tak, zadzwońcie. Przedstawcie się, podajcie lokalizację, powód i rysopis człowieka. W przypadku osób nieprzytomnych dyspozytor zapewne poprosi o podejście do człowieka i przekazanie kilku dalszych informacji oraz próbę nawiązania kontaktu. Będzie również wskazane ułożenie człowieka w pozycji bocznej bezpiecznej, żeby uniknąć ryzyka zachłyśnięcia się, co osobom nietrzeźwym może się stosunkowo łatwo przydarzyć w efekcie zatrucia alkoholowego.



Zainstalujcie sobie w telefonie aplikację, która pokazuje lokalizacje najbliższych defibrylatorów i podaje wskazówki dojścia do nich. W sytuacji udzielania pierwszej pomocy pamiętajcie, że szybkie dotarcie do urządzenia może uratować życie, a dzięki aplikacji odpowiednią informację będziecie mieć dostępną w kilkadziesiąt sekund.



Jeśli chcecie szybko wezwać pomoc medyczną, wybierajcie 999. Pod tym numerem dyżuruje dyspozytor medyczny. Jeśli zadzwonicie na 112, i tak zostaniecie przełączeni do tego samego dyspozytora medycznego. Dzwoniąc pod 999, oszczędzacie czas. Te kilkanaście czy kilkadziesiąt sekund zwykle dla ofiary ma duże znaczenie.



Kiedy jesteście świadkami przestępstwa, najpierw wzywajcie policję, dopiero później dokumentujcie, na przykład nagrywając filmik telefonem, ale wyłącznie pod warunkiem, że nie zagraża to waszemu bezpieczeństwu.



# Błędy



Robisz, co możesz i jak potrafisz najlepiej. Zwykle jest dobrze, ale czasem popełniasz błędy. Myślicie, że ze mną jest inaczej? Wcale nie. Zdałem sobie sprawę, że wpadłem w pułapkę. Wszyscy policjanci mówią, jak im super poszło podczas interwencji, jakie grube akcje odwalili, jakimi są megaekspertami. Rozwiązali swoimi supermocami problemy połowy świata. W swoich publikacjach za mało uwagi poświęciłem błędom. Pewnie dlatego, że mówić o nich jest najtrudniej. A błędy nasze powszednie zawsze będą się zdarzały.

Nie widzę powodu, żeby się ich wstydzić. Na nich człowiek uczy się najszybciej. Kiedy nagrywałem kolejne materiały video i zbierałem do kupy różne doświadczenia z mojej pracy na potrzeby tej książki, poczułem, że będzie to właściwy moment na zmierzenie się z moim wpadkami. Zatem jedziemy.

Początki w policji zazwyczaj są trudne. Kumulacja emocji, stresu, pomyłek. Najważniejsze to trafić na dobrą ekipę na komisariacie i na fajnego partnera w patrolu. Na szczęście większość policjantów to lojalne

i wspierające typy. Stereotyp kocenia i przemocy psychicznej jeszcze ciągnie się za policją, ale trzeba przyznać, że w większości komisariatów pozostało po tym tylko wspomnienie. Teraz, jak już pokazywałem, mundurowa wierchuszka robi PR na liczbach ze statystyk i głównie to zaprzęta im głowę. Wracając do rzeczy: miałem to szczęście, że trafiłem na superpartnerów.

Powinienem był spierdalać, a tego nie zrobiłem. Miałem wtedy rozum młodego psa. Idę w patrolu ze starszym kolegą. Centrum miasta: galeria handlowa, dworzec autobusowy, oba budynki połączone przejściem podziemnym. Panuje podniesiony stan bezpieczeństwa, trwa akcja „Terror”, bo kilka dni wcześniej w Paryżu zamachowcy zabili w metrze wielu ludzi. Na poziomie europejskim została więc uruchomiona skoordynowana akcja służb bezpieczeństwa, której celem było zabezpieczanie dużych ciągów komunikacyjnych. Zbliżamy się do przejścia, schodzimy schodami, a wokół narasta hałas. Stanęliśmy na dolnej płycie przejścia podziemnego, tumult jest tuż-tuż. Minęło kilka sekund i z drugiej strony zaczęła wlewać się do przejścia kilkunastoosobowa banda pseudokibiców. Słyszymy ich krzyki, widzimy ruch. No żeż, kurwa mać...



Sami rozumiecie, że sytuacja zrobiła się trochę bez wyjścia. Bałem się jak cholera. Niby wszystkie mięśnie spięte, a mimo to nogi jak z waty. Tylko że odezwał się we mnie chojrak. Starszy kolega jest obok, przecież nie mogę przed nim wyjść na tchórza i mięczaka. Przełknąłem gulę lęku i zapałem się niczym dzieciak. Na taki stan policjanci mówią, że „obsrali zbroję”.

Stoimy jak wryci. Konfuzja: co robić? Widzę, że kolega sięga po batona, a to nie był dobry pomysł – co zrobisz taką pałką, mając przed sobą bandę chuliganów? Po broń też nie sięgniesz, bo musisz mieć powód. Poza tym każde narzędzie przemocy wywołuje u napastnika jedną reakcję: agresję, rzadko kiedy spolegliwość. Czas się dłuży, każda sekunda trwa milion lat. Przyjmujemy postawy obserwatorów. Niby twardzi jak skały, nie do ruszenia, a w gaciach kisiel. Przecież takim debilom, naspeedowanym nie wiadomo jakim gównem, we dwóch nic byśmy nie zrobili. Miałem wrażenie, że wszystko porusza się w zwolnionym tempie, a jak to się wreszcie skończy, to będzie jedno wielkie pierdolnięcie, po którym zostanie z nas w tym przejściu kilka strzępów z munduru.

Huk narasta. Brzmi jak marsz setek nóg. Żadne dobre myśli nie przychodziły nam do głowy. Aż nagle zza naszych pleców wyłoniła się cała drużyna Oddziału Prewencji Policji. Ktoś zrobił zgłoszenie, że z dworca ruszyła hołota i dyspozytor skierował tam cały oddział. Chłopaki wpadli i poprowadzili tych pseudokibiców. Gdyby nie to, nie wiem, jakby się to spotkanie skończyło.

A gdybym wtedy nie był taki zielony, to głęboko do kieszeni schowałbym wszelkie odruchy męskiej dumy i gotowość do konfrontacji. Powinniśmy odwrócić się na pięcie, wyjść z przejścia i wezwać wsparcie. Nie byłaby to żadna ujma na honorze, nie zmniejszyłaby bezpieczeństwa społecznego, a tylko pozwoliłaby skuteczniej zabezpieczyć sytuację.

Pamiętam siebie z czasu, kiedy szedłem na studia, a później do szkoły policyjnej. Trochę zadzierałem nosa. Wydawało mi się, że wiem więcej, niż wiedziałem. Bywałem zaczepny. Miałem w sobie sporo buty. Myślałem nieraz, że przewaga polega na sile. Wyobrażałem sobie, że da się stosować przemoc i jednocześnie ją kontrolować. Aż poszedłem do policji i się naoglądałem... Wcale nie zabójstw. Ich jest, jak już wspominałem, stosunkowo mało. Ale naoglądałem się obrażeń, okaleczeń, trwałych uszkodzeń ciała wynikłych z zupełnie bezsensownymi przyczyn. Czasem

też przypadkowych śmierci, które wyniknęły z braku wyobraźni, ze złych decyzji, które ktoś podjął, ze ślepych ścieżek, z których ktoś nie zawrócił na czas... – takie przypadki są niezliczone. Za ich sprawą spokorniałem.

Wyegzorczyzmowałem z mojego mózgu cechy i zachowania „samca alfa”. Nie potrzebuję dominacji nad innymi, nie dodaje mi godności posiadanie największych jaj w towarzystwie, uprzejmię dziękuję za posiadanie jedynej słusznej wizji świata. Jak idzie jakaś menda ulicą i szuka zaczepki, to nie ze mną. Przyznaję, że dawniej było inaczej. Bawiły mnie te zabawy. Konfrontacja wzrokiem, odprowadzanie oczami, mijanie się barkami o włos. Po co to komu? Chcecie wiedzieć, czy jestem kozakiem? Nie, nie jestem. Mam na to wyjebane. Wolę wrócić cało do domu i cieszyć się życiem, niż jak debil obijać się po mordach z przypadkowymi kretynami.

Tamta sytuacja z kibolami uzmysłowiła mi tę moją dawną słabość. Bo jeśli chcesz chojraczyć, to w końcu się doigrasz. Wszystko jest kwestią skali i częstotliwości. Nie poszedłem do policji, żeby urosły mi jaja albo zniknęły kompleksy. Stwardniał mi kark, to dobrze, ale też otworzyło się serce – to jeszcze lepiej.

Innym wczesnym błędem, jaki popełniałem, było poczucie wyższości nad aresztowanymi. Czasem interwencja była ciężka z jakiegoś powodu – albo ze względu na samo popełnione przestępstwo, albo zachowanie zatrzymanego. Co tu dużo mówić, wyobrażacie sobie, że można się wkurwić na jakiegoś zbója. Ale przekonałem się, że im bardziej po ludzku do nich podchodziłem, tym lepiej wszystko się później układało: transport w radiowozie, papiery na komisariacie, zeznania.

Człowiek uczy się tego z wiekiem. Zawsze starałem się do zatrzymanych podchodzić jak do najzwyczajniejszych na świecie ludzi. Dobra, dał gość w dupę, umęczyliśmy się, ale jest pojmany. Możemy normalnie pogadać. Nie można być gnojem, który odreagowuje własne frustracje na człowieku w kajdankach. Co by mi przyszło z okazywania wyższości albo ze stosowania siły? Rozumiem, że pojawia się taki odruch w człowieku, coś w rodzaju „ja ci teraz pokażę”, syndrom Brudnego Harry’ego. Ale jak policjant ulegnie takiemu impulsowi, to nie wyjdzie z tego nic dobrego.

Dawałem się początkowo ponosić złości na zatrzymanych. Odkąd nauczyłem się z nimi normalnie rozmawiać, a nawet czasem żartować, zobaczyłem, że to lepsze dla nich, dla mnie, dla sprawy. Zawsze bądź człowiekiem. To kolejna lekcja, którą odrobiłem na własnych błędach.



Wezwanie do próby samobójczej. Na miejscu: dwie studentki, spokojne, trzeźwe. Mieszkały razem, chodziły na tę samą uczelnię, przyjechały z zagranicy. Doszło między nimi do kłótni, coś poszło nie tak, jedna trzasnęła drzwiami i wyszła, a po powrocie zastała koleżankę krwawiącą, więc zadzwoniła po pomoc. Wchodzimy. Dziewczyny w objęciach. Dziewczyna skulona na ziemi była wyraźnie niestabilna emocjonalnie. Dotarło do mnie, że problem jest głębszy i może być związany z problemem psychicznym. Dziewczyny zaczynają mówić, wszystko wydaje się pod kontrolą. Rozmawiamy z nimi, mija chwila i dopiero wtedy widzimy, jak z nadgarstków tej pozostającej w objęciach spływa powoli krew do łokci i zaczyna skapywać na podłogę. Pobiegnęłam do radiowozu.

Na szczęście to już były czasy, w których samochody policyjne zostały wyposażone w standardzie R0, czyli bardzo wysokim (co wcześniej było jednym z punktów hańby, bo w policyjnych autach obowiązywał standard apteczki w typie tych najtańszych ze stacji benzynowej). Wbijam z powrotem do mieszkania, otwieram torbę, w niej znajdują się rzeczy do tamowania masywnych krwotoków. Zakładamy solidne opatrunki, kontrolujemy krwawienie i czekamy na karetkę.



Nie miałem wtedy zbyt dużego doświadczenia. Spanikowałem, kiedy zdałem sobie sprawę, że straciliśmy czas na pogaduszki, a przecież w głowie odnotowałem, że dziewczyna jest blada, ma spoconą skórę, mówi nie do końca do rzeczy, a jej wzrok sprawia wrażenie otępiatego. Wtedy przypisałem to słabej formie psychicznej. A nie pomyślałem, że rana nie zawsze musi obficie krwawić, żeby zagrażała życiu. Nieraz wystarczy, aby była odpowiednio głęboka, by krew upływała z ciała powoli, lecz nadal w stopniu bardzo niebezpiecznym. Mieliśmy informację, że zgłaszającej koleżanki nie było w mieszkaniu w momencie podjęcia próby samobójczej przez jej współlokatorkę. Dziewczyna była w szoku, więc mogła nieprecyzyjnie oceniać choćby czas swojej nieobecności w mieszkaniu. W rezultacie nie wiedzieliśmy, kiedy mogło dość do podcięcia żył i jak długo dziewczyna krwawiła.

Kiedy to wszystko do mnie docierało, dziewczyna siedziała z opatrunkami izraelskimi na nadgarstkach – to taki rodzaj opatrunku, który posiada dodatkowy docisk, ponieważ został zaprojektowany z myślą o tamowaniu dużych krwawień. Nie zdecydowałem się na założenie opasek uciskowych, ponieważ oceniłem, że nie ma takiej potrzeby. Przy dużym ubytku krwi następuje centralizacja krążenia. Najczęściej występuje wraz ze wstrząsem, którego doświadcza organizm. Polega na tym, że ciało swoją mądrością zaczyna obkurczać najbardziej oddalone przepływy, aby jak najwięcej krwi zaopatrywało mózg, wątrobę, płuca, serce, czyli najważniejsze dla podtrzymania życia organy. Im dalej wstrząs postępuje, tym więcej narządów zaczyna być odcinanych od obiegu krwi – coraz więcej i więcej, aż następuje koniec. Dlatego w zaawansowanych technikach ratownictwa w ramach kwalifikowanej pierwszej pomocy tętno sprawdza się na obwodzie, czyli na przykład na tętnicy szyjnej, ale jednocześnie też na tętnicy promieniowej. Jeśli w obu punktach odczucie jest takie samo, to teoretycznie wszystko powinno potoczyć się dobrze. Jeśli jednak tętno jest wyczuwalne wyłącznie na jednym obiegu, to masz do czynienia właśnie ze wstrząsem – doszło do centralizacji krążenia.





Dowiedziałem się o tym dopiero od kolegi, który opowiadał o przebiegu pewnej interwencji, jaką realizował z powodu próby samobójczej. Wbija na miejsce, a tam gość. Rozmawia z facetem, więc niby jest dobrze, ale chłop blady, zlany potem, ma lepkie i zimne ciało. Stoi przed nim, a w łapach rany tak głębokie, że aż zieją czarną pustką. A na rękach, wokół, nigdzie – ani śladu krwi. Tak właśnie zadziałał organizm u tego człowieka. Centralizacja krążenia odcięła mu kończyny z obiegu, więc mimo otwartych ran nie spływało z nich już nic. Minął moment, gość upadł i już nie dało się go uratować, ponieważ wykrwawił się wcześniej, w innym miejscu niż zastał go mój kumpel.

Ale wtedy, na interwencji u tych studentek, nie skojarzyłem faktów dość szybko. Skupiliśmy się na dziewczynie i nie przeprowadziliśmy oględzin mieszkania. To był największy błąd. Gdybym to zrobił, to trafiłbym na krew w łazience. Z tego powodu nie zastosowałem również opasek uciskowych, na co z pewnością bym się zdecydował, wiedząc, że osoba jest już po dużej stracie krwi.

Dotarła karetka, przejęła dziewczynę, zabrała ją do szpitala i z tego, co wiem, wszystko dobrze się skończyło. Ostatecznie okazało się, że rany nie były aż tak głębokie. Ta sytuacja wraca do mnie w myślach, bo widzę, ile rzeczy mogłem zrobić lepiej i tym samym ograniczyć ryzyko, poprawiając jakość udzielonej pomocy.

Nie można jednocześnie zapominać, że każda forma pomocy wiąże się z jakimś ewentualnym negatywnym skutkiem. Do niedawna jeszcze panowało podejście, w którym mocne opaski uciskowe traktowało się jak ostatnie wyjście w przypadku krwawienia. Brało się to z przekonania, że w efekcie ucisku może dojść do uszkodzenia jakiegoś nerwu albo naczynia krwionośnego, co może doprowadzić do bezwładu, ograniczenia częściowej władzy w kończynie poniżej opaski czy powstania zakrzepu lub żylaków. Teoretycznie wszystko to jest możliwe, natomiast praktycznie zdarza się w pojedynczych przypadkach. Pozostaje więc zdrowy rozsądek i zasada nadrzędnej korzyści w stosunku do podejmowanego ryzyka.

# Narko



Spora część policyjnych statystyk dotyczy spraw narkotykowych. Temat jest bardzo złożony. Kto wie, może moje stanowisko w tej kwestii okaże się kontrowersyjne dla was. Kiedy pracowałem w patrolu, otrzymywaliśmy zgłoszenia o podejrzeniu używania, posiadania czy handlowania narkotykami. Finalnie jednak nie mam na koncie jakiejś pokaźnej liczby zatrzymań z tego tytułu. Prawdę powiedziawszy, było ich mało. Gdyby tylko ludzie wytrzymywali presję psychiczną, to cała późniejsza zabawa z zatrzymaniem by ich ominęła.

Na rynku mamy stymulanty i depresanty. Tak dzielimy środki, które wpływają na zmianę świadomości człowieka. Depresant ma działanie hamujące; mówiąc ogólnie, wytłumia, spowalnia reakcje człowieka. Alkohol jest depresantem, co widać po tym, że prawie wszyscy po jego nadużyciu tracą swoje moce, a nie obrastają w nowe – w pierwszej fazie działania alkohol niweluje napięcia, stąd zwyczaj „napicia się dla rozluźnienia”. Z kolei stymulant to środek pobudzający, który człowieka nakręca, dodaje supermocy (a przynajmniej w jego przeświadczeniu).

Stymulant to na przykład amfetamina albo metamfetamina. Ale też kokaina, która jest jednak narkotykiem droгим, więc obecnym raczej w popkulturze niż na polskich ulicach (cztery stówki za gram to bariera nie do przeskoczenia dla większości zainteresowanych). Co ciekawe, również nikotyna zaliczana jest do stymulantów, lecz ze względu na przyjęte stężenia jest pozbawiona właściwości zmieniających świadomość. Niemniej palacz łatwo może zaobserwować, jak po wypaleniu papierosa tętno mu jednak skacze.

Największą popularność ma obecnie amfetamina i mefedron. Po zażyciu tych narkotyków człowiek momentalnie trzeźwieje, dosłownie w kilka sekund osiąga wysoki poziom świadomości. Oczywiście na imprezach ma to swoje konsekwencje. Nagle objawiają się sami superbohaterzy, którzy leją w gardła litry alkoholu, a po imprezie zaliczają największe zgony. Organizm jest w stanie potężnego zatrucia alkoholowego, do którego by nie dopuścił, gdyby jego świadomość nie została sztucznie podkręcona. Zawodnicy, którzy idą po bandzie, trzeźwieją później nie nad kiblami w domach, ale na oddziałach szpitalnych po płukance, kroplówce i z diagnozami: niewydolność wątroby, ostre zapalenie trzustki albo któraś z chorób układu krwionośnego.

To stymulanty prowadzą zwykle do zachowań agresywnych. Człowiek schlany, a człowiek naćpany to dwa różne przypadki. Zwykle człowieka po alkoholu możesz stosunkowo łatwo obezwładnić – ma wolniejsze reakcje, mniejszą siłę i większą skłonność do rezygnacji. Naćpanego gościa trzeba z kolei traktować jako wysokie zagrożenie. To osoba całkowicie nieobliczalna. Podejmowanie interwencji wobec typów po dragach to katorga. Pamiętam, jak musiałem gościa sprowadzić do parteru i niezbyt to szło. Wreszcie udało mi się założyć dźwignię i ciągnę. Cholera, ciągnę, ciągnę, czuję już naturalny opór ciała. Dwa centymetry dalej i złamię typowi rękę. Człowiek w normalnym stanie dawno już by leżał i klepał glebę, a ten dalej, dawaj, będzie walczyć, bo ma w planach „zajebać pierdolonego psa”. Taki delikwent, już pomijając, co zostało mu w głowie z tej papki, która kiedyś była mózgiem, ma bardzo obniżony próg bólu. Jak więc przeprowadzić skuteczną interwencję, czyli taką, która zakończy się jego obezwładnieniem, ale bez wyrządzenia mu krzywdy?

Internauci robią sobie bekę: policjanci w sześciu nie mogą dać sobie rady z jednym chłopem na ulicy. Taki jesteś kozak, to chodź i pomóż. Typ

dziewięćdziesiąt kilo żywej, pobudzonej wagi, we krwi dwa i pół promila alko, oczy jak pięcioletówki, a źrenice jak samurajski miecz od walenia dragów po nosie przez pół nocy. Nic racjonalnego do takiego łba nie dotrze, ciało jest nakręcone na maksimum wydajności, a odczuwanie bólu, czyli naturalna bariera, zostaje zniesiona. Dopóki ktoś nie stanie w takiej sytuacji, to nie zrozumie, że to zupełnie inna konfrontacja niż z normalnym człowiekiem. Nie cierpiałem tych akcji.

Patrol, noc, wozimy się radiowozem, nic się nie dzieje (czytaj: od dwóch godzin nie przeprowadziliśmy żadnej interwencji). Wjeżdżamy w podmiejski las, a tam auto zaparkowane na zakazie – w aucie jakiś ruch. Pewnie seks. Idziemy na kontrolę pojazdu. Puk, puk.

W sumie to niczego wielkiego od tej pary nie chcieliśmy. Przywitaliśmy się, przedstawiliśmy, podaliśmy powód interwencji i poprosiliśmy o dokumenty pojazdu. Musieliśmy ruszyć tyłki z radiowozu, bo już nam krzyże przyrastały do foteli, a że akurat ci stali na zakazie, to mieliśmy powód. Zamierzaliśmy ich tylko pouczyć, bo po co za taką pierdołę wystawiać mandat.

Dziewczyna jako pasażer, chłopak jako kierowca. Nie wytrzymali presji. Uchyłili drzwi i sru – torebeczki powrzucałi pod samochód. Ech, co za barany... Jak mieliśmy tego niby nie zauważyć?

Spojrzeliliśmy z kumplem po sobie – sprawa pozamiatana. To już czasy, kiedy nosiliśmy na sobie kamery, więc to ich mistrzowskie posunięcie zostało uwiecznione na nagraniu. Skoro tak, to musieliśmy już zmienić nasze plany. Kazaliśmy im wysiąść z auta i zakuliśmy w kajdanki. Policjanci mogą założyć bransoletki prewencyjnie z intencją uniemożliwienia ucieczki. Zaczynamy rozmowę:

– Co jest pod tym samochodem, co wyrzuciliście?

– My? Nie, nic nie wyrzucaliśmy.

Wyciągnęliśmy fanty. Woreczek z amfą, drugi z marihuaną.

– To są narkotyki. Dlaczego mieliście narkotyki i wyrzuciliście je pod samochód?

– My? Nie, my nie mamy żadnych narkotyków.

– To skąd się wzięły?

– Widocznie już tu były, jak przyjechaliśmy, i pech chciał, że akurat nad nimi zaparkowaliśmy.

Ręce opadają... Na dodatek żadne z nich nie posiadało prawa jazdy ani dokumentów samochodu. Wezwaliśmy kumpla z psem do dalszego

przeszukania. Pies nie znalazł więcej porcji. Wyglądało więc na to, że mieli na swój użytek, tylko tacy byli nerwowi, że sami się wydali.

Ludzie panikują przy narkotykach. Potrafią wymyślać historie lepsze niż najwięksi bazarze. Pamiętam typa, który miał dragi w portkach. Przysięgał, powoływał się na honor, zaklinał na wszystko, co najświętsze – to nie jego narkotyki.

– A czyje, skoro znajdują się w pańskich spodniach?

– W moich? Zaraz, chwileczkę, przecież ja te spodnie właśnie kupiłem, te narkotyki już w nich musiały być!

Inny delikwent, znajdując się w takim samym położeniu, przekonywał nas usilnie, że spodnie w ogóle nie są jego. Był na imprezie, wypił trochę piwa, zdjął spodnie, żeby potańczyć, a później pomylił się przy zakładaniu i nałożył gacie kogoś innego. Więc ani spodnie, ani narkotyki nie należą do niego.

Kiedy występuje podejrzenie, że człowiek jest w posiadaniu narkotyków, policjant może dokonać kontroli osobistej, która z kolei ma nieco ograniczeń w porównaniu z przeszukaniem, będącym już czynnością procesową. Przeszukanie prowadzi się w sytuacji, kiedy coś zostało wcześniej znalezione. To w ramach przeszukania można zaglądać do jam ciała i oczekiwać przysiadu z kaszlnięciem. Kontrola osobista, którą może przeprowadzić patrol policji, ma swoją granicę na bieliźnie. Aby ją przeprowadzić, należy zapewnić miejsce odosobnienia. Zwykle takie interwencje odbywają się w plenerze albo na imprezowej ulicy, więc nie jest to łatwy do spełnienia warunek. Zazwyczaj wystarczało nam, jeśli zatrzymani opróżnili kieszenie. W przypadku narkotyków o wiele więcej mówią twarze niż kontrola osobista.

Ludzie momentalnie się wysypują przy dragach, nie wytrzymują ciśnienia, przestają jasno myśleć i pewnie dlatego kręcą farmazony. Mają ten odruch wyrzucenia narkotyków. Ale kiedy to robią, to znaczy, że już nas widzą. A skoro oni widzą nas, to my widzimy ich i co za tym idzie, widzimy, że coś wyrzucają... To tak słowem wyjaśnienia dla tych zatrzymanych, którzy nie ogarniali, skąd wiedzieliśmy, że próbowali się wymiksować z posiadania. Często zatem wygląda to właśnie tak, że gdyby ludzie sami się nie wysypali, to pewnie byśmy ich nie zatrzymali.







Zatrzymanie w przypadku narkotyków oznacza, że muszę zabezpieczyć i przekazać znalezione środki, sporządzając przy tym odpowiednie protokoły zatrzymania. Jest w takiej interwencji element niepewności. Dajmy na to, że ujawniasz mały woreczek strunowy z białym proszkiem w środku. Człowiek mówi, że to nie jego albo że to nie narkotyki. A najgorzej, jeśli od początku twierdzi, że to soda oczyszczona albo odżywka sportowa. Możesz się jeszcze dokładniej przyjrzeć zawartości. Zazwyczaj narkotyki nie są idealnie sproszkowane na dokładnie takie same mikrocząstki, bywają zbrylone i mają niestandardową strukturę wielkości. Zawijasz człowieka na jednostkę i robisz narkotesty. Dyżurny wydaje ci odpowiednie pakiety do badań. Osobne są dla narkotyków z THC, osobne dla opioidów, jeszcze inne dla pochodnych amfetaminy. Mieszasz odrobinę zarekwirowanego narkotyku z chemią testową. Jeśli w efekcie mieszanka się zabarwi, wskazuje to na narkotyczny charakter proszku. Kiedy testy wychodzą pozytywnie, przeprowadzasz zatrzymanie. Jeśli negatywnie, przepuszczasz i zwalniasz człowieka, ale taki przypadek mi się nie zdarzył. W przypadku testów pozytywnych, dokonujesz opisu i pomiaru. Kiedyś najtrudniej było z ważeniem. Te porcje zazwyczaj są mikroskopijne. Gdyby ktoś miał zważyć zawartość woreczka z amfą bez woreczka, to mu współczuję. Przesypać później taki narkotyk, żeby waga się zgadzała, to w zasadzie niemożliwe. Dlatego przyjęliśmy zasadę ważenia wraz z oryginalnym opakowaniem. Następnie przekazujesz dalej zatrzymane narkotyki do laboratorium kryminalistycznego wraz z opisem.

Kiedy policjant pisze kwity, zatrzymany zwykle jest już na dołku. Zazwyczaj takie zatrzymania mają miejsce nocą. Kolejnego dnia dochodzi więc do przesłuchania, ale też... do wizyty w domu. Jedzie z nami pies policyjny, żeby zwąchać całe mieszkanie. W przypadku narkotyków funkcjonuje uproszczona procedura sądowa, która pozwala policji na przeszukanie. Kwalifikuje się ją jako czynności niecierpiące zwłoki, bo przecież zatrzymany albo rodzina, z którą się skontaktuje, może bardzo szybko pozbyć się narkotyków z domu. Dlatego idea jest taka, żeby odbyło się to szybko i bez uprzedzenia. Jednocześnie procedury zostały przemyślane w taki sposób, żeby z kolei policja nie pozostawała bezkarna i nie robiła rajdów po mieszkaniach na widzimisię. Więc kodeks postępowania karnego zezwala ci na takie przeszukanie, ale musi być ono zasadne. To, czy było zasadne, stwierdza się po fakcie. Wtedy prokurator

i sędzia weryfikują przesłanki, dowody i przebieg przeszukania już w ramach czynności procesowych. Jeśli człowiek miał przy sobie choćby odrobinę narkotyków, przeszukanie jego domu zawsze jest zasadne. Choćbyś miał ze sobą tylko gram marihuany, rusza cała ta machina.

Macie pewnie co do tej kwestii sporo wątpliwości. Wiadomo, że jeden gram zielonego, a nawet dwa czy trzy, to ilości na własny użytek, a tu od razu akcja jak z filmu: kryminalni, pies, najazd na chatę. Co jest „użytkiem własnym” pozostaje sprawą orzecznictwa sądu. Policjant podczas zatrzymania nie dokonuje takich rozróżnień, bo nie ma jak ich dokonać. Widzi tylko, że ktoś jest w posiadaniu nielegalnych substancji, niekiedy wnioskuje, że podejrzany nimi handluje. Kiedy zatrzymam człowieka z dwoma gramami amfy w kieszeni, to wiadomo, że wybierał się na imprezę. Jeśli koleś ma przy sobie dziesięć woreczków, no to raczej nie jest Świętym Mikołajem i nie rozdaje tych narkotyków. Jednak początkowe działania wobec obu tych osób będą takie same. W przypadku podejrzenia handlu narkotykami policja dokona weryfikacji swoimi drogami operacyjnymi, czy ta osoba faktycznie diluje. Gdyby rozpoznanie kryminalnych potwierdziło ten scenariusz, to gość będzie miał grubo przesrane.

W przypadku małej ilości narkotyków, czyli pojedynczych gramów, i czystej kartoteki praktyka była bardzo pragmatyczna. Przy braku jakichkolwiek wątpliwości co do charakteru posiadania czy prowadzonego życia przez zatrzymanego prokuratura umarzała sprawę od razu. Inaczej blokowałibyśmy sąd, dodawali wszystkim roboty, a co z tego, że czterdziestoletni facet, mający rodzinę, pracujący, chciał zapalić jointa? Robić sądowi, człowiekowi i jeszcze samemu sobie pod górkę w imię grama marihuany?

Ale, ale, miejcie świadomość jednego: dzielę się tym, jak kiedyś było w moim rejonie. Ten sam temat z perspektywy policjanta choćby z Podlasia może wyglądać zupełnie inaczej. Kiedyś spotkałem się z policjantem pracującym w innej części Polski niż ja, rozmawialiśmy na ten temat i dowiedziałem się, że tam każda sprawa leci pod sąd, więc nawet jak będziesz mieć jednego lolka w kieszeni, skończysz z wyrokiem. Ponieważ nie ma scentralizowanego podejścia i zdefiniowanych wytycznych do postępowania w tych sprawach, to w gruncie rzeczy panuje spory chaos informacyjny co do tego, jak te sprawy są traktowane. W jednym mieście wszystko będzie git i bez spinki, wiadomo, gram

maryśki, nie ma problemu. Przemieścisz się do innego miasta, zawiną cię, wrzucą zawiasy, nakażą grzywnę, a ty potem będziesz bujał się z obciążoną kartoteką podczas szukania pracy. W moim poczuciu, ta sytuacja jest zła i generuje dużo niesprawiedliwej krzywdy.

Jeżeli kogoś zatrzymałem za palenie marihuany, to tak naprawdę nie z mojej inicjatywy, ale wyłącznie z głupoty własnej zatrzymanego. Nie widzę sensu w takich zatrzymaniach.

Posiadanie marihuany na własny użytek nie powinno być karalne. Powiem więcej: penalizowanie uprawy marihuany na własny użytek również nie jest dobre. Mówię to z pełną odpowiedzialnością jako były policjant, który miał do czynienia z ludźmi pod wpływem środków psychoaktywnych na co dzień. Mówię to także jako człowiek, który trochę świata zwiedził i śledził rozwiązania prawne w tym zakresie, analizując różne modele postępowania. Obecna penalizacja marihuany w Polsce jest złym i szkodliwym prawem.

Po pierwsze, oznacza to zabieranie państwu pieniędzy, które w formie podatków byłyby związane z legalnym obrotem marihuaną oraz oddawanie pola zorganizowanym grupom przestępczym, które handlują narkotykami. W szczególności mam tu na myśli środowiska pseudokibicowskie. To problem dla państwa. Po drugie, obecne prawo prowadzi do łamania ludziom życiorysów. To często dramaty młodych ludzi, którzy po zawiasach za gram zioła muszą mocno się nagimnastykować, odczekać, aż jakieś skazania się pozacierają, a przez ten czas wiele możliwości (choćby pracy) jest dla nich zablokowanych. Ale i dla państwa każde wystawienie zawiasów to kupa pieniędzy. Obsługa procesowa takiego postępowania kosztuje: policjanci, sędziowie, prokuratorzy, adwokaci (niekiedy z urzędu) muszą wykonać przy tym sporo pracy. Wszyscy uwijają się przy takim procesie, który kończy się wyrokiem w zawieszeniu, a nie ma żadnej szkodliwości społecznej. Zresztą wizerunkowi policji i państwa też to dobrze nie robi, bo w zasadzie jedyne komentarze, z jakimi się spotkałem, to pukanie się przez ludzi w głowę: „przywaliliście zawias dziewczynie za pół grama jarania, bohaterowie, jakbyście nie mieli się, czym zająć”. To nie pomaga policji w pozyskiwaniu społecznego kredytu zaufania.



Uważam, że najlepsze podejście do kwestii marihuany jest podobne do rozwiązań obowiązujących w przypadku alkoholu. Marihuana powinna być legalna i dostępna, a obrót nią w pełni kontrolowany. Zgoda, muszą zostać określone ograniczenia w użyciu, na przykład dostępność tylko dla osób pełnoletnich, zakaz używania w miejscach publicznych, zakaz prowadzenia wszelkich pojazdów po użyciu. Ale jeśli chodzi o wolność do spożywania we własnym domu i w wyznaczonych miejscach, jak coffee shopy z odpowiednią licencją, oraz wolność w częstowaniu – to jak najbardziej. Ludzie mają rozwiązany problem, państwo zarabia, a miejskie zbiry zostają odcięte od jakiejś części swoich wpływów.

Alkohol dzięki temu, że jego handel pozostaje pod kontrolą, jest też bezpieczny jakościowo. Kupując w sklepie whisky, wiesz, że się nie zatrujesz. Kiedy jesteś na melinie i kupujesz bimber, nigdy nie wiesz, czy nie jest przypadkiem zmieszany z alkoholem metylowym albo czy nie jest źle poprowadzonym destylatem. Narkotyki funkcjonują w podziemnym obiegu, więc są jak to gówno na melinie – nigdy nie możesz być pewny, skąd się wzięły i do jakiego stanu cię doprowadzą. Kupić dobry towar na mieście to sztuka. Kiedy młodzież chce poeksperymentować i szuka

dostęp, zawsze trafia na najgorszy syf. Dobrą jakość oferuje niewielu dilerów. Bez sprawdzonego dostawcy, możesz z góry założyć, że w tym, co dostaniesz, połowa zawartości nie będzie tym, czym miała być. Handlem zajmują się ludzie o niskich standardach moralnych, więc nie ma co oczekiwać, że sprzedadzą czysty towar. Dlatego legalizacja marihuany pozwoliłaby na kontrolowanie jej jakości, ale też na budowanie kultury jej używania. Ludzie będą w stanie osiągać powtarzalne i przewidywalne efekty jej zastosowania. Jedni będą wybierać gatunki wyciszające, inni bardziej pobudzające, jedni o smakach słodkawych, inni o drzewnych. Wiesz, co robisz, a nie ryzykujesz chorymi jazdami albo nawet zdrowiem, jak przy nielegalnym obrocie. Bo obecnie to jest gra w rosyjską ruletkę – nie wiesz, jak na ciebie podziała to, co kupiłeś.

Nie chciałbym zostać źle zrozumiany: nie jest tak, że potępiam alkohol, a gloryfikuję marihuanę. Jedno i drugie jest używką, która zmienia stan świadomości człowieka. Wypiję dziesięć piw – jestem bohaterem, czuję, że mogę wszystko, a najbardziej skory jestem do zrobienia czegoś głupiego; wszyscy jeszcze poklepią mnie po plecach, jakby to był nie wiadomo jak godny wyczyn. Zajaram blanta – zawiną mnie na dołek i wlepią nie wiadomo co. Jak przeholuję z jednym, płaczą mi się nogi, język, zaliczam glebę, szczam pod siebie – wtedy należy mi się od państwa uwaga, troska i najlepiej kroplówka, żebym nie cierpiał, a także łóżko w izbie, żebym odespał. W przypadku marihuany wystarczy, że będę ją miał, nie muszę nawet użyć, a może skończyć się na zawiasach i spapranej kartotece. Marihuana nie jest społecznie tak szkodliwa jak alkohol, tyle chcę powiedzieć. Ale jest narkotykiem i człowiek po niej może zachowywać się inaczej niż zwykle, dlatego musi być ograniczana i kontrolowana. Ale przez państwo, a nie przez podziemie.

Na poziomie prawnym legalizację marihuany pewnie dałoby się przeprowadzić dosyć sprawnie i szybko, ponieważ jakiś wysiłek legislacyjny od lat jest w tym kierunku podejmowany. Jestem za tą zmianą, którą hasłowo można nazwać depenalizacją posiadania prywatnego marihuany i uprawy na własny użytek. Ale dla mnie warunkiem koniecznym jest również szeroko zakrojona kampania społeczna i prowadzenie uczciwej edukacji w szkole na temat wszelkich używek.

Osobnym tematem w kontekście używek są dopalacze, o których od lat jest głośno. Faktycznie przez długi czas był z nimi poważny problem, ponieważ legislacja miała lukę, która zezwalała na swobodny dostęp do syntetycznego gówna, które pobudzało układ nerwowy człowieka. Lista

zabronionych środków pobudzających zmienia się bardzo szybko, żeby nadążyć za rynkiem. Korzystali z tego głównie młodzi ludzie. Pierwsza bitwa prawna zakończyła się poprawkami, w których nadal istniała luka. W efekcie powstały tak zwane sklepy kolekcjonerskie i sprzedaż dopalaczy nadal była możliwa. Na szczęście i to należy już do przeszłości. Poza pełnym przekonaniem, że był to syf, to nie mam na temat dopalaczy specjalnych przemyśleń, ponieważ w mojej pracy właściwie nie miałem z nimi do czynienia. Finalnie państwo uporało się z tym głównym i nie słyszę, żeby ono zeszło do podziemia. Ponieważ korzystały z tego jednak głównie dzieciaki, nielegalny handel dopalaczami raczej nie byłby intratnym zajęciem.

Dzieciaki, jak się nakręcą na zrobienie fazy, mają swoje sposoby. I zawsze będą miały. Panuje wzmożenie moralne, jak w każdym pokoleniu, że młodzież to jest teraz siaka i owaka, a na pewno grosza niż dawniej. Bzdura. Nie zaobserwowałem niczego, co by miało świadczyć przeciwko młodym. A że kombinują, to normalka. Są na przykład leki, które dzieciaki podbierają rodzicom albo kupują w hurtowych ilościach, zbierając pojedyncze opakowania w aptekach, by nie wzbudzać niczyich podejrzeń. Niektóre leki są po prostu pochodną benzodiazepin i opioidów. Dostęp do nich został ograniczony przez recepty, ponieważ to środki uzależniające. Dzieciaki wiedzą, że jak łykną tego więcej albo zmieszają z alkoholem, to będą miały jazdę. Dlatego na przykład na imprezach takiego najmłodszego towarzystwa młodzieżowego pojawia się łatwo dostępna, bo bez recepty, kodeina, która należy właśnie do grupy opioidów. Problem więc jest taki, że na każdego ta mieszanka wpłynie inaczej i łatwo pomylić się w dawkowaniu, co jest po prostu mega niebezpieczne. Poza tym przy częstszym stosowaniu szybko człowieka uzależni.

Podejrzewam, że nie da się określić skali tego zjawiska, ale nie dramatyzowałbym. W każdym pokoleniu tego rodzaju patenty są odkrywane. Za moich szkolnych lat też dochodziło do różnych eksperymentów z mieszankami farmaceutyków. Nie jest to z pewnością nic nowego.

# Forma policjanta



Pączek i kawa? Tylko w amerykańskich filmach. W Polsce co innego jest typowym posiłkiem policjanta na patrolu – kebab. Dobry kebs to masa kalorii, a jednak policjanci w Polsce trzymają formę. Obserwowałem, jak w trakcie mojej pracy się to zmieniało na lepsze niemal z każdym kolejnym naborem. Ale u policjantów już z jakimś stażem. Kiedy wstępowałem do policji, byłem o wiele słabszy, niż jestem dziś. To bardzo fajny kierunek kulturowej przemiany, która zaczyna się w naszym społeczeństwie. Ludzie zaczynają się liczyć ze swoją dietą i dbać o formę fizyczną.

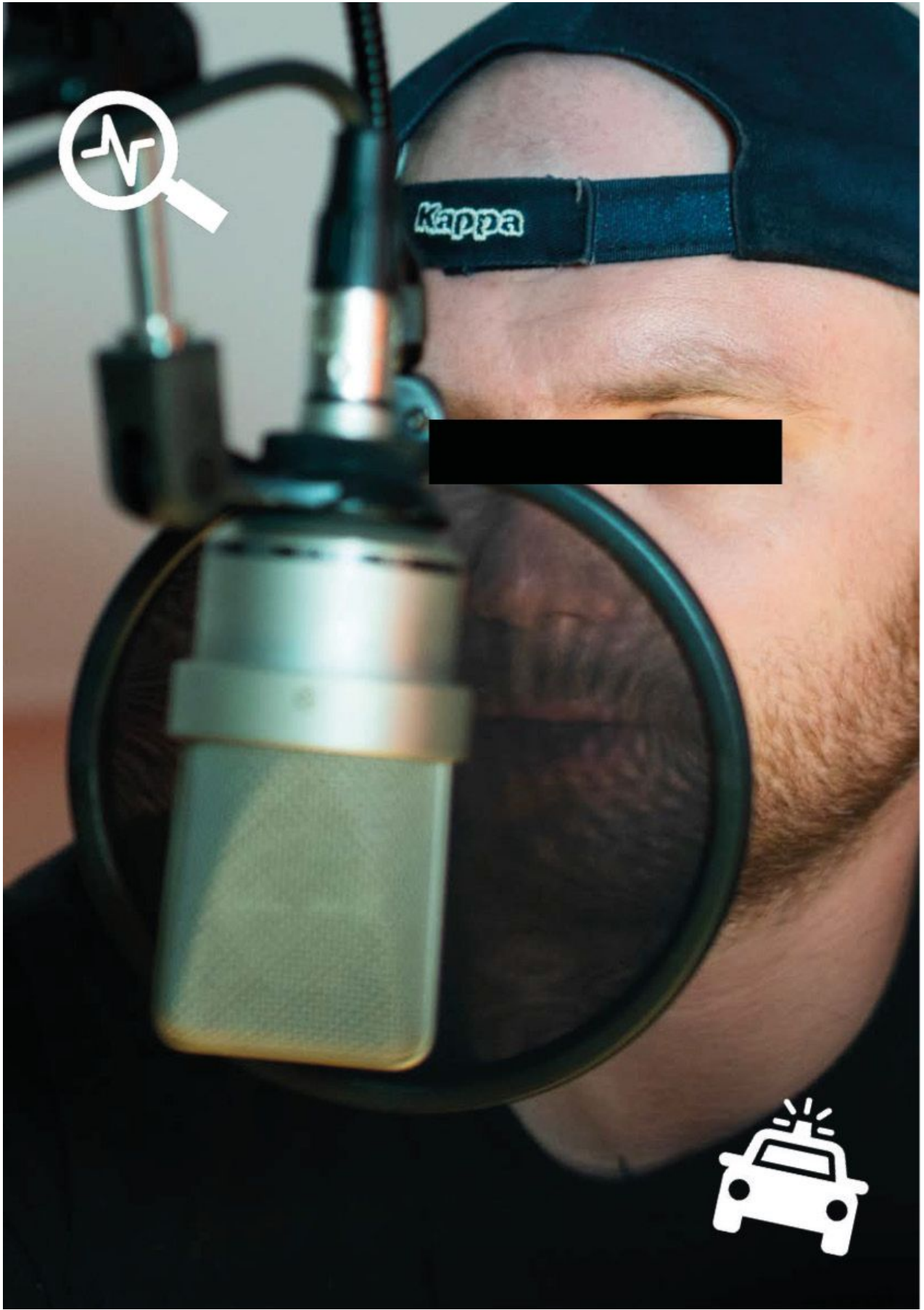
Ludzie tak, Policja – jako instytucja – wciąż nie. Znajomi byli zaskoczeni i nie dowierzali mi, kiedy mówiłem, że policjanci nie mają kart typu MultiSport, które uprawniają do wstępów na siłownię. A ja byłem zaskoczony, że ludzie są tym zaskoczeni. Po prostu: lepsze świadczenia w zakresie zdrowia i sportu masz w Biedronce niż w policji.

Oczekiwania co do formy fizycznej względem funkcjonariuszy są jasne. Policjant musi w pełni sprawny, a prawdę powiedziawszy – sprawny



powyżej przeciętnej. W ramach rekrutacji do policji zdaje się test sprawnościowy. Trzeba wykonać określone czynności i zrobić to w odpowiednim czasie. Jeśli macie przed oczami nie wiadomo jakie akrobacje, to zaraz was otrzeźwię. Kandydat, który potrafi nie przewrócić się w trakcie krótkiego biegu, już w zasadzie zdał. Trzeba przebiec tor sprawnościowy, w tym między innymi bieg przez płotki, zaliczyć rzuty piłką lekarską i parę brzuszków.

Według mnie to jest przekombinowane. Uważam, że prostszym rozwiązaniem byłoby opracowanie modelu testu na wzór wojska czy policji w innych krajach. Powinien się składać z podciągania, pompek, brzuszków i testu Coopera. W ten sposób odsiano by ludzi słabych, którzy nie potrafią podciągnąć się dwa razy na drążku. W takiej sytuacji sam nie dostałbym się do policji – a może wręcz przeciwnie: to zmotywowałoby mnie, żeby osiągnąć tę właściwą relację masy własnej do siły, jaką dysponuję. Uważam, że jest to potrzebne, by w razie potrzeby chwycić się tego muru czy parapetu i mieć szansę pokonać przeszkodę lub dostać się do okna w budynku, kiedy normalne wejście jest z jakiegoś powodu niemożliwe, a w środku znajduje się osoba w potrzebie.



W teście sprawnościowym kobiet i mężczyzn dotyczy ta sama norma. Uważam, że tak właśnie powinno być. Jeśli do skutecznego wypełniania obowiązków, z jakimi wiąże się dana praca, jest konieczny pewien poziom sprawności i siły, to powinien on dotyczyć obu płci. W niektórych stanach USA wprowadzono podwójne normy zależne od płci. To podejście bez sensu w przypadku Policji. Tu chodzi o bezpieczeństwo wszystkich, w tym samej kandydującej osoby, ale też na przykład jej partnera w patrolu. Trudno zaakceptować sytuację „sorry, nie pomogę ci, bo nie mogę tyle dźwigać” albo „a, nie, ja za tym zbrojcem nie biegnę, bo wiesz, że mam krótkie nogi”. Nie ma też co zakładać, że nagle bandzior przekształci się w dżentelmena, który nie podniesie ręki na kobietę. Bezpieczeństwo nie powinno podlegać zmiennym modom politycznej poprawności.

Podczas mojej rekrutacji na teście sprawnościowym było widać, że ta różnica ma znaczenie. Spośród osób, które odpadły, większość stanowiły dziewczyny. Facet był jeden – grubas. Dał sobie ze wszystkim radę, silny chłop, ale nie miał szans wprawić swojej masy w ruch na tyle szybko, żeby zmieścić się w czasie. Szkoda go, fajny gość, ale pewne minimum dla skutecznej pracy trzeba wypełnić.

Ja zdałem. Ale nie byłem wtedy jakimś mistrzem, raczej taka zwykła bagieta i tyle. Byłem statystycznym facetem. Dziś jestem dużo sprawniejszy niż byłem wtedy. Oczywiście raz na czas brała mnie zajawka, że coś ze sobą zacząć robić. Więc biegałem przez tydzień, może dwa, a później zaczynały się wymówki, zaniechanie i nareszcie ulga, że już biegać nie muszę, bo po co się oszukiwać. Albo zrywy na siłownię, bo kumpel próbował sobie zbudować motywację, ale już na wejściu brakowało mu pary, żeby ruszyć tyłek samemu na siłkę, więc szukał towarzystwa. Wyjście, ciśnienie. Wyjście, pogadanki. Wreszcie wyjście i najchętniej to już od razu z piwem po treningu. Czyli wszystko bez sensu.

Kiedy przyjęli mnie do policji, to jednak złapał mnie stres: „Dobra, to już nie są żarty. Wychodzę na ulicę, więc nie mogę być lamusem w mundurze, który po stu metrach biegu złapie zadyszkę”. Wbiłem z powrotem na siłkę. Tym razem miałem zupełnie inną motywację. Chciałem być profesjonalistą w swojej pracy. Znow zacząłem biegać. Żadnej filozofii w tym nie było. Jak trzeba, to trzeba, tyle w temacie. Nie trenowałem dla sylwetki, więc uniknąłem wielu frustracji osób o takiej motywacji, ale jak sylwetka poprawiła mi się niejako przy okazji, to też poczułem się z tym

fajnie. Nie trenowałem dla funkcji społecznych: pokazówek i podrywów, więc nie musiałem się niczym spinać. Po prostu: jako policjant chciałem być silny i wytrzymały.

Rzecz jasna było to dla mnie ważne osobiście, ale myślałem też o różnych sytuacjach, które mogły mnie spotkać w pracy. Wizja konfrontacji na ulicy, gdy nie byłbym w stanie asekurować kumpla z patrolu, albo prowadząc RKO przez kwadrans, wymiękłbym jak parówka, czy też sytuacja, w której miałbym kogoś obezwładnić i zabrakłoby mi siły – takie obawy pomagały mi się nakręcać. Nieważne, jak ciężko będzie, muszę podołać.

Zresztą nie chodzi tylko o możliwość bezpośredniej konfrontacji na ulicy czy o gonieniu zbójów. Powiem wam, do czego jeszcze policjantowi przydaje się siła i kondycja. Na przykład żeby podnieść chłopca upitego na umór. Żeby przesunąć studzienkę kanalizacyjną. żeby napierać na blokowane drzwi i bramy... Nie chciałem być dziadem, więc się za siebie zabrałem.

Moje treningi zaczęły się od kalisteniki. To ćwiczenia z masą własnego ciała. Do tej pory je prowadzę, ponieważ fantastycznie wzmacniają tak zwane mięśnie core'u, rozwijają poczucie własnego ciała i ogólną sprawność. Zasadniczą część mojego treningu to nadal kalistenika. Zwłaszcza w sezonie dobrej pogody, uprawiam tak zwany street workout. Korzystam z publicznych parków z siłowniami. Kiedy pogoda nie dopisuje, w domu cisnę na drążku rozporowym, który był moim pierwszym sprzętem do ćwiczeń.

Kiedy już poczułem, że w domu trochę kończą mi się pomysły i możliwości rozwoju, poszedłem na siłownię. Po raz pierwszy z autentyczną motywacją do systematycznej pracy. Tam zainteresowałem się treningiem siłowym, który wcześniej nie był moim głównym celem. Martwy ciąg, wyciskanie na ławce poziomej i przysiad ze sztangą. To moja podstawa. Ćwiczeń na maszynach prawie nie robiłem i w ogóle mnie do nich nie ciągnie. Prędeż, żeby raz na czas przełamać rutynę, robię ćwiczenia crossfitowe, czyli trening obwodowy, na przykład podciąganie, przysiady, rzuty piłą o ścianę, przerzucanie worka treningowego i tak dalej. Ma to o tyle sens, że pomaga wyrobić w ciele wzorce ruchowe.

W policji poszczęściło mi się pod kątem ekipy, w której mobilizowaliśmy się wzajemnie. Jeżeli chodzi o sport, nakręciłem się w pewnym momencie do tego stopnia, że choćby skały srały, trening musiał być zrobiony.

Wiadomo, że chłopaki mieli różną sprawność fizyczną, ale nie było chyba gościa w plutonie, który całkowicie olałby sport. Dzięki temu ja też miałem motywację, żeby nie odpuszczać, co było moim wcześniejszym przekleństwem. I nie żałuję.



Cóż mogę powiedzieć – pościgi piesze to totalny hardcore. Im więcej doświadczenia miałem jako policjant, coraz bardziej doceniałem wysiłek wkładany w budowanie swojej formy. Oczywiście nie biegałem codziennie kilometrami za podejrzanymi, ale jak raz czy dwa razy na miesiąc już się to zdarzyło, to naprawdę szło wypluć płuca. Taki zbir ma jeszcze większą adrenalinę niż ty i zasuwa, jakby miał motorek wiadomo gdzie. Był taki okres, że tych pościgów już nie szło zliczyć. To była jakaś czarna seria: pościg pieszy za pościgiem. Cztery noce z rzędu ganiecie jakichś frajerów, a nie prawdziwych zbirów. Kumpel, do którego dołączyłem do patrolu w zastępstwie, bo drugi chłopak poszedł na urlop, żartował już, że zawnioskuje o zmianę, bo ma dość tej bieganiny. Ale na koniec dnia wszystkich tych zbójów mieliśmy pojmanych.

Najpierw uciekał przed nami chłopak, bo miał piwo i myślał, że dostanie mandat. Biegłem za nim, kumpel wskoczył w auto i odciął mu drogę. Potem mieliśmy akcję z pseudokibicami. Uciekali przed nami całym stadem. Nie jesteś w stanie złapać wszystkich, więc wybierasz najłabsze ogniwo. Sprowadziłem najwolniejszego głaba do parteru. Ale z tamtych interwencji najbardziej absurdalna była jeszcze inna.

Czwarta rano, już zjeżdżamy ze służby. Samo centrum, dwie drogi, każda po trzy pasy w dwie strony – jedno z największych skrzyżowań w mieście. Stoimy na światłach w normalnym, oznakowanym radiowozie. A tu gość na czerwonym świetle przecina pieszo wszystkie te jezdnie w najlepsze. Ale nam się nie chciało nic robić! Jechaliśmy już na komisariat zakończyć tę zmianę, a ten osioł przeszedł centralnie przy nas. Nie stworzył zagrożenia, ale jakby to wyglądało, gdyby facet centralnie przy radiowozie złamał przepisy, a my nie zrobilibyśmy nic? Mówię do kumpla, który prowadził: „Włącz światła”. Ledwie błysnęły, a delikwent – rura. No to wyskakuję z auta i długa za nim. Dopadłem go, a ten się tłumaczy, że już miał się kłaść do zatrzymania, tylko chciał zejść z tej jezdni na trawnik. Okazało się, że chłopak był po alkoholu i bał się wywózki na izbę.

Wyczerpanie po pościgu pieszym, jakiego doświadczasz, to masakra: schodzi adrenalina, wchodzi kwas mlekowy. Znam przypadki, w których policjanci już nie dawali rady i mieli po prostu odcinkę w nogach, mimo że nadal chcieli biec. Mnie to na szczęście nie spotkało. Ale dobrze znam uczucie kompletnego wyczerpania po pościgu i po walce w parterze.



Raz siłowałem się z ćpunem w szpitalu. Zaczęło się jeden na jeden, ale jak to po narkotykach, typ miał nadmoce. Skończyło się na tym, że musieliśmy w pięciu trzymać go na glebie. Sytuacja z kategorii „niby nic”, bo gość prezentował się jak typowy przyćpany szczur: skóra i kości, pewnie czterdzieści kilo wagi i niewiele więcej niż metr sześćdziesiąt wzrostu. Karetka zgarnęła go z ulicy, bo zaliczył zgon po tym, jak uderzył głową w krawężnik. Na SOR-ze chcieli mu zrobić tomografię głowy, co lekarz może nakazać i egzekwować pod przymusem, bo to badanie diagnostyczne w ramach bezpośredniego zagrożenia życia, ale on wtedy zaczął wywijać. Dopiero piątka funkcjonariuszy dała mu radę. Po tamtej akcji mocno czułem mięśnie, przypominały mi o sobie później jeszcze przez dwa dni.



Innym razem zostaliśmy wezwani do przemocy domowej. Oczywiście chłop po alkoholu. Czterdziestolatek, ubity, wypity. Rozmowa się nie klei, zapowiadają się problemy. W pewnym momencie wiedziałem, że to już zmierza donikąd i werbalne argumenty nie pomogą. Musieliśmy gościa zawinąć na izbę i do późniejszego przesłuchania. On nie wykazywał zainteresowania taką przejażdżką. Założyłem mu duszenie trójkątne. Chłop jak dąb. Utrzymać takiego byka, aż mu odetnie krew i facet zmięknie, to nie taka prosta sprawa. Kipiał od adrenaliny i potężnie wierzgał. Siedzę na nim i trzymam ręce w tym spięciu mięśniowym, byle mi się nie wysliznął... Miałem dość, moje ręce też, a to już czas, kiedy trenowałem dość zawzięcie.

I właśnie dlatego uważam, że standard oczekiwań wobec policjantów powinien być jeden. Co pewien czas dostawałem ludzi ze szkoły do wyuczenia praktyki zawodowej. Kiedyś trafiła mi się dwudziestoletnia drobna dziewczyna, do tego o konstrukcji psychicznej przestraszonego dziewczęcia. Przez całą służbę, którą musiałem z nią pełnić, w głębi duszy błagałem o jedno: bylebyśmy nie wpakowali się na jakiegoś knura, bo poradzić z nim będę musiał sobie całkiem sam. Autentycznie moje

poczucie bezpieczeństwa na tym patrolu było niskie w porównaniu do innych. Nie traktujcie tej opowieści jako przejawu seksizmu, to po prostu głos rozsądku. Pracowałem też z dziewczynami, z którymi można było iść w ogień. O to właśnie chodzi na służbie, pewność i odwaga zawsze musi dotyczyć obu partnerów: albo idziemy razem, albo wcale. A nawet jeżeli coś pójdzie zupełnie nie tak, to wiesz, że jesteście w tym razem.

W policji testy sprawnościowe są powtarzane co roku. Ale to jest tragicomedia. Jak masz L4, to nie musisz na niego iść. Możesz być policjantem, który pracuje w terenie, ale od testów sprawnościowych jesteś zwolniony przez lekarza. Niektórzy namiętnie z tego korzystają. Pamiętam dzielnicowego, który nie był na teście sprawnościowym od pięciu lat. W pewnych grupach panuje wręcz taki szkolny klimacik: na testy sprawnościowe chodzą sami frajerzy, którzy nie potrafią sobie ogarnąć zwolnienia, więc muszą latać, pocić się, biegać na kilometr, robić cuda na kiju, a na co to komu.... Siedzisz elegancko za biurkiem, jesteś gość, nie będziesz się męczyć. Niestety tak policjanci również postępują.

Na szczęście ostatnimi czasy mocniej objawił się odmienny trend. Policyjne związki zawodowe traktują temat sportu i kondycji funkcjonariuszy całkiem serio i nadrabiają za wierchuszkę, która sprawę olewa. W ramach nieco powiększonej składki związkowej możesz mieć popularną kartę sportową z wejściami na siłownię i tym podobne sale tortur, ale też baseny, sauny i wszelkie inne tego typu przybytki. Za czasów mojej służby mogłem o tym tylko pomarzyć, a kiedy chłopaki ze związków zaczęli ten pomysł realizować, to ja już byłem na wyjściu. Dlatego wcześniej kombinowałem. Udało mi się wywalczyć przepustkę, która uprawniała mnie do korzystania z siłowni oddziałów prewencji. Komisariat oczywiście nie posiada własnej siłowni, ale wymyśliłem, że mógłbym chodzić do tamtych chłopaków, i się udało. Ich siłownia była otwarta w określone dni w tygodniu oraz dosłownie na chwilę również w soboty, więc to nie było rozwiązanie, które pozwalało na planowanie i systematyczność w pracy. Zwłaszcza jak wpadasz na trening, a tam wszystko zajęte przez pododdział antyterrorystyczny i chłopaki ubite w środku jak pszczoły w ulu. Ostatecznie skończyło się na tym, że kupiłem prywatnie karnet na siłownię całodobową, a z siłki prewencji korzystałem okazjonalnie.

Zapewne zdziwią was też inne ciekawostki. Policjant zwykłej prewencji w sumie nie musi umieć pływać. Więc gdy przychodzi do przeprowadzenia

jakiejś akcji ratowniczej w wodzie, to pojawia się niezły kłopot. Zatem fajnie, jeśli jednak potrafi. Z kolei policjant drogówki nie musi posiadać prawa jazdy. Są takie przypadki, kiedy chłopaki wylądowali w drogówce w zwykłej loterii przydziałów, mają łożić za wykroczenia drogowe, a sami nie są kierowcami. Widziałem po takich osobach, jak źle się z tym czują i tylko czekają na okazję, żeby się wywinąć i przenieść. Ciągle zastanawia mnie ta kwestia. Dajmy na to, robisz w patrolu w parze. Kierowca zostaje kontuzjowany. Dobrze, żeby wtedy partner mógł przejąć radiowóz i kontynuować pościg albo zapewnić szybki transport do szpitala, by ratować kolegę. Nie chciałbym leżeć na ulicy obok radiowozu i patrzeć, jak kolega stoi jak widły w gnoju, zamiast mnie wieźć na SOR. Czasem sobie żartowaliśmy, że gdyby policję potraktować jak korporację i przeprowadzić audyt zewnętrzny, to na wnioski krytyczne zabrakłoby papieru w całym kraju, a konkluzja byłaby jedna: dysfunkcyjne zarządzanie firmą.



Kiedy zaczynałem trenować, naprawdę nie byłem w formie. Kupiłem drążek i... nie byłem w stanie podciągnąć się ani razu. Teraz usiądę ze sztangą 145 kg i wycisnę 110 kg na ławce. Nie mam odpału na tym punkcie, ale cieszy mnie sam fakt ćwiczenia. Nigdy nie miałem trenera, nie uprawiałem tego sportu w jakiejś hordzie, więc co wycisnę, to moje. Zachowuję też pokorę. Stan moich barków jest, oględnie mówiąc, średni i wymaga ode mnie większej ostrożności podczas ćwiczeń. Dla mnie momentem granicznym była stówka. No, wyjechać stówkę, to było coś. Od tamtego momentu nie mam takiego ciśnienia, jak wcześniej, żeby każdy miesiąc zamykać coraz lepszym wynikiem. Prawdopodobnie osiągnąłem odpowiednią relację wkładanego w sport wysiłku do rezultatów, na jakich mi zależy. Jeden z trenerów działających na You Tubie, Owca, powiedział kiedyś, że stówka powinna być dobrym, męskim celem treningowym. Bo sto to akurat wartość, która nie jest dla faceta do osiągnięcia ot tak bez większego poświęcenia, ale jednak dla większości w efekcie regularnych ćwiczeń jest do wycisnięcia. W stówce nie chodzi o wagę, ale o symbol: nie wycisniesz jej, jeśli nie poświęcisz sporo czasu i nie wypracujesz w sobie systematyczności. Dlatego o sobie jestem na tym etapie spokojny. Zawsze będę mógł na starość powiedzieć wnukom: „Widzisz, a dziadziuś, jak był młody, to wycisnął stówkę”.

# Sprawiedliwość



Strażnik Teksasu. Namaszczony przez prawo na anioła stróża swojej społeczności. Nie tylko schwytą, ale najlepiej jeśli jeszcze od razu ukaże. Zwłaszcza wtedy, gdy wyroki sądu rozmijają się z poczuciem sprawiedliwości ludzi. To kolejny romantyczny mit o pracy policjanta. Prawda jest taka, że policjant niewiele ma wspólnego z wymierzaniem sprawiedliwości, jego zadaniem jest tylko pojmanie sprawcy.

Porusza mnie to, gdy człowiek stosuje przemoc wobec drugiej osoby, która jest słabsza lub nieporadna i nie może się bronić. Albo gdy znęca się nad zwierzęciem. Myślę, że w takich sytuacjach najbardziej pomaga zawodowa kompetencja. Dobrze, żebyś doskonale znał swoje uprawnienia wynikające z funkcji, jaką pełnisz. Uważam, że w zawodach zaufania publicznego stanowi to jedną z najlepszych broni przeciwko głupocie. Nie sztuką jest mieć kodeks w głowie, ale głowę w kodeksie. I dobrze, żeby policjant potrafił sprawnie poruszać się w prawie karnym. Powinien wiedzieć, jakie uprawnienia i obowiązki przyznaje mu kodeks oraz regulamin jego służby. Ktoś cię wkurwia, nic straconego, bo w większości

sytuacji prawdopodobnie ty będziesz w stanie wkurwić tego człowieka bardziej niż on ciebie – wszystko zgodnie z prawem, a w przypadku policjanta włącznie z działaniami siłowymi.

Istnieje taki przypadek użycia środków przymusu bezpośredniego jak „wyegzekwowanie wymaganego prawem zachowania zgodnie z wydanym przez uprawnionego poleceniem”. Mówiąc po ludzku, dotyczy to na przykład takiej sytuacji. Podczas interwencji lecisz z jasnym komunikatem: „Odsuń się”, albo: „Przeszkadza pani w interwencji, niech się pani odsunie, bo inaczej będę zmuszony użyć środków przymusu bezpośredniego”. Wobec namolnego człowieka, który nie pozwala ci skutecznie prowadzić interwencji, można użyć siły fizycznej w celu wyegzekwowania zachowania, ale nie w formie kopnięcia czy uderzenia. Ale jeśli są spełnione te dwa warunki: ktoś przeszkadza w realizacji interwencji oraz nie stosuje się do wydanych poleceń, wtedy możesz użyć na przykład gazu. A zapewniam was, że oberwanie gazem do rzeczy przyjemnych nie należy, choć nie wyrządza prawie żadnej krzywdy. Teoretycznie policjant mógłby też użyć w określonych okolicznościach pałki, ale to już są trudne przypadki, ponieważ pałka może spowodować poważne obrażenia.

Tak, zdarzyło się, że sięgnąłem po gaz i użyłem go wobec człowieka, który uporczywie wpychał się z telefonem pomiędzy zatrzymanego a mnie. Pomimo wielu poleceń nie odsunął się. Jego chęć nagrywania wszystkiego z odległości kilkunastu centymetrów skutkowało tym, że nie byłem w stanie wysłuchać człowieka, którego dotyczyła interwencja. A jednak nie miałem na swoim koncie żadnej skargi z tytułu nieuprawnionego użycia siły.

Poszukiwana kobieta została namierzona w mieszkaniu swojego gacha. Idziemy. Gość nas wpuszcza, pytamy o nią, on nic nie wie, nie widział, a w sumie to ledwie ją zna. Tymczasem my mamy pewność, że poszukiwana jest na miejscu. Robimy obchód po mieszkaniu. W łazience: zapalone światło, drzwi zamknięte od środka. Wołamy, cisza. Wołamy głośniejszym głosem – nadal cisza. Pytam gościa, kto jest wewnątrz – milczenie. Pytamy trochę dosadniej – nic. Mówimy, że wobec tego wyważamy drzwi siłą – złamał się, potwierdził jej obecność. Kumpel wyciągnął z kieszeni multitoola, przekręcił zamek, a w środku... poszukiwana leży sobie w wannie. Bez ruchu, bez spojrzenia, bez reakcji. My do niej mówimy, ona nic. Czas leci, argumenty wyczerpane. Poleciał

na nią gaz i okazało się, że wszystkie polecenia jednak do niej dotarły. Wyegzekwowaliśmy wymagane zachowanie zgodnie z wydanym przeze mnie poleceniem i wcześniejszym ostrzeżeniem.

Pierwszy raz wściekłem się podczas interwencji już na początku pracy w policji, będąc jeszcze w dochodzeniówce. Dostaliśmy zgłoszenie: nielegalna hodowla psów na ogródkach działkowych i znęcanie się nad zwierzętami. Na interwencję pojechałem z dzielnicowym, który był wyczulony na los zwierząt; sam posiadał przygarnięte psiaki. Na miejscu: owczarki niemieckie, kojce, a wszędzie syf. Suka, matka dwóch psów, które jeszcze tam były z jej miotu, miała w głowie dziurę do kości – starą, brzydką, która już nie chciała się goić. Psy były w takim stanie, że na widok człowieka kuliły ogony pod siebie i niemal przywierały do podłoża z przestachu, co je czeka. Na początku myślałem, że to tylko na nasz widok, ale okazało się, że gość od początku tak się nad nimi znęcał, że nabrały wady postawy; tak miały odkształcone kręgosłupy, że już nie były w stanie wyprostować grzbietów.

Nikt nam nie otwierał, pomimo wielu wezwań. Zagrożenie życia i zdrowia tych psów było dla nas jasne. Wyjęliśmy przęśta ogrodzenia i położyliśmy na ziemi. Wchodzimy. Okazało się, że na działce są również gołębniki. Na niemal siedemdziesiąt ptaków żywych pozostało pięć. Wezwaliśmy Towarzystwo Ochrony nad Zwierzętami do konsultacji i strażaków do przeprowadzenia akcji. Strażacy założyli pełne uniformy. Panowała ptasia grypa. Weszli do gołębnika. Smród nie do wytrzymania. Technika kryminalistyki, który przyszedł porobić zdjęcia do materiału dowodowego, cofnęło i solidnie wyszarpało. Wszystkie te martwe gołębie leżały na podłodze w różnym stadium rozkładu, niektóre świeże, inne gnijące, po innych zostały już tylko szkielety. A to wszystko zakiszone w ptasich odchodach. Musieliśmy wezwać wojewódzkiego lekarza weterynarii, żeby ustalił, czy nie ma zagrożenia epidemiologicznego. Zrobiła się interwencja na cały dzień.

Psy zostały zabrane do schroniska, a ten cham, który je trzymał, pojechał z nami na komisariat. Typ cały czas był oburzony: „O co wam, kurwa, chodzi, problemy z dupy macie, spierdalajcie z mojego terenu”. Tamtego dnia, nie powiem, buzowało we mnie sporo emocji. Usadziliśmy gościa na świetlicy, a mnie po głowie chodziły różne głupie pomysły, zupełnie nieprofesjonalne. Musiałem sobie to wyperswadować, że gdybym wziął



typa na męską rozmowę, to byśmy się w efekcie zamienili miejscami, bo sam złamałbym prawo.

Wtedy jeszcze za znęcanie się nad zwierzętami groziło do trzech lat pozbawienia wolności, później przyszła nowelizacja i wydłużyła możliwą karę do pięciu lat w przypadku szczególnego okrucieństwa. Prawdę powiedziawszy, nie wiem, czym się różni „normalne” znęcanie od „szczególnego”. Jak się cztery razy kopnie psa to jest „normalne”, a jak pięć to już „szczególne”? W każdym razie własne emocje i złość trzeba schować do kieszeni. Można jednak skupić się na przykład na tym, co zatrzymany mówi. Trzeba mu na to pozwolić. Im więcej powie, tym być może lepiej dla dochodzenia. Jak się rozkręci, to się wkopie, a policjant będzie mógł mu nawrzucać dodatkowych zarzutów, do których inaczej by nie doszedł. Typ na ciebie naskakuje? Świetnie, wlepisz mu znieważenie.

Miałem też w sobie mnóstwo trudnych emocji przy interwencji w sprawie dziecka. Dziadek i babcia opiekowali się małą wnuczką. Matka dziecka zostawiła swoją półtoraroczną dziewczynkę u rodziców poprzedniego dnia, a sama pojechała do sąsiedniego miasta załatwiać jakieś sprawy i miała wrócić. Sąsiedzi tych ludzi zrobili zgłoszenie: dziecko nieprzerwanie płacze. Przyjeżdżamy, stajemy pod drzwiami – zgadza się, dziecko zawodzi. Pukamy, nic, wołamy – nic. Wreszcie tłuczemy pięściami i wydzieramy się na cały blok. Otworzył starszy pan. Schludne mieszkanie, zwyczajne, on wstawiony, ale jeszcze względnie na chodzie, a ona zaliczyła już alkoholowego zgonu. Tak się spili, że w ogóle nie ogarniali faktu, że mają dziecko pod opieką.

Dziecko było maleńkie, od razu wezwałem karetkę. W tym czasie babcia sobie dalej śpi z głową na stole, a typ na mnie z mordą: co ja sobie wyobrażam, że gdzie mu się do mieszkania wpierdalam, że zaraz mnie stąd wykopie. A w ogóle to czasy takie, srakie i owakie. Bo on wie, co to jest mundur i jak się mundur nosi, i tak dalej. Pijacka gadka. Okazało się, że facet należał do służby więziennej. Pofatygował się do meblościanki, żeby zgarnąć zachowaną na pamiątkę legitymację i machał mi nią przed oczami. Z faktu swojej przeszłości wysnuł wniosek o jakiejś rzekomej solidarności, którą jako policjant miałbym mu być winien. A że mu nie odpuszczam, to jestem chujem. Co wam mogę powiedzieć, nie zaskoczył mnie. Dalej robiliśmy swoje, ale w mieszkaniu wciąż ten płacz maleńkiego dziecka... Gotowałem się, bo facet skakał na mnie, a dziecko dalej w jego

myślach nie istniało, nie miał żadnego odruchu, by się nim zająć czy chociażby, jak to chłop starej daty, wybudzić babcię, niech ogarnie. Nic, zero refleksji.



Wchodzą pielęgniarka i ratownik medyczny. Okazało się, że dziecko, odkąd przyjechało poprzedniego dnia, nie miało zmienionej pieluchy. Przemoczona, przesrana, prześmierdła pielucha odparzała, dlatego dziewczynka nie mogła się uspokoić. Do tego dziecko w tym wieku co kilka godzin powinno być karmione, a prawdopodobnie nie dostało żadnego posiłku. Tymczasem babunia i dziadziuś – małżeńska imprezka. Córka pojechała, otworzyli flaszki, ululali się, o dziecku zapomnieli, na szczęście ktoś zrobił to zgłoszenie.

Stawiam chłopca do pionu. Pytam, gdzie mam to dziecko zawieźć. Nic do niego nie dociera. Wyjaśniam: albo dostanę numer do matki dziecka, albo mała pojedzie teraz karetką do szpitala. Oczywiście znalezienie numeru do córki było dla gościa zadaniem na miarę wspięcia się na Mount Everest. Wreszcie dokopałem się do jakiegoś świstka papieru z cyferkami. Dzwonię, przedstawiam się, ona przestraszona:

– Co się stało?

Zaczynam wyjaśniać. Słyszę, że w kobiecie narasta spieście. Skończyłem, ona wydusza z siebie:

– Ale jak to?

– Podejrzewam, że pani rodzice są alkoholikami i ta sytuacja jest w tym momencie całkowicie poza ich racjonalną kontrolą. Proszę przyjechać odebrać dziecko. Pani rodzice nie mogą dłużej nad nim sprawować opieki, ponieważ prawo stwierdza jasno, że osoba sprawująca opiekę nad dzieckiem nie może być nietrzeźwa.

Ustaliliśmy z pielęgniarką, że lepiej będzie, jeśli zjawi się po dziecko już w szpitalu.

Facet, kiedy w końcu zrozumiał, że nie robi sobie ze mnie kolegi, że nic, dosłownie nic nas nie łączy, stał się agresywny. Wezwałem wsparcie drugiego patrolu, bo do odstawienia były dwie osoby, a w policyjnym radiowozie możesz przewieźć tylko jedną osobę. Z tyłu jest wydzielone miejsce i w trakcie transportu jeden z policjantów siedzi obok takiego delikwenta, żeby zapewnić bezpieczeństwo kierowcy. Zjawili się policjanci, rozpytują, to im streszczam:

– Tu macie pana-kolegę, klawisza-emeryta, który najebany od półtora dnia nie zorientował się, że ze swoją starą mają się opiekować małym dzieckiem, a dziecko zaraz zabieramy do szpitala.

Gość się wściekł. Wydałem polecenie, żeby się uspokoił i usiadł. Ten nadal nadskakuje, więc powtórka, bez efektu. No to gleba. Twarzą do ziemi, kajdanki, usadzony na krześle. Może głupio to zabrzmie, ale wiem, że mnie zrozumiecie: to było bardzo satysfakcjonujące. A jaki był zdziwiony, skurwysyn!

W szpitalu zjawia się matka dziecka. Przestraszona jak cholera, zwyczajna dziewczyna. Wyjaśniam:

– Alkoholicy ukrywają się ze swoim problemem, zwłaszcza przed rodziną, skoro więc już od lat pani nie mieszka z rodzicami, to mogła o tym nie wiedzieć, ale z mojego doświadczenia interwencyjnego wygląda to na długotrwałe uzależnienie.

Dziewczyna ma mętlik w głowie. Na szczęście dziecku w sumie nic się nie stało, ale ona została z poważnym problemem do rozwiązania.

We mnie natomiast wciąż się gotowało. Zatrzymany to był taki typ, który zamiast czuć wstyd, usiłował zawstydzić mnie. Dupek robił wszystko, żeby ustawić sobie mnie jako kolegę. Typowa patologia, w której wyszło mentalne poczucie bezkarności: przecież ja nosiłem mundur, więc jestem nietykalny. Gdybym go wtedy tknął, to by niewiele z niego zostało, ale moja służba w policji też byłaby skończona.

Najdziwniejsza interwencja, do jakiej zostałem wezwany, miała miejsce w ostatnim roku mojej służby. Sprawia, że pozostałem z wielkim dysonansem w głowie. Jadąc samochodem, pewien człowiek zaobserwował niepokojącą go sytuację i zadzwonił ze zgłoszeniem. Świadek czekał na miejscu i prowadził dalszą obserwację, a dyspozytor wysłał nas do niego.

Sytuacja miała wyglądać tak: około pięćdziesięcioletni chłop całuje się z dzieckiem pod sklepem. Przy czym nie chodzi o całusa w policzek, tylko o zapuszczanie ślimora. Podjeżdżamy, niczego nie widzimy. Zgłaszający macha do nas, zatrzymujemy się, a on opowiada i wskazuje gościa. O dziewczynce mówi, że gdzieś sobie poszła. Ruszamy do typu. Oczywiście jest po alkoholu. Na policyjne oko mniej więcej promil z okładem. Widzimy, że kawałek dalej stoi dziewczyna, już nie dziecko, raczej wczesna nastolatka.

– Dzień dobry, mamy zgłoszenie, że całował pan w sposób nieodpowiedni dziecko.

Gość filozoficznie:

– No, dzieckiem to bym jej nie nazwał.

Podszedłem do dziewczyny i zaprosiłem ją do rozmowy. Okazało się, że ma szesnaście lat, a mężczyzna czterdzieści sześć. Skoro tak, wszystko odbywa się legalnie. Dziewczyna faktycznie sprawiała wrażenie nieletniej, ale w Polsce tak zwany wiek przyzwolenia to piętnaście lat – od tego momentu można obcować seksualnie z młodym człowiekiem, o ile wyrazi na to zgodę.

Nadal nie wyglądało to dobrze, bo zacząłem podejrzewać, że dziewczyna nie jest w regularnym trybie rozwoju intelektualnego albo emocjonalnego. Wezwaliśmy jej opiekuna, którym był ojciec. Facet pojawił się natychmiast, bo kręcił się po osiedlu. Przyszedł do nas, trzeźwy i uśmiechnięty, zero zaniepokojenia czy zdziwienia. Mówimy mu, jaka jest sprawa, a on na to:

– Wiem, wszystko się zgadza.

A dziewczyna dodaje:

– To mój chłopak, jesteśmy razem i jesteśmy szczęśliwi.

Rycie beretów trwa, bo ojciec kontynuuje:

– To jest sytuacja pod kontrolą, uzgodniona z psychologiem.

Boże – myślimy – co tu się dzieje? Wszystkich wylegitymowaliśmy, sprawdziliśmy, było formalnie okej.

Opuściliśmy towarzystwo i idziemy do radiowozu. Czeka na nas świadek, zbulwersowany faktem, że nic się nie wydarzyło. Wyjaśniamy. Wiek, zgoda opiekuna, brak podstaw do interwencji. Zgłaszający nie potrafił tego zaakcentować. Tłumaczę:

– Rozumiem pana zdziwienie, ale jako policja działamy w ramach prawa. W tym przypadku nie ma prawnej podstawy do podjęcia interwencji.

Świadek długo dochodził do siebie, ale tak już jest, że prawo nie może regulować każdego aspektu życia. To, że coś nie jest zabronione, nie oznacza, że jest dobre. I nie mam tu nawet na myśli tej konkretnej sytuacji, bo sam, przyznaję, nie potrafiłem jej ocenić.

Kiedy znajdowałem się w sytuacjach, w których odczuwałem dysonans pomiędzy tym, co mogę zrobić jako policjant, a co bym zrobił jako cywil, zawsze kierowałem się zasadą zachowania bezpieczeństwa prawnego. Bo jeśli ktoś ma cię na koniec osądzić, to wówczas może to zrobić wyłącznie w ramach obowiązującego prawa.

Ze wspomnień funkcjonariuszy z dawnych policyjnych lat zapamiętałem pewien tekst, który mocno zapisał się w mojej pamięci. Policjanci, którzy pracowali jeszcze w końcówce lat dziewięćdziesiątych, przyznawali,

że w sądzie takiego typowego przemocowca, znęcającego się nad kobietą czy dziećmi, sprawiedliwość nie spotka. A dzięki spotkaniu z policjantami przynajmniej dostanie uczciwy wpierdol... Inne czasy. Dziś funkcjonuje to całkiem inaczej. Lepiej poprawiać system prawny i zmieniać orzecznictwo, niż organizować jakieś samosądy. Kiedy byście mnie zapytali, czy cel uświęca środki, to odpowiedziałbym, że czasem tak, ale naprawdę bardzo rzadko. Bo jaki z tego pożytek, że policjant zafunduje sobie zarzuty i będzie odsunięty od pracy, a wszystko za sprawą emocji wywołanych przez jakiegoś gnoja?





Chciałbym wierzyć, że kara będzie karą, a więzienie miejscem resocjalizacji, a nie schamienia. Miałem ten komfort w pracy, że odstawiałem zbója do aresztu śledczego, mówiłem kolegom: „bawcie się z nim teraz wy”, i tyle człowieka widziałem. Później sądy zasądają wyroki zgodnie z prawem. Wydaje mi się, że nie ma jakichś specjalnie bulwersujących problemów z wyrokami, zwłaszcza w poważnych sprawach. Niekiedy natomiast brakuje ludziom wiedzy o tym, co oznaczają niektóre wyroki.

Kiedy na przykład w sprawie zabójcy albo pedofila adwokat wnioskuje o umorzenie kary ze względu na stan psychiczny sprawcy, a prokurator, choć wnioskował wcześniej o dożywocie, jednak przychyła się do stwierdzenia niepoczytalności oskarżonego, to nie oznacza, że ten człowiek unika sprawiedliwości. W rzeczywistości ten wyrok jest dożywociem, ale spędzanym na oddziale zamkniętym. Taki gość już raczej nigdy nie wróci do społeczeństwa. A jednak jest w tym wszystkim element, który także i mnie nie przekonuje.

Spójrzmy na przypadek Trynkiewicza. Wiemy, że to okrutny zbrodniarz, pedofil i zabójca dzieci. Trafił do ośrodka zamkniętego, wszystko odbyło

się zgodnie z prawem. Przyjmuje się, że przewidziane są dwie kary główne, w których celem jest wyeliminowanie jednostki ze społeczeństwa: kara śmierci i dożywotni pobyt w więzieniu. W czasach schyłkowej komuny czapa już nie była wykonywana, a dożywocie jeszcze nie weszło do kodeksu. Właśnie w tę lukę trafił Trynkiewicz, dostał karę śmierci, ale sąd musiał ją zamienić na mocy moratorium na inny najwyższy wymiar, czyli wówczas na dwadzieścia pięć lat pozbawienia wolności. Bez wątplenia było to sprzeczne z ogólnym poczuciem sprawiedliwości. Zatem odsiedział swoje, a że wyszedł, choć wszyscy woleliby, żeby został do śmierci w więzieniu – w tym także ja – to już nie jego wina, lecz złego prawa. Ale okazało się wtedy, że państwo na mocy specjalnej ustawy może gościa po kilku tygodniach zamknąć ponownie w ośrodku zamkniętym.

To jest coś, czego się obawiam. Państwo nie powinno pozwalać sobie na takie akcje, bo im bliższa autorytaryzmowi będzie władza, tym bardziej uznaniowo będzie można żonglować ludzką wolnością także w innych sprawach.

Europa bazuje od lat na prawie, które jest tworzone w ramach Unii Europejskiej. Przywykliśmy do pewnych rozwiązań prawnych w sprawach kryminalnych. Powiedzmy, że istnieje matryca, która łączy przestępstwo z zakresem możliwej kary. Wyrok musi zostać wydany w wyznaczonym zakresie, po uwzględnieniu różnych czynników.

Nie przekonuje mnie w tym jedna rzecz. Powiedzmy, że włamywacz, który obrobił mieszkanie, dostał dwa lata. Inny włamywacz, który obrobił pięć mieszkań, dostał pięć lat, a jeszcze inny, który ma na koncie siedem włamów, również otrzymał pięć lat. Wchodząc w buty ofiary, trzeba by zapytać: to jak to jest liczone? W przypadku drugiego włamywacza można powiedzieć, że w sumie to jakby zrobił półwłamania, jeśli odniesiemy jego wyrok do wyroku pierwszego włamywacza? A ten trzeci: czy dwa ostatnie włamania nie miały znaczenia, a wyrok należałoby przypisać tylko do wcześniejszych? Oczywiście jest to celowo przerysowane postawienie problemu. Jednak istota pytania leży w tym, jaka powinna zachodzić relacja pomiędzy liczbą zbrodni czy wykroczeń a wyrokiem w ramach zdefiniowanych zakresów kary.

Kiedy myślę o poczuciu sprawiedliwości w kontekście wyroków sądowych, to myślę właśnie o dwóch czynnikach. Pierwszym jest sposób naliczania kary. Myślę, że model amerykański, w którym wyroki mogą się sumować w niebotyczne lata, ma swój sens. Jeśli wyrok określa karę, to kara nie jest czymś abstrakcyjnym. Kara wynika z faktu, że jakiś zbir

swoim działaniem kogoś skrzywdził, a ten ktoś to zawsze jest konkretny człowiek. Dlatego uważam, że warto byłoby rozważyć taki sumaryczny model naliczania kar ze względu na poczucie sprawiedliwości wobec ofiar, z których żadna nie powinna czuć się pominięta.

Drugim aspektem, który należałoby wzmocnić, jest według mnie to, do czego mogłem się przyczynić jako policjant – nieuchronność kary. Każdy zbrojca powinien wiedzieć, że prędzej czy później, ale „przyjdziemy po niego”. Z lektur, które mam za sobą, wynika, że tym, co przeciwdziała przestępstwu, co blokuje człowieka przed dokonaniem zła, jest przede wszystkim poczucie nieuchronności kary. Okazuje się, że jej wysokość ma drugorzędne znaczenie. Początkowo nie wiedziałem, co o tym sądzić, ale dzisiaj zgadzam się z takim postawieniem sprawy. Gdybym sam miał trafić za kratki, to już latałoby mi, czy na sześć lat czy na osiem, bo te lata są czymś abstrakcyjnym, niekoniecznie dającym się wyobrazić. Ale to, że miałbym pewność, że wyląduję w więzieniu, to jest coś konkretnego i nieodwracalnego – tego mógłbym się bać. A jeśli pomyślę, „marne szanse, że mnie złapią”, to wtedy liczba lat, których i tak pewnie nie dostanę, przestaje mieć znaczenie. To nie działa na wyobraźnię, nie wywołuje lęku przed konsekwencjami.

Mniej oczywistym problemem jest dla mnie kwestia kary śmierci. Wzbudza we mnie mieszane uczucia. Kiedyś byłem za wykonywaniem kary śmierci. Zabrzmi to okrutnie, ale uznawałem, że możliwość takiej kary ma prewencyjną siłę. Wydawało mi się, że potencjalnie więcej osób może być uratowanych przez funkcjonowanie kary śmierci niż osób niesłusznie na nią skazanych. Bo błędne wyroki, nawet w sprawach wymagających jak najgłębszego przebadania, mogą się zdarzać. Tomaszowi Komendzie po osiemnastu latach wręczono list z przeprosinami i zwrócono wolność. Ale człowiekowi po wykonaniu kary śmierci nie da się już niczego zwrócić. Nie mam pojęcia, które wyjście jest lepsze. Padają argumenty finansowe: nie dość, że zbrodniarz, to społeczeństwo łoży na jego utrzymanie. Cały ten system podatkowy jest na tyle skomplikowany, że uważam takie argumenty za niewłaściwe. Ostatecznie również ten skazany odprowadza podatki, realizując zakupy czy też wykonując jakąś pracę na rzecz państwa. Jako policjant przyzwyczajasz się do tego, że wymierzenie kary jest wyłącznie po stronie sądu, a tym samym wykracza poza horyzont twoich działań. Nie pomyślcie tylko, że policjant ma być zobojętniały. Nigdy w życiu! Każdy policjant ma w pamięci twarze sprawców, które pozostają z nim na dłużej. Ale prawda jest też taka, że tych twarzy w ciągu dnia

służby przewija się przed oczami naprawdę wiele. I nie tylko nie jesteście w stanie śledzić losów każdego człowieka, ale w sensie formalnym nie macie takiej możliwości.

Poznać dalszy los przestępcy można w sumie w trzech przypadkach: 1) kiedy sprawa robi się publiczna, 2) kiedy pokrzywdzonym jest policjant, 3) kiedy zatrzymany „szedł w trzy-trzy-pięć”. Artykuł 335 kodeksu karnego mówi o tak zwanym samoukaraniu się sprawcy. Można to nazwać skazaniem bez rozprawy. Najłatwiej pewnie będzie to opisać przez podobieństwo do amerykańskiej ugody przestępcy zawieranej z prokuratorem: obie strony się dogadują, negocjują i później sąd to tylko zatwierdza; nie wnika i nie kwestionuje. Kiedy zatrzymany decyduje się na trzy-trzy-pięć, często jako świadek czynności wiesz, jak się sprawa najprawdopodobniej skończy.

Na poziomie komisariatu, czyli w moim przypadku, ma się z tym do czynienia głównie przy różnych codziennych przestępstwach. W praktyce wyglądało to tak, że siedzi chłop na przesłuchaniu, zwykle po jakimś włamie z kradzieżą, tak się składa, że zwykle już wie, czym jest trzy-trzy-pięć. Jeśli nie, to się mu odczytuje i wyjaśnia ten punkt, a następnie dzwoni do prokuratora. Następnie prokurator poprosi, żeby z nim przyjechać jutro do prokuratury, albo załatwi sprawę na słuchawce: posłucha policjanta, profilu zatrzymanego, może zamieni z nim kilka zdań, a potem złoży propozycję wyroku bez rozprawy. Zbir przystanie na tę propozycję lub nie. Sytuacje, przy których byłem obecny, kończyły się porozumieniem. Prokurator ma z głowy, a zbir wie, że przed sądem skończyłby gorzej.

Czy praca policjantów przyczynia się do tego, że świat jest lepszy? Nie wiem. Myślę o tym w innych kategoriach: policja przyczynia się do zachowania takiej równowagi świata, której oczekuje społeczeństwo. Istnieje odwieczna dysproporcja sił. Przestępcy będą się zawsze odradzać, tak jak systemy polityczne w odpowiedzi na to zawsze będą potrzebować policji. Taki dualizm, uzupełniające się moce, yin-yang. Jedno nie będzie istnieć bez drugiego, a jeśli któraś z sił wygaśnie, to druga osłabnie, żeby pierwsza się odrodziła. Nikt przy zdrowych zmysłach nie spodziewa się, że policja wyeliminuje przestępczość, a następnie sama stanie się zbędna i oto zapanuje społeczny porządek i pokój.

Przestępczość jest jak woda, zawsze znajduje ujście. Po tym, jak w pierwszej dekadzie lat dwutysięcznych udało się rozbić w Polsce zorganizowane grupy przestępcze, które walczyły ze sobą o wpływy

z haraczy, narkotyków, sutenerstwa i tym podobnych, kolejna dekada przyniosła coś zupełnie innego. Kolejne grupy przestępców poszły po rozum do głowy: po co będziemy latać po mieście i ryzykować machaniem klamką, jeśli możemy na luzie rozkręcić karuzelę vatowską, stukać państwo na podatkach, siedzieć wygodnie w fotelach i patrzeć, jak spływa kasa. W odpowiedzi na to policja powoływała Wydziały do Walki z Przestępczością Gospodarczą. W obecnej dekadzie przestępczość najpełniej realizuje się w internecie – i tu również historia się powtarza, bo powstały osobne komórki w policji do walki z cyberprzestępczością.

Dlatego obserwując przemiany przestępczości i policji, myślę o tej wzajemnej relacji jako o staraniu się w ramach policyjnej roboty o zachowanie bezpiecznej proporcji sił w społeczeństwie.

# Rodzinno-sentymentalnie



Mój dziadek rozpoczął służbę w 1970 roku. Przez dwadzieścia lat był milicjantem, a przez osiem kolejnych policjantem. Zajmował się sprawami kryminalnymi, przestępstwami gospodarczymi i zwykłymi zgłoszeniami dotyczącymi przemocy. W 1998 roku odszedł na emeryturę. Dziadek zawsze był dla mnie wzorem. Szacunek, jakim go darzę, bierze się w pierwszej kolejności z tego, że jest dobrym człowiekiem. Tak samo mój ojciec. Ci goście są dla mnie wzorem do naśladowania.

Gdybyście spotkali mojego dziadka, pewnie nikt z was nie wpadłoby na to, że ma przed sobą psa po trzydziestoletnim stażu. Uśmiechnięty starszy pan, rezolutny, z poczuciem humoru. Piekielnie inteligentny facet. Kiedy czasem sobie wyobrażam jego pracę, to mam wrażenie, że pewnie niejednego zbira nieźle przekręcił. Miałem nawet sporo takich myśli, że gdyby była to kwestia wyboru, to wolałbym trafić w te dawniejsze, brudniejsze czasy, kiedy gra była ostrzejsza niż dziś, choć też obciążona większym ryzykiem. Ówczesna przestrzeń na nieszablonowe działanie wciąż jest dla mnie pociągającą wizją.

Praca mojego dziadka była inna niż moja. Dziadek nie znał zbytnio codzienności oddziałów prewencji. A mimo to był dla mnie najlepszym kompanem do przegadywania interwencji i w ogóle aspektów działania policji. Wiadomo, można pogadać z kumplami, będzie trochę emocji, śmiechu, wkurwu. Można pogadać z rodzicami i usłyszeć potakiwania, bo przecież dla kogoś, kto nie był w służbie, to są tylko opowieści. Z dziadkiem to była już rozmowa psa z psem. Wiedziałem, że mogę mu wszystko powiedzieć, a on nie będzie mnie oceniał, pouczał ani użalał się nade mną.

Muszę oddać moim rodzicom, że zawsze mnie wspierali, także w decyzji wstąpienia do policji. Chyba dla każdego rodzica wybór munduru przez dziecko to stresująca sytuacja. Zostajesz żołnierzem, żeby przygotować się do obrony kraju w razie wojny. Ale kiedy zostajesz policjantem albo strażakiem, swoją mikro wojnę toczysz codziennie podczas interwencji. Dlatego obawa o los dziecka pewnie jest większa w takiej sytuacji, bo zagrożenie występuje codziennie, choć zapewne jest mniejsze niż na wojnie. Mamę czasem dopadały te lęki, zdarzało się, że zagadywała: „Pamiętaj, masz wyuczony zawód, jeśli zechcesz coś zmienić”, ale też nie robiła tego metodą zdartej płyty i kiedy widziała, że w pewnym momencie po prostu przestaje jej słuchać, odpuszczała.

Tak zresztą miałem z rodzicami od początku. Darzyli mnie zaufaniem i dawali swobodę, nie ograniczali mnie – może nie było powodu i dlatego tak postępowali, a może to właśnie dlatego ja im nie dawałem zanadto powodów, bo w ten sposób mnie traktowali. To nie znaczy, że nie było ze mną pod górkę. Owszem, było, pewnie jak z większością nastolatków. Po gimnazjum szarpałem się z życiem i decyzjami. A to gastronomik, a to technikum, żeby potem skończyć w liceum. A później może prawo, a może gwiazdorzenie jako rockmen, a może pierdolić wszystko i niczego nie planować. Na anglistykę poszedłem z wygody. Zawsze ten język przychodził mi łatwo, posiadałem certyfikaty, które dopuszczały mnie do studiowania poza kolejką, więc było to wystarczająco dobre rozwiązanie dla mnie. Nie musiałem się niczym przejmować i do niczego więcej przykładać. W liceum pisałem wiersze, zdobyłem drugie miejsce w ogólnopolskim konkursie poetyckim, innym razem dostałem nagrodę od prezydenta miasta. Matura: z polskiego 40%, a z matematyki 70%, takie niespodzianki i cuda. Więc tym bardziej wybór anglistyki mi odpowiadał, bo te wyniki nie miały dla mojej przyszłości już żadnego znaczenia.



Po latach doszedłem do takiej refleksji, że wybierając ponownie, jednak spiąłbym się, żeby pójść w kierunku studiów technicznych. Ale wiadomo, jak to jest z takimi mądrościami po czasie: jakby chłop wiedział, że się wywali, to by sobie usiadł.

Kiedy potem postanowiłem nie kontynuować anglistyki i zakończyć edukację na poziomie licencjatu, mama przejmowała się moim wyborem policji z uwagi na moje bezpieczeństwo. Tata z kolei odczuwał jakiś rodzaj satysfakcji, że jego syn będzie pełnić ważną rolę w państwie; jest wrażliwy na punkcie patriotyzmu. A dziadek powiedział mi wprost, że praca w policji jest przejebana.



Czarny humor: jeśli stary policjant nie jest po dwóch rozwodach, to nie jest dobrym policjantem. Faktycznie, mnóstwo związków policjantów się rozpada. Ta praca na wielu poziomach wchodzi ci w życie prywatne. Wymaga określonego sposobu myślenia i patrzenia na świat, którym posługujesz się cały czas, nie tylko w godzinach służby. Obserwowałem, że małżeństwa z kimś, kto pracuje w policji, nie załamywały się nagle, a raczej powoli i po cichu. Wielu zaczyna trochę dłużej pracować, trochę więcej pić, trochę mocniejszych historii przynosić do domu. Policjant zaczyna mieć poczucie, że rzeczy ważne dzieją się na służbie, a nie w domu. Od żony lepiej rozumie go kolega, fajniej spędza czas na imprezie z policjantami niż z dawnymi kolegami... Żona myśli: znowu nie odbiera telefonu, znowu go nie ma, a obiecał być; znowu wraca struty, a mieliśmy spędzić wspólny wieczór; znowu się napił i nie chce mu się już nic... Taka relacja się wypala. W ogóle nie dziwię się frustracjom współmałżonków policjantów. Te obciążenia są ogromne. Jednocześnie jeżeli porównamy je do tych, o jakich opowiada dziadek, to zmiana na lepsze jest bezdyskusyjna. Przede wszystkim jeśli idzie o przyzwolenie na alkohol, organizowanie popijaw na komisariacie. Dzisiaj jest też więcej opcji odreagowania stresu po pracy. Roboty nie zmienisz, ale możesz zmienić to, co będziesz robić ze sobą w czasie wolnym.

Po siedmiu latach, kiedy patrzę na ekipę ze swojego plutonu, jest naprawdę dobrze. Przede wszystkim – nikt się nie zabił. Nie słyszałem też, żeby ktoś miał problem z alkoholem, ale to oczywiście może być temat skrywany. Na komisariacie również nie spotkałem się z jakimiś poważnymi problemami, chociaż pracował pewien koleś, który picie ukrywał skutecznie przed żoną. Ale to zupełnie inne realia niż z czasów dziadka. Wtedy alkohol był wszechobecny. Na przykład kiedy dziadek przewiózł do prokuratury przejęte skrzynie z alkoholem, pierwszą reakcją prokuratora była dosadna sugestia: „No, ale obawiam się, że coś w transporcie się uszkodziło...”. Wszyscy, na każdym szczeblu, kręcili się wokół alkoholu.

Na szczęście mnie alkohol nigdy zbyt nie pociągał i mogłem bez niego normalnie funkcjonować. Nie tęsknię za urwanym filmem. Psychicznie dawałem radę dzięki temu, że w moim przypadku granica między sferą prywatną a zawodową była bardzo wyraźna, co przychodziło dość naturalnie. Dzięki temu nic za bardzo nie siadło mi na bani. Bardziej

od stresu związanego z interwencjami nastrój psuła mi frustracja, wynikająca z zarządzania naszymi służbami i patrolami. Mam na myśli zmiany w ostatniej chwili i tym podobne rzeczy, które faktycznie destabilizują życie prywatne. Miałem kierowniczkę, która psuła krew wszystkim dookoła, ale miałem też kiedyś superkierownika, który dbał o nas podczas układania grafików. Różnie bywa. Nie zawsze ma się szczęście do przełożonego.

Ale prawie wszystko, z czym się spotkałem, zostało mi wcześniej opisane przez dziadka. Co swoją drogą nie świadczy najlepiej o dynamice zmian w policji, bo kiedy przyjmowałem się do służby, to dziadek już jej nie pełnił od piętnastu lat. Nie był zachwycony moją decyzją. Dłubał coś w warsztacie, przyszedłem, powiedziałem mu o swoim planie, a właściwie już o fakcie złożenia papierów, bo nie konsultowałem tego ruchu z nikim wcześniej. Dziadek spojrzał na mnie i zapytał: „Czy ciebie popierdoliło?”. Powiedział kilka zdań, jaki syf mnie czeka, jaka utrata zdrowia. Dziadek próbował mnie przekonywać, odwozić od podjętego postanowienia, ale nie owijał w bawełnę, opisując realia pracy, jakie zapamiętałem. Gdyby podsumować jego stanowisko wobec mojego pomysłu, to było ono bardzo krytyczne.

Pamiętam, że w szkole to zawsze robiło na kolegach wrażenie: „wow, twój dziadek był psem”. Na mnie też, bo nieraz widziałem, jak wracał do domu z pistoletem. Kumple na oczy nie widzieli gnata, a dla mnie był to normalny widok. Pewnego razu dziadek pokazał mi argenterat. To srebrny proszek do zabezpieczania odbić linii papilarnych. Innym razem dostałem od niego folię daktyloskopijną, na której nauczył mnie pobierania odcisków palców. Dla każdego chłopaka stanowiłoby to superfajdę. Nie czułem jednak, żeby dziadek robił to z jakiejś chęci wciągania mnie w policyjne klimaty, tylko po prostu chciał mi sprawić radość. Kiedy byłem już starszy, dziadek czasem dawał się namówić na jakieś opowieści o pracy w konwencji studium przypadku. Słuchałem go z zainteresowaniem, ale znowu – na pewno nie chciał w ten sposób mnie do czegoś zachęcać.

Kiedy skończyłem gimnazjum moje zainteresowanie opowieściami dziadka osłabło. Zacząłem liceum, a wraz z nim okres nieukierunkowanej tępoty. Burza hormonów. Po prostu, jak coś mnie interesowało, to wiadomo, że była to... impreza. Jak impreza, to alkohol. Jak alkohol, to głupota. Normalnie po alkoholu jestem raczej spokojny i wychillowany,

ale wtedy odpalało mi się zaczepialstwo, szukanie guza. Zaliczyłem wtedy pierwsze przepychanki i konfrontacje, pierwszy raz oberwałem w pysk. Kiedy potem przez lata naoglądałem się jako policjant różnych sytuacji, to na wspomnienie tamtych lat trochę opadają mi ręce. Z perspektywy czasu widzę wyraźnie, że nieraz szliśmy z kumplami po bandzie i trochę za bardzo ryzykowaliśmy. Łatwo wtedy zamknąć sobie drogę do przyszłości, o której się w tym wieku nie myśli zbyt serio. Niech choćby zawiną cię z gramem do spalenia, a do policji już nie wstąpisz, bo masz napaskudzone w papierach. Będziesz nie tam, gdzie trzeba, zobaczysz rzeczy nie dla twoich oczu, skończy się chodzeniem po sądach.



Na szczęście nie było w tym nic z patologicznego bagna. Moje otoczenie nie było na szczęście takie. Ale naukę olałem, wpadały zagrożenia, a mojej mamie-nauczycielce ciężko się było pogodzić z takim obrotem spraw, zwłaszcza że z natury jest nadopiekuńcza. Tata mnie nie cisnął, ale dał mi coś ważniejszego: poczucie, że zawsze mogę na niego liczyć, i faktycznie nigdy nie odmówił mi pomocy.

Ludzie, z którymi się wtedy kręciłem, są mi bliscy do dziś. Nadal się widzimy. Przeszliśmy ze sobą przez różne sytuacje, a to na pewno zbliża. Myślę, że te znajomości przetrwały, bo były spontaniczne, nie bawiliśmy się w żadne subkultury. Słuchałem wtedy thrash metalu, ale też punka, nie określałem jednak swojego stylu życia w odniesieniu do muzyki. Moja młodość to był już zmierzch subkultur ideologicznych i nikt z nas nie tworzył swojego ścisłego światopoglądu w oparciu o jakieś wąskie ramy. Mogłem słuchać punka, jednocześnie nie musząc tłuc się ze skinami; mogłem słuchać metalu, nie kpiąc przy tym z techno zamulaczy. Ominęły mnie też zabawy piłkarskie, które w naszym kraju są dość popularne wśród młodych chłopaków i odpytywania w stylu „za kim jesteś?”. Piłka nożna nigdy mnie nie wciągnęła, ze sportów zespołowych wolałem siatkówkę.

Mam poczucie, że to, co najmocniej oddziaływało na mnie negatywnie, to różnego rodzaju lokalne animozje. Pomędzy regionem, w którym się urodziłem i mieszkałem, a tym, w którym pracowałem, przez lata narosło wiele nieporozumień. Doświadczałem na własnej skórze siły stereotypów.

W moim środowisku nie funkcjonował jakiś specjalny hejt na policję. Wiadomo, że ktoś tam mazał po ścianach CHWDP, ktoś mówił bez przerwy „j...ć policję”. Ale policja to nie jest zupa pomidorowa, żeby lubili ją wszyscy. Pewnie dzięki dziadkowi miałem więcej wglądu w policyjną pracę i łatwiej mogłem empatyzować z policjantami. Nie zmieniało to faktu, że dla mnie jako młodego chłopaka wiele rzeczy związanych z policją było oburzających. Na szczęście nie była to żadna oś, wokół której miałyby się budować moja tożsamość. Wiadomo, że jeśli idzie pracować w organie odpowiadającym za porządek, to masz w gratisie niechęć jakiejś części społeczeństwa, która żyje poza prawem.

Początkowo w rozmowach z ludźmi tłumaczyłem, dlaczego policja postępuje tak lub inaczej. Niewiele to zmieniało. Dałem sobie spokój. Niech sobie piszą dalej po ścianach – myślałem w duchu – mnie to i tak nie zaboli. Nastoletnie chłopaczki próbują mnie zabić wzrokiem, kiedy jadę radiowozem przez osiedle, i co z tego? Pogadają sobie pod nosem, że pierdolona policja. Niech im ulży, bo wiedzą, że jakby co, to i tak my będziemy górą w konfrontacji. Ktoś mnie zwyzywa od jebanych psów, co z tego? Idiota nie jest w stanie obrazić człowieka, zawsze mówi sam o sobie. Jasne, że obrażanie funkcjonariusza jest ścigane z urzędu, ale prawdę powiedziawszy, kiedy mnie spotykało, a nie było publiczne, to je zwyczajnie olewałem.

Jeszcze dwadzieścia lat temu taki koleś dostałby solidny łomot, dzisiaj, szczerze, ani razu nie byłem świadkiem, ani nie słyszałem, żeby ktoś na komisariacie dostał w pysk. Jeszcze dekadę temu wychodziły na jaw sprawy zastosowania nieuprawnionej przemocy, a nawet śmierci na komisariacie. Wiem, że dawne rzeczy mają znaczenie i nie wolno o nich zapominać czy zamiatać pod dywan, niemniej dzisiaj niemal nie występują.

Kiedy trochę ludzi z otoczenia dowiedziało się, że idę do policji, to reakcje były różne. Dziewczyny ode mnie ze studiów śmiały się, że to dlatego, że „za mundurem panny sznurem”. Ale jak się już pośmiały, to poważniejszym tonem wyliczały niedogodności i ryzyka tej pracy. Z kolei takie szemrane lokalne towarzystwo chłopaków cieszyło się i gratulowało mi. Sądzę, że mieli wizję lepszej przyszłości, w której ich znajomy będzie psem, czyli będzie traktować ich ulgowo. Im większa patolka, tym większa



akceptacja i zrozumienie, a im bardziej nowobogacki klimat, tym więcej pierdolenia. Nigdy nikt się ode mnie nie odwrócił z tego powodu, że zostałem policjantem, ale na pewno ta decyzja oczyściła mi życie prywatne.

Miałem dziewczynę. Od początku zaniepokoiła się tym pomysłem. Martwiło ją, że praca policjanta jest kiepsko płatna. Faktycznie, moją pierwszą wypłatę pamiętam do dziś – wyniosła 2350 złotych. Dziewczyna była załamana i truła mi dupę o pieniądze, o przyszłość. Miałem dość takiego traktowania, więc powiedziałem „do widzenia”, bo to niczego dobrego nie zapowiadało.

Niewiele zresztą brakowało, a policjantem bym nie został. Szedłem kiedyś ulicą, miałem telefon w dłoni, trącił mnie typ, który mnie mijał, telefon roztrzaskał się o chodnik. Powiedziałem mu, co o nim sądzę. Daliśmy sobie po razie. Niby nic, ale jakby się z tego zrobiła prawdziwa bójka, to moje papiery, które już wtedy miałem złożone do policji, mogłyby od razu polecieć do niszczarki. Wystarczyłoby, żeby ktoś zgłosił interwencję, wpadłby patrol, zatrzymał mnie za udział w bójce i sajonara. Ale wtedy w ogóle o takich rzeczach nie myślałem. Wracał do mnie klimat opowieści dziadka i postanowiłem, że jeśli nie spróbuję, to się nie przekonam, czy ta praca jest dla mnie.

# Outro



To była przemyślana decyzja. Ale samo zrealizowanie jej, zebranie się w sobie kosztowało mnie bardzo wiele. Miotalem się, unikałem napisania wniosku o zwolnienie ze służby jak ognia. Kiedy już to zrobiłem i złożyłem papiery, dostałem esemesa od dziadka: „Gratuluję”.

Nie żałuję wcale podjętych decyzji. Jestem zadowolony ze swojej służby. Tak miało być.

Czasami w zawodowym (i nie tylko) życiu trzeba powiedzieć basta. Zwłaszcza kiedy widzisz, że twoja firma odpierdala coś nefajnego, na co nie możesz się zgodzić, bo czujesz, że to byłaby zdrada twoich wartości. Nie można się tłumaczyć słynnym zdaniem „ja tylko wykonywałem rozkazy”. Gdyby podobne zdanie przeszłoby mi przez usta, pewnie nie byłbym w stanie spojrzeć potem w lustro.

Z chłopakami z jednostki śmialiśmy się, że procent tego, na ile zgadzasz się z hasłem „j...ć policję”, rośnie wprost proporcjonalnie do tego, ile przerobiłeś w niej lat. Kiedy widzisz, jak jest zarządzana ta formacja, jak pieniądze są przepalane, jak wpięprza się do niej polityka, jakie odpały

w głowach mają przełożeni (a komendant Szymczyk nawet w gabinecie), to naprawdę można się po ludzku wkurwić. Kołacze się w głowie zawsze taka myśl, że możesz robić swoją dobrą policyjną robotę, nawet jeśli wierchuszka odstawia kabarety. Ale jeśli wpięprzają się w tę robotę, to już ciężko pozostać niewzruszonym.

Akurat w moim przypadku do tego, że zrezygnowałem, doprowadziła najpierw bezpośrednia ekspozycja na głupotę sprawujących władzę, później wykorzystywanie tej władzy do wpychania się w dobrze funkcjonujący komisariat. Jako policjant nie mogłem na pewno narzekać na brak wrażeń. Byłem zadowolony ze swojej służby. Proza życia, wystrzały adrenaliny, wszystko było w dobrych proporcjach. Ludzie wokół mnie, z którymi bezpośrednio pracowałem, to były świetne chłopaki. Wypalenie w końcu przychodzi, ale jeśli jesteś wystarczająco dojrzały, to jeszcze zanim przyjdzie, już wiesz, że życie nie składa się z samych ekscytujących momentów. Do końca lubiłem swoją pracę, cieszyło mnie, że jest w niej rys szlachetności, o którą nie jest łatwo w innym zawodzie. Ale zaczęły się schody.

Pierwsze moje postępowanie dyscyplinarne. Interwencja, zima, świąteczny dzień. Jedziemy z kumplem. Katowice, Ligota. Dyżurny nas wywołuje: mamy jechać pilnie na ulicę taką i taką, ponieważ ma tam dochodzić do przemocy wobec kobiety. Mężczyzna ma być kompletnie pijany i oprócz tego poszukiwany. Dobra, syrena, jedziemy. Jesteśmy pod blokiem. Domofon nie odpowiada. Wchodzimy na klatkę, musimy się dostać kilka pięter wyżej. Drzwi, pukanie, szczeka pies. Babka otwiera, ledwo się trzyma na nogach. Jesteśmy zdziwieni, bo to facet miał być pijany. Prosimy, żeby zamknęła psa, bo każde zwierzę może przeszkodzić w interwencji. Zamknęła psa w toalecie. Wchodzimy do środka. Wszystko jest na odwrót niż w zgłoszeniu. Ona pijana, a on śpi. Zdarza się, że podejrzany na miejscu figuruje jakieś zachowanie. Że niby nagle mu się usnęło, zanim przyjechała Policja. Mieszkanie całe wychłodzone, okna otwarte na oścież, kobieta zaczyna się zawile tłumaczyć. Zapowiada się na izbę i tyle z tego będzie.

Poprosiliśmy, żeby otworzyła sypialnię. Gość śpi, budzimy go, a ten trzeźwy jak dziecko. Wstaje, niziutki typ, ona wyższa od niego o głowę. Facet spokojny.

– Panowie co się stało?

Wyjaśniamy:

– Konkubina mówi, że pan ją pobił i że jest pan poszukiwany.

On na to z rezygnacją: – Kurwa, znowu to samo.

Zimno jak cholera, pozamykaliśmy okna. Legitymujemy ich. Ona podała dowód, on nie miał, więc dyktował: imię, nazwisko, pesel. Wpisuję jego dane do terminala i zanim zwróciło wyniki, odwiesiłem urządzenie na karabińczyku. Na razie nic nie zapowiadało, żebym musiał gościa skuć, bo póki co mam tylko zgłoszenie jakiejś pijanej baby i trzeźwego typu w mieszkaniu, ale żadnej pewności, więc wolę nie przekraczać uprawnień. Miałem już trochę do czynienia z trudnymi miłościami – kobiety w złości dzwonią po policję, opowiadają dyżurnemu bujdy na resorach, bo chcą mieć pewność, że patrol wpadnie i nastraszy męża.

Nie kujemy go, ale obserwujemy i odcinamy drogę do wyjścia. Pyta, czy się może ubrać. Cóż, wypadaloby. My w pełni ubrani czuliśmy, jak jest zimno w mieszkaniu. Mężczyzna ubiera się, założył spodnie i zaczął zakładać buty. My w drzwiach, jeden do niego plecami, drugi przodem. Facet bierze but do ręki i nagle wyskakuje jak na sprężynie, i wali w nas gazem pieprzowym, który miał ukryty w bucie. Stary bandziorski numer. Wyszarpnąłem broń.

– Odłóż to, połóż się na ziemię! – krzyknąłem.

Wszystko w ułamkach sekund. Typ bez chwili zawahania rzucił się na mnie barkiem, popchał, a potem rzucił się do drzwi, które pechowo otwierały się na zewnątrz, w stronę korytarza, i ucieka. Gonię typa z pistoletem w ręce, ale przewróciłem się na schodach, bo już nic nie widziałem. Kumpel zbiegł jeszcze parę schodków. Zawołałem: pierdol go, bo nic nie widzimy, obejrzyjmy się, czy jesteśmy cali, przecież nie był zatrzymany, jebać go. Ważne, że nam się nic nie stanie. To wszystko mogło się kiepsko skończyć, bo miałem naboje w komorze. Upadłem na łokieć, żeby chronić broń, ale pod wpływem uderzenia pistolet sam przeładował i z komory wyskoczył w pizdu jeden nabój, do czego normalnie trzeba użyć sporo siły.



Dochodzę do kumpla i sprawdzam, czy u niego wszystko okej, czy nie upadł jakoś parszywie na głowę. Podnosi się powoli, więc u mnie już czarne myśli. Kumpel chciał go dalej gonić, ale mówię, że nie ma mowy. Znalazłem nabój, załadowałem do magazynka, podpiąłem do pistoletu, schowałem go do kabury. Zgłaszam do dyżurnego, że gość spierdala i jest niebezpieczny. Podaję rysopis, lokalizację, możliwe kierunki ucieczki. Po chwili dzwoni mój telefon – to dyżurny.

– Na pewno chcesz to zgłaszać? – pyta mnie.

– Kurwa, przecież poszło na stacji, więc się nagrało. Jaki masz z tym problem?

– Słuchaj, to będzie wydarzenie nadzwyczajne, więc potem będziecie mieli postępowanie dyscyplinarne.

Dopiero w trakcie pościgu terminal zwrócił mi potwierdzenie, że gość miał status poszukiwanego. Dyżurny się spiął, bo miał blisko do emerytury, a wtedy już każdy policjant myśli cztery razy nad każdym swoim ruchem. Zjawisko powszechnie znane na komisariatach, tak zwana przedemerytalne zesranie.

– Słuchaj, nie będzie żadnego postępowania, bo nie był ani zatrzymany ani doprowadzony. Przekaż, co powiedziałem.

Za chwilę wpadło OPP. Szukali go, ale bez skutku.

Wbiliśmy na komisariat pisać notę z interwencji. Pani komendant:

– Macie nauczkę.

– Ale o co chodzi? Niczego złego nie zrobiliśmy, nie mam sobie nic do zarzucenia. Gdybym miał przeprowadzić tę interwencję jeszcze raz, wyglądałaby dokładnie tak samo.

Nie wymądrzałem się ani nie unosiłem dumą. Jest pula rzeczy, których się nie da przewidzieć, a ja nie będę zakuwać gościa w majtkach w wychłodzonym mieszkaniu zimą i rzucać na glebę, tylko dlatego że pijana kobieta zrobiła zgłoszenie, którego potem nie umiała obronić.

– Gdybym od razu go skuł, a on jednak nie był poszukiwany, to by tu pani zaraz miała skargę na takie postępowanie.

Tak samo napisałem w notatce. Kamień w wodę, jakby nie było sprawy. Potem covid, więc chaos. Aż po niemal roku sprawa wróciła. Zespół Kontroli zebrał kwity. Pani komendant opisała to jako wydarzenie nadzwyczajne. Z samą kwalifikacją się nie zgodziłem. Wydarzenie nadzwyczajne to na przykład zamach na konwój albo śmierć osoby doprowadzanej, śmierć policjanta, próba samobójcza osoby doprowadzanej czy zatrzymanego. Ale też ucieczka osoby doprowadzanej. Tylko w momencie pościgu ten zbir nie miał jeszcze takiego statusu! Nie usłyszał, że jest zatrzymany, miał tylko wyjaśnić sytuację. Formalnie to się zmieniło już w trakcie pościgu, wraz z powiadomieniem z systemu, że został zidentyfikowany jako osoba poszukiwana.

Fakty się nie obroniły, Zespół Kontroli trawił sprawę dalej. Wydział albo Zespół Kontroli, w zależności od wielkości komisariatu, to jednostka, która ma sprawować nadzór nad policjantami i prowadzić postępowania przeciwko funkcjonariuszom. Sprawdzają, czy papiery są dobrze prowadzone i rozpatrują skargi. W drobniejszych sprawach dyscyplinarnych nadzór nad policjantami sprawują bezpośredni przełożeni. Wtedy to oni rozpatrują skargę i wymierzają karę. Tu jednak szło o zdarzenie nadzwyczajne, więc musiał zadziałać zespół. Trwało postępowanie dyscyplinarne. Wygląda to na wzór relacji z prokuraturą: policjant z kontroli cię obwinia, stawia zarzuty, a ty się bronisz. Oficjalnie przypinają ci status obwinionego, więc możesz sobie wziąć pełnomocnika. Pełnomocnikiem może być adwokat, radca prawny albo inny policjant.

Minęło kolejnych kilka miesięcy, przyszedł kwit: sprawa jest w toku, podlega przedłużeniu. Tylko tyle. Nie wiedziałem, co mam o tym myśleć. Zero konkretów, tylko niezdrowa atmosfera. Po jakimś czasie przysłała

opinia prawna, że rzeczywiście nie doszło do sytuacji nadzwyczajnej. Taką opinię wystawił finalnie Zespół Kontroli. To oznaczało, że postępowanie sprawdzające wyszło na moją korzyść. Ale mimo tego postępowanie dyscyplinarne i tak wobec mnie wszczęto, a stał za tym wniosek mojej komendant. „O, wy mendy – pomyślałem. Jak tak chcecie się bawić, to z kimś dla was lepszym niż ja”. Tup, tup, tup, wychodziłem sobie ścieżkę do adwokatki, która siedziała w policyjnych sprawach: „Tu mam pełnomocnictwo i 1200 złotych, proszę ze mną iść na pierwsze przesłuchanie, bo nie zamierzam z tymi ludźmi sam rozmawiać”. Zgodziła się.





Ucieszyło mnie to, bo przebieg sprawy do tego momentu nie wróżył niczego dobrego. Pani komendant, która powinna być dla mnie jako policjanta oparciem i autorytetem, w ogóle nie była zainteresowana moimi argumentami. Pomimo opinii Zespołu Kontroli szła w zaparte i szukała u mnie winy. Takie gierki. Bez złudzeń. Na co dzień niby spoko kobieta. Zagadała, czasem zaklęła, wypita z policjantami kawę. Nawet nie sądzę, żeby była złym człowiekiem. Była po prostu człowiekiem na niewłaściwym miejscu. Nie wytrzymywała presji, bała się każdego ruchu, napędzał ją strach, a nie chęć zmian. Byle się asekurować, byle wyżsi przełożeni ją chwalili. Wolą walczyć po swoich ludziach, niż stawać po ich stronie.

Przesłuchanie. Stary policjant, jakaś klitka, krótka wymiana zdań. Pani adwokat zadowolona. Ja nie wiedziałem, jak to spotkanie oceniać. Adwokatka przygotowała wcześniejsze orzecznictwa w podobnych sprawach i bazując na nim, przyjęła linię obrony. Wręczyła typowi pismo na pięć stron.

Kolejne spotkanie dotyczyło już rozstrzygnięcia sprawy. Niejako w roli sądu występuje komendant miejski. Decyzja: Bagieta winny. Że co?! Okazało się, że są w takiej dupie z tą sprawą, a z jakichś powodów chcą znaleźć we mnie winę, że oparli decyzję na opinii prawnej. Adwokatka chwyciła się za głowę. Opinia prawna, wyjaśniła mi, jest najłabszym dokumentem, bo nie ma żadnej siły wiążącej, dokładnie jak to wskazuje nazwa: jest tylko opinią, więc można mieć równie dobrze opinię przeciwną. Absolutnie się z tym nie zgodziliśmy. To było takie głupie, że student pierwszego roku prawa by to obalił. W gruncie rzeczy sprowadzało się do tego, że zbir był potencjalnie zatrzymany już w momencie rozpoczęcia przez nas rozmowy z nim, a nie przedstawienia mu informacji, że zostaje zatrzymany. Gdyby potraktować taką opinię jako wiążącą we wszystkich tego typu sytuacjach, to mielibyśmy paraliż pracy patrolowej.

Zatem się odwołujemy. Adwokatka napisała wyżej, czyli do komendanta wojewódzkiego. Poszła na ostro. Odparła znowu zarzuty, wykazała absurd argumentacji, wylistowała rzeczy, które – jak napisała – świadczą o rażącej niekompetencji Zespołu Kontroli i o szeregu zaniedbań z jego strony. Grubo im pocisnęła, włącznie z wizją pozwu cywilnego ze względu na straty w mojej kondycji psychofizycznej, do jakiej doprowadza mnie

długotrwały stres związany z nieuzasadnionymi oskarżeniami (tu już ponosiło ją pióro, ale wiedziała, co robi).

Wybyłem na wakacje, a tu pismo od komendanta wojewódzkiego. Podpisał je sam pan generał. List wysmażony na siedem stron, a nie byle ochłap: postępowanie było prowadzone w sposób nierzetelny, ale co gorsza, przyznał, że zostało bezpodstawnie wszczęte. Zatem żadne z jego ustaleń i tak nie ma wartości, ponieważ cała sprawa powinna się była zakończyć na postępowaniu sprawdzającym, które należy teraz powtórzyć, do czego wyznacza komendanta z innego komisariatu w moim mieście. Opadła mi szczęka. Bardzo zdolna była ta adwokatka. Udaliśmy się do tego wskazanego komendanta, pogadaliśmy, od razu powiedział, że po analizie papierów widzi tylko jedną opcję – umorzenie. I tym sposobem moje pierwsze postępowanie dyscyplinarne zakończyło się uniewinnieniem.

Był to rok, kiedy miałem otrzymać awans na starszego sierżanta. Nic specjalnego, kolejny krok w standardowej ścieżce kariery, wynikający z wysługi lat. Jeśli jednak toczony jest przeciwko tobie postępowanie dyscyplinarne, decyzja o awansie zostaje zawieszona. Podobnie jak wszelkie nagrody, które z takich czy innych powodów przysługują jednostce lub konkretnemu funkcjonariuszowi. Postępowanie przeciwko mnie skończyło się w sierpniu. Miesiąc wcześniej powinienem był dostać awans. Nie dostałem, przepadło, następna okazja za rok. Ominęła mnie ta jedna belka na pagonie i podwyżka pensji, mimo że stwierdzono moją niewinność. Tak jakby w policji podstawowa zasada prawa – człowiek do czasu zapadnięcia wyroku ma być uznawany za niewinnego – nie obowiązywała. Poniosłem konsekwencje zawodowe i finansowe takie same, jak w sytuacji, gdybym był winien. Otrząsnąłem się i poszedłem do pani komendant. Stwierdziłem, że z okazji 11 listopada, na Święto Niepodległości, chciałbym ten tytuł starszego sierżanta jednak otrzymać. Zaczęła się więc, że to wyjątek, że ona nawet nie wie, czy tak może – znowu: byle nikt się do niej nie przyczepił. To przez nią znalazłem się w tym położeniu i nadal nie mogłem liczyć na żadne wsparcie z jej strony. Tak właśnie działają często przełożeni w policji, dbając tylko o własny święty spokój.

Niespecjalnie zwraca się w kraju uwagę na to, jak policja gospodaruje środkami. Szastają postępowaniami na prawo i lewo, a przecież każde z nich oznacza hajs, bo za konkretne działania, od śledczych, przez

dokumentacyjne i archiwizacyjne, aż po prawne trzeba przecież zapłacić. Na to zawsze znajdzie się kasa, ale czasem, autentyk, nie znajdzie się na naprawienie radiowozu, który stoi kilka tygodni w garażu, bo „brak środków”.

Zaniechałem pomysłu procesu cywilnego i domagania się odszkodowania. Wtedy wystarczyło mi, że przyznali się wreszcie do błędu. Ale po czasie żałowałem tej decyzji. Bo prawdę powiedziawszy, to mnie gnoli nieuczciwym oskarżeniem i pełnym idiotycznych błędów postępowaniem, a konsekwencje poniosłem i tak tylko ja. Trudno to porównać do cywilnej sytuacji sądowej, w której po wygraniu sprawy pokrywane są koszty obrony, jakie się poniosło. To ja musiałem dołożyć własną kasę do tego, żeby się ode mnie odpierdolili i ruszyli trochę głową. Może i bym przegrał proces cywilny, ale nie byłoby we mnie tego niesmaku, jaki czuję teraz po latach, że nie odpłaciłem im się tak, jak na to zasługiwali.



W policji wyższe kadry mają was gdzieś, bo taka jest mentalność w tamtejszym zarządzaniu. Z podwładnym można zrobić wszystko, a jego zadaniem jest się nie odezwać. Na szczęście teraz policjanci już dużo częściej walczą o swoje. Nawet w codziennej komunikacji zamiast bezkrytycznie słuchać, jak przełożeni odpalają taśmę produkcyjną pierdolenia głupot, to potrafią z tym polemizować. W sprawach dyscyplinarnych zatrudniają adwokatów, związki zawodowe też zapewniają wsparcie w obronie praw funkcjonariuszy. I o to też w tym chodzi: żeby wysadzić ze stołków tych cynicznych gnoi, którzy nie szanują porządnej policyjnej roboty oraz ludzi, którzy ją wykonują. Nie jest żadnym liderem dziad, który dba tylko o własną dupę.

Myślę, że zainteresuje was też inny temat związany z kwestiami dyscyplinarnymi. Odkąd przyszedłem do służby, policjanci mieli tatuaże i nosili je na wierzchu, czyli po prostu były one widoczne. Kiedy pełnicie służbę, podlegacie kontroli patrolu oficerskiego. Po prostu dyżurny przywołuje was, żebyście spotkali się tu i tam z innym patrolem. Tym patrolem jest właśnie patrol oficerski, w którym zwykle znajduje się wyznaczony przełożony. Nic strasznego, kontrola jak w każdej innej pracy.

Miałem tych kontroli za sobą mnóstwo, i z Komendy Miejskiej, i z Komendy Wojewódzkiej. Dziary na wierzchu, nikt nie powiedział słowa, nawet nie zająknął się na ten temat.

Komenda Główna w Warszawie zrobiła jednak pewnego razu dym o poprawne umundurowanie. Przy tej okazji wyciągnęli temat tatuaży, które ich zdaniem powinny być zakryte. Myślę sobie: bez jaj, przez sześć lat nie było problemu, a teraz mam w upały nosić długi rękaw, bo ktoś coś w Warszawie szczeknął? Tu więc akurat na własne życzenie naraziłem się, ale z przekonaniem, że problem jest absurdalny.

Powinienem był się pilnować, ale tego nie robiłem. Stoję na zdarzeniu, jest ciepło, łapy mam odsłonięte. Interwencja: gość oderwał sąsiadowi krawężnik podczas cofania. Stoję z nimi i tłumaczę, że z policyjnego punktu widzenia nie bardzo jest co z tym zrobić, niech się jakoś dogadają. A tu nagle wpada do mnie kontrolny. Rzucam do gościa:

– Przepraszam bardzo, ale jeszcze prowadzę czynności. Zaraz do pana podejść, bo nie mogę przerywać obowiązków.

Podjechaliśmy z koleżanką, z którą byłem w patrolu. Z oficerskiego wysiadają komisarz i sierżant sztabowy – wszyscy po cywilnemu. Pytają, czego dotyczy interwencja. Odpowiadam, że będzie to sprawa cywilnoprawna, nie dla nas, więc tylko ustaliłem tożsamości na potrzeby ewentualnego późniejszego postępowania sądowego i pouczyłem o możliwościach prawnych. Gadamy jeszcze o innych rzeczach związanych z prowadzeniem patrolu, a tu gość wyskakuje w pół zdania:

– Dlaczego pan ma niezakryte tatuaże?

– Bo się kawą oblałem i musiałem ściągnąć rękawy termoaktywne.

I dalej gadka szła już normalnie. Pojechali.

Wkrótce odzywa się komisariat, że mam przyjechać. Wbijam, a tu od progu zjeba – pani komendant suszy mi głowę, że nie zakrywam tatuaży. Jeszcze nie wiem, o co chodzi, a ona mówi:

– Pokaż notatnik.

To forma dokumentowania patrolu. A tam faktycznie wpis od patrolu oficerskiego: „nieregulaminowe umundurowanie, odsłonięte tatuaże”. Pytam, co z tego.

– Będziesz miał postępowanie.

– ...Dobra, nie pierwsze, nie ostatnie.

To już było tak bardzo od czapy, że nawet jakąś frajdę sprawił mi fakt, że tak łatwo przyszło mi olać ten absurd. Parę lat wcześniej pewnie bym się grubo spiął.

Zaczął się. Najpierw przeglądali nagrania z całego dnia. Wyszło na to, że mój tekst o kawie nie ma szans się obronić. Na filmach widać, że już do radiowozu wsiadłem z odsłoniętymi łapami. Komendant miejski wzywa mnie do siebie. Mówię, że przyjdę tylko w towarzystwie kumpla, który jest pełnomocnikiem. Oni na to, że pomoc prawna przysługuje mi dopiero od poziomu postępowania dyscyplinarnego, więc na tym spotkaniu nie ma dla adwokata miejsca. Ja im na to, że w takim razie będzie ze mną przedstawiciel związków zawodowych, choć wciąż chodziło o tego samego człowieka. Prawo jest skonstruowane tak, że przedstawiciel związków może być na każdym etapie postępowania. Zrozumieli przekaz, ale nie udało się dograć terminów. W końcu poszedłem do zastępcy komendanta sam, bo przecież nie ugnę się przed jakimś starym chłopem przyspawanym do stołka.

Pogadaliśmy. Zastępca komendanta zaproponował ostrzeżenie. To był taki wybieg, który odpowiada pójdźcie na ugodę. Policjant przyznaje się, że popełnił błąd, ale nikt już go nie będzie z tego powodu ścigać. Ostrzeżenie wisi potem w papierach przez trzy miesiące. „Dobra, może być”. Podpisałem kwity.

Było lato, bez szans, żebym założył te rękawy. Szczerze? Solidnie zbierało się na to, żeby jebnąć tym syfem. Policyjna robota była dla mnie, tylko sposób prowadzenia tej instytucji mnie wkurwiał. Rękawów oczywiście nie zakładałem. Może więc doczekałem się postępowania dyscyplinarnego, ale tego już się nie dowiedziałem. Wiem tylko, że komendant nakazał zastępcy, żeby wszystkie moje nagrania od momentu kontroli zostały przejrane przez kolejny miesiąc, czy aby ponownie nie naruszałem dyscypliny.

Cały ten pomysł ze ściganiem policjantów za dziary jest absurdalny. W Stanach od dawna już nie ma tej dyskusji, policjanci są wytatuowani, nie mogą tylko nosić symboli, które związane są z organizacjami przestępczymi ani tatuować twarzy. U nas zakaz odsłaniania tatuaży był traktowany jak martwy przepis, aż ktoś w komendzie głównej sobie o nim przypomniał. Potem ktoś inny zechciał się przypodobać koleżeństwu z wierchuszki, pokazując, jaki to porządek u siebie w komendzie ma. Nie wiem, co jest złego w tatuażach. Cieszę się, że ktoś poszedł po rozum do głowy i odwołał tę zabawę. Teraz już policjanci mogą mieć odsłonięte dziary, byle nie na dłoni, szyi lub twarzy.

Kiedyś na moim profilu w mediach społecznościowych pojawił się mem. „Bytom: mapa dla przyjezdnych”. Konwencja żartu, która obiegowe opinie



o okolicy przypisuje danej dzielnicy. Nic obraźliwego, w tej konwencji powstawało mnóstwo prześmiewczych komentarzy do miejskiej rzeczywistości. Na mapie Bytomia pojawiły się takie hasła jak „tu stare baby”, „tu patola”, „tu wpierdol”, „tam syf”.

Kogoś zabolalo. Do komendy miejskiej albo wojewódzkiej wpłynęła cywilna skarga, że policjant o pseudonimie Bagieta wrzuca obraźliwe obrazki, które nie licują z powagą służby. W dodatku używa wulgarnych słów, a poza tym na jego profilu są jeszcze zdjęcia, które ośmieszają policję. Moi przełożeni wiedzieli, że prowadzę kanał i pracuję pod takim pseudonimem. Zaczęło się. Najpierw przepychanki w rozmowach, żeby to wyjaśnić. Tłumaczyłem prosto: satyra, omawiałem tylko czyjś żart. Wszczęli mi postępowanie dyscyplinarne. Jak to możliwe, zapytacie, skoro na prywatnym profilu zamieściłem mema, którego nie byłem nawet autorem, a który był satyryczny i na dobrą sprawę nikogo konkretnego nie obrażał. Z kolei kiedy posługiwałem się dosadnym językiem, to nie siedząc w mundurze i powołując się na swój status policjanta, tylko tak jak każdy dowolny komik czy standuper, który wykorzystuje potoczny, czasem wulgarny język do osiągnięcia jakiegoś efektu.



Ale dobra, po poprzednich doświadczeniach, wziąłem od razu adwokata. Tym razem ze związków zawodowych, do których się zapisałem. W Solidarności jako zastępca przewodniczącego pracował mój dobry kumpel, który był psem i radcą prawnym w jednym – szach-mat. Okazało się zresztą, że po stronie Zespołu Kontroli postępowanie prowadził chłopak, z którym ten mój kumpel studiował prawo. Różnica między nimi była taka, że mój kumpel zrobił aplikację, a ten chłopak nie.

Zaczęły się przepychanki, czy jest o co wszczynać postępowanie czy nie. Chodziło o względy prawne. Zaczęliśmy od tego, że ja tak naprawdę nie prowadzę swojej strony, ponieważ cała marka „Sierżant Bagieta” nie należy do mnie, tylko do mojej mamy. Ja tworzę niektóre treści, lecz to mama nimi zarządza i na nich zarabia. A są jeszcze inni moderatorzy strony. Nawet nie pamiętam, ponieważ było to tak dawno, a treści tak dużo, czy to rzeczywiście ja wrzuciłem tego mema. W tej argumentacji chodziło o to, że nie mogli wykazać, że to bezpośrednio ja opublikowałem post. Na takim etapie postępowania nie mają możliwości przejęcia sprzętu i weryfikacji danych. Gość z kontroli do mnie:

- Proszę mi dać telefon, sprawdzimy.
- Nie dam panu telefonu.
- A dlaczego nie?
- Bo to mój prywatny telefon i nie będę narażać dziewczyny na traumę, że pan przy okazji zobaczy jej prywatne zdjęcia, które były dla mnie, a nie dla pana.
- To proszę je skasować.
- Nigdy w życiu, bo mają dla mnie wielką wartość sentymentalną.

Byłem już bardziej wyszczekany, bo nasiedziałem się na niejednym przesłuchaniu. Ale wtedy przekroczyli granicę i tego im nie wybaczę. Wezwali na przesłuchanie moją mamę do wewnętrznej sprawy mojej firmy. To był już absurd, który był dla mnie grubym przegięciem.

Kolejny zarzut dotyczył satyry. Kontrola twierdziła, jakobym nie mógł sobie żartować. Więc wyjaśnialiśmy naturę satyry. Poza tym powtarzaliśmy im w kółko, że mem nie był mojego autorstwa, nie do ustalenia jest pewnie jego faktyczny autor, a w sieci krąży w wielu różnych kanałach.

Kumpel-związkowiec prowadził tę sprawę w moim imieniu. W pewnym momencie powiedział nawet, że według niego odpuszczają i sprawa

pójdzie na umorzenie. Pewnie jeszcze jedno albo dwa przesłuchania i będą musieli oddalić zarzuty. Ale byłem już tak wkurwiony na ten hycel, że nie chciałem mieć z tym nic wspólnego. Wziąłem urlop, pojechałem na wakacje, nie doczekałem końca postępowania.

Co tu dużo mówić, popieprzona sprawa. Przecież nie rzuciłbym służby, gdyby nie systemowa głupota przełożonych. Dziadek znał ten świat od podszewki. Widział, jak nieraz chodziłem wkurwiony. Wytrzymałem zaledwie jedną czwartą tego, co on przepracował w policji. To były inne czasy, nie bardzo miał alternatywę, ludzie trzymali się państwowych posad dla życiowego bezpieczeństwa. W moim przypadku było już inaczej, lepiej, bo nigdy nie chciałem być zakładnikiem własnej pracy. Pracuję, żeby żyć, a nie żyję, żeby pracować.

Zacząłem służbę w policji siedem lat wcześniej niczym ktoś zakochany. Wiadomo, choćby najlepszy kumpel tłumaczył ci, że dziewczyna, do której startujesz, to toksyczny muchomor, którym można się zachwycić z wyglądu i zatruć po spożyciu, to do ciebie nie trafia. Dałbyś wszystko, żeby być z tą dziewczyną. Udaje się, jesteście razem. Mija czas, a ty jesteś coraz mniej sobą. Dopiero sam musisz się przekonać, jakie są konsekwencje tego zakochania. W mojej zawodowej ścieżce było podobnie, bo przecież Dziadek na dobrą sprawę opisał mi dziewięćdziesiąt procent problemów, z jakimi się później spotkałem w policji. Cóż, musiałem z nimi zmierzyć się na własną rękę.

Mama w głębi duszy odetchnęła z ulgą. Tacie trudniej przyszło pogodzić się z moją decyzją. Kiedy o tym usłyszał, tego dnia zabrał mnie na piwo. Miły wieczór, męska rozmowa. Tata mówi:

- Czuję, że wrócisz do policji.
- Nie, już nie wrócę.
- Jeszcze wspomnisz moje słowa...

Zdarzyło mu się jeszcze powtórzyć tę frazę kilka razy. Ale niezależnie od samej decyzji, to jak zawsze mogłem na tatę liczyć. Przyznał, że widzi, że mnie męczy sytuacja z postępowaniami dyscyplinarnymi i sposobem, w jaki jesteśmy traktowani przez przełożonych. Wiem, że to musiało go sporo kosztować, ale powiedział mi jasno:

– Jeśli taki jest twój wybór, to dobrze. Nam najbardziej zależy na twoim zdrowiu.

Mogłem też liczyć na Olę.

Ola wiedziała, dlaczego jestem wściekły na swoją pracę. Pewnie była osobą wystawioną na największe promieniowanie mojej radioaktywnej kondycji z ostatnich miesięcy służby. Wiedziałem, że mam za co żyć, więc nie czułem presji finansowej. Wiedziałem, że mam wykształcenie i nawet jako nauczyciel angielskiego bez większych problemów gdzieś się zahaczę. No to po co mam chodzić struty, zamiast cieszyć się życiem? Ale przychodziły także wątpliwości: a może będzie lepiej poczekać, aż skończę studia z ratownictwa medycznego? Przecież cała moja aktywność w sieci kręci się wokół pracy policyjnej, czy więc tego nie roztrwonię? Miotalem się, przez co odczuwałem jeszcze większe napięcie.

Wreszcie nagły impuls uruchomił całą lawinę. Pewnego wieczoru siedzę i rozkminiam. Ola zapytała, o czym tak znowu myślę. Odpowiadam rozdrażniony: „No, jak to o czym myślę? Co z tą policją”. I to był przebłysk, moment. „Pierdolę, jadę”.

Wstałem z kanapy. Dochodziła 22:00. Pojechałem na jednostkę. Wbijam na komisariat, zbijam piątkę z dyżurnym. Napisałem na szybko notatkę z wnioskiem o zwolnienie. Mówię do dyżurnego, bo to mój serdeczny kumpel:

– Stary, tu masz notatkę. Nie wiem, czy się będziemy jeszcze widzieć. Nara!

On do mnie:

– Jak to? Nic nie mówiłeś wcześniej!

– A, bo tylko byś mi pierdolił do ucha farmazony i jeszcze bym się rozmyślił – zaśmiałem się i zamknąłem za sobą drzwi. Szybko wsiadłem do samochodu, żeby nie zmienić zdania i rura do domu. A w domu jeszcze czkawka: może za szybko, może za gwałtownie, może pod wpływem emocji...

Rzuciłem papierami, będąc na urlopie. To była część planu. Chciałem uniknąć wbijania na komisariat tylko po to, żeby nasłuchać się od kumpli, którzy woleliby, żebym został. Po co się katować, niech atmosfera oczyści się sama. Mogę się do tego przyznać: po prostu nie wytrzymałbym psychicznie takich emocji i presji. Chyba bym się złamał, jakby mi koledzy robili wyrzuty. I tak wyszło – krótka piłka.

Wracały do mnie w myślach różne fajne chwile ze służby. Szczególnie dwa ostatnie lata. Wtedy służyłem w jednym patrolu ze swoim najlepszym przyjacielem Mariuszem. Rozbicie naszego patrolu i pozostałych duetów na jednostce tylko w imię władzy i ambicji przełożonych dało w kość

wszystkim szeregowym policjantom. Wiadomo, że podstawą dobrego patrolu jest zgranie funkcjonariuszy, wzajemne zaufanie i porozumienie. Kiedy pozbawili mnie takiego partnera, kopnęli w kolejny klocek, na którym opierało się moje policyjne zaangażowanie. Serio, nie było ani jednego powodu, żeby rozstawiać nas po kątach jak przedszkolaków podczas zajęć integracyjnych. Rozmowy z przełożonymi w tej sprawie nie przyniosły żadnego rezultatu. Zanim ja wykonałem swój krok, chwilę wcześniej Mariusz rzucił policję, bo też miał dość. Gadaliśmy o tym, rozumiałem jego argumenty, ale sporo z nich miało też osobisty wydźwięk, inny niż u mnie, więc nie nakręcaliśmy się wzajemnie. Mieliśmy za sobą masę akcji, tysiące godzin na patrolach, więc tyle nam pozostało: całkiem sporo grubych wspomnień. Pozdro, Stary!

Trochę byłem ciekaw, a trochę się obawiałem, jak będę się czuł znów jako cywil. Czy uwolnię głowę, czy niekoniecznie. Policjantem się jest, a nie tylko bywa. To też był jeden z blokujących mnie czynników, przez który odsuwałem od siebie decyzję o odejściu. Ale minął już pewien czas, a ja nie mam problemu ze swoją tożsamością; nie wydaje mi się na ulicy, że nadal jestem psem. Nie będę narażał swojego zdrowia i życia bardziej niż każdy uczciwy obywatel w kryzysowej sytuacji. Odszedłem, więc ślubowanie już mnie nie obowiązuje. Ale przecież obowiązują mnie moje wewnętrzne standardy. Dlatego pierdolę wszelki autorytaryzm, piętnuję systemową głupotę, nie ma mojej zgody na złe traktowanie ludzi. A kiedy spotkam człowieka w potrzebie, to będzie mógł na mnie liczyć.



Ola obserwowała mnie na Instagramie i знаła mnie z kanału YouTube. Kiedyś dziewczyna z neta, a dzisiaj dla społeczeństwa „pani doktor”. Poznaliśmy się w wyniku internetowej zagajki. Zaczepiła mnie, kiedy już prowadziłem swój kanał i profil społecznościowy. Dobrze nam się gadało. Trochę wymiany myśli, więcej heheszków, dobrze się rozumieliśmy. Sporo osób tak do mnie pisze, ale to z nią kliknęło. Aż tu nagle Ola idzie po bandzie: zaprosiła mnie na wesele, bo nie miała akurat osoby towarzyszącej. Nie widzieliśmy się ani razu, jedyne, co nas łączyło, to historia chatów, ale rzeczywiście trochę się tego uzbierało, bo pisaliśmy do siebie niemal od dwóch lat. No, dobra, to było wystarczająco szalone, żebym w to wszedł. Spotkaliśmy się kilka razy. Tak, kliknęło między

nami. W efekcie na wesele dotarliśmy już jako para. Ola była przy mnie, kiedy kończyłem policyjną robotę, za sprawą której trafiła na mnie w necie.



# Spis treści

Intro w outro

Dochodzenia

Interwencje

Broń

Niebieski

Pierwsza pomoc

Błędy

Narko

Forma policjanta

Sprawiedliwość

Rodzinno-sentymentalnie

Outro

© Wydawnictwo WAM, 2023

Opieka redakcyjna: Sławomir Rusin

Redakcja: Tomasz Ponikło, Kamil Piotr

Korekta: Anna Adamczyk

Skład i opracowanie graficzne: Lucyna Sterczewska

Projekt okładki: Paweł Harlender/Studio Inigo

Fotografie w książce: archiwum autora,  
oraz Jakub Nowicki/Studio Inigo. Wykorzystano także:

Depositphotos 100897460, by Vanzyst

ePub e-ISBN: 978-83-277-3613-0

Mobi e-ISBN: 978-83-277-3614-7

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

[www.wydawnictwomando.pl](http://www.wydawnictwomando.pl)

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: [handel@wydawnictwomando.pl](mailto:handel@wydawnictwomando.pl)